R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
LUDWIK DĘBICKI.
928/II
Z TEKI DZIENNIKARSKIEJ
r. 1893—1894.
Serya II.
W KRAKOWIE,
SKŁAD GŁÓWNY W SPÓŁCE WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1895.
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

LUDWIK DĘBICKI.

928/II

Z TEKI DZIENNIKARSKIEJ

r. 1893—1894.

Serya II.

W KRAKOWIE,
SKŁAD GŁÓWNY W SPÓŁCE WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1895.

LUDWIK DĘBICKI.

Z TEKI DZIENNIKARSKIEJ.

1893 — 1894.

SERYA DRUGA.

W KRAKOWIE,
KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1895.

928/II
BIBLJOTEKA ŻOŁNIERSKA 20 P. P.
ZIEMI KRAKOWSKIEJ
w KRAKOWIE
12629/1

NAKŁADEM AUTORA.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

TREŚĆ.

Str.

Życiorys Pawła Popiela 3
Pisma Pawła Popiela. 49
O wiecu katolickim 107
Rozbiór Księgi pamiątkowej o wiecu . . . 133
Z pielgrzymki rzymskiej 147

NEKROLOGIA:

Do wspomnień o Auguście Cieszkowskim 219
Jan Tarnowski 229
Książę Władysław Czartoryski 241
Adam Lubomirski 259
Nad grobem Zygmunta Kozłowskiego 267
Stanisław Pieniążek 273

ŻYCIORYS PAWŁA POPIELA.

Gdyśmy brali do ręki stary wolumin Piotra Skargi, z którego ś. p. Paweł Popiel lubił czerpać wzory języka i prawidła życia, księga otwarła się na karcie z kazania sejmowego „O mądrości, potrzebnej do rady“ — gdzie wielki kaznodzieja mówi:

„Biada, gdy do rady i obmyślenia dobrego pospolitego mało jest uczonych, ćwiczonych, starych i doświadczonych“.

Ubył nam dziś jeden z tych „uczonych, ćwiczonych, starych i doświadczonych“ — a jak mówi dalej w temsamem miejscu Skarga: „namnożyło się ludzi takich, którzy szemrząc i potwarze zmyślając, i do rozruchów i nowin namawiając, niespokojni, łakomi, niesprawiedliwi, sieją wszędzie niezgody, nic na dobro pospolite niepomną, a tą łódką, w której się wszyscy wieziem, swojem bieganiem chwiejąc, do zanurzenia ją i utopienia przywodzą“...

W duchu Skargi rozumiał Paweł Popiel, że mądrość do rady bierze się najpierw od Boga, „ale

próżno Pana Boga kusi, kto o mądrość prosi, a sam o nią się nie stara“ — więc szukał jej przez całe życie znów według Skargi „z ksiąg, z obcowania z ludźmi mądrymi, z dziejów, bo kto ich nie zna i w nich się nie kocha, jest jako dziecię, które ojca i matki nie zna“.

I znał Paweł Popiel tych nieprzyjaciół mądrości, potrzebnej do rady, których Skarga wskazuje, gdy mówi: „jest i inszy nieprzyjaciel mądrości, co wy zowiecie *popularitas*, gdy kto sławę sobie i mniemanie u pospólstwa jednając, za ich nierozmyślnem i niepożytecznem rozumieniem idzie, więcej przyjaźni u ludzi, niźli prawdy szukając“.

Zdawałoby się, że niema przedziału trzech stuleci — że to Skarga przemawia nad tą trumną, bo i dziś szemrania, potwarze, nowinki tesame, choć niby odmienne i tasama *popularitas* jako nieprzyjaciel mądrości — i tesame mądrości potrzebnej do rady warunki i znamiona.

Zkąd ją wyniósł, jak ją zdobył i umocnił „tę mądrość, potrzebną do rady“ Paweł Popiel, że wszystko, co o niej mówi Skarga, do niego się stosuje?

Kiedyś pamiętnik osobisty odkryje nam wpływy, jakich doznawał — wypadki, w jakich brał udział. Ale kto wskaże to, co się wewnątrz mieściło, kto zdoła zbadać głębie potężnego umysłu i poda charakteru miarę?

W pismach i słowach odsłaniały się tylko główne kontury wspaniałej budowli przekonań i poglądów. Czuć było, że gmach to jednolity, cało-

kształt stanowiący, na silnych wsparty fundamentach, a wszędzie na jego szczytach błyszczał krzyż.

Stawiał ten gmach przekonań i zasad Paweł Popiel przez całe życie, i wyjątkowo wśród ludzi swego czasu nie zmieniał podstaw, lecz na tem, co założył młodzieńcem, do starości coraz wyżej budowę wznosił. Plan był jednolity, choć materyał był rozliczny: od granitu pisarzy starożytnych, aż do cegiełek współczesnych myślicieli i badaczy. Od Tacyta wziął *stilus*, a od Reja barwy polskie. Filozoficzne myślenie wyrobił na scholastykach, na św. Tomaszu, a nie cofał się przed gimnastyką kantowską i heglowską; gdy inni odnosili szwank, on ją przebywał bez zachwiania się; bo znów od Rzymu i Francyi powiały prądy ożywcze odrodzenia myśli katolickiej, literatury i sztuki chrześciańskiej, a zlewały się z wonią Mickiewiczowskich polskich natchnień. I tak dalej i dalej, od najpierwszej młodości do dni ostatnich, potężny ten organizm umysłowy chwytał przędziwo, jakie czas przynosił i przerabiał je we wzorzystą tkaninę, nadając wszystkiemu cechę odrębną, szczero-polską i gruntownie katolicką a bardzo indywidualną.

Paweł Popiel wiele dawał, bo wiele bogactw duchowych i umysłowych nagromadził. Wszystkie te pierwiastki zdobyte, skrystalizowały się w całość dziwnie piękną w tym umyśle i rzucały coraz to odmienne blaski, jak dyament o mnogich przecięciach. Taki był urok tej wyjątkowej inteligencyi.

Wielu podziwiało tego polskiego szlachcica, który miał tyle kultury, nauki, znawstwa — ale

tu nie o blask i urok chodziło — ale o tę mądrość bożą, o której mówi Skarga, a która ma inne źródła etyczne w dobrej woli i dobrej wierze, charakteru niezłomności, w szukaniu prawdy i jej wyznawaniu.

Od początku do końca długiego żywota, ś. p. Paweł Popiel był wyznawcą i krzewicielem prawdy — a źródłem gorliwości była silna wiara i gorąca miłość narodu.

Aby choć w części wskazać nić przewodnią długiego żywota — rzućmy z pamięci kilka rysów biograficznych.

Ród Popielów bardzo stary, w mgle baśni ginący — z Wielkopolski miał się przenieść w XIV stuleciu na Ruś — a ztamtąd pod koniec XVII wieku powraca w Sandomirskie z kasztelanem żydaczowskim, który poślubił Magdalenę Dębicką, córkę Stefana z Zakrzowa, starosty czchowskiego. W Sandomirskiem Popielowie dziedziczyli Chocimów, a w Krakowskiem mieli swe gniazdo w Czaplach.

W Chocimowie Paweł Popiel, kasztelan sandomirski, przyjmuje i gości u siebie króla Stanisława Augusta, gdy po raz pierwszy i po raz ostatni czyni król dłuższy objazd po kraju — jadąc do Kaniowa, na pamiętne spotkanie. Naruszewicz w dyaryuszu królewskiej podróży o tej gościnie u kasztelana sandomirskiego wspomina i osobny przyjęciu u kasztelana poświęca wiersz.

Paweł Popiel, ożeniony z Komorowską herbu Korczak, miał syna Konstantego, wychowańca war-

szawskiej szkoły kadetów; był on tam ulubieńcem opiekuna tej szkoły, księcia jenerała Czartoryskiego, a towarzyszem Tadeusza Kościuszki.

Konstanty Popiel, osiadły w Czaplach, z małżeństwa z Zofią Badenianką miał synów: Pawła, urodzonego dnia 20 czerwca 1807 roku w Krakowie, Wacława, Ludwika — i młodszego od nich o lat kilkanaście, Wincentego, dzisiejszego Arcybiskupa warszawskiego.

Surowem było wychowanie w rodzinie, a obyczaj domu pełen prostoty, wyróżniającej się od miękkości czasów stanisławowskich, jak się też różnił cnotą i pobożnością.

Trzej starsi bracia, najpierw podobno w Kielcach chodzili do szkół — Paweł następnie oddany na pensyonat słynnego wówczas pedagoga Sołtykowicza, który był pierwszym historykiem Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie zajmował katedrę. Równocześnie przebyli z Pawłem Popielem te lata szkolne u Sołtykowicza bracia Jełowiccy Aleksander, Eustachy i Edward, tudzież spokrewniony z nim Walery Wielogłowski.

W dziecinnych latach, Paweł Popiel bywał z matką w Warszawie i bywał tam młodzieńcem w domu swego dziada Marcina Badeniego, który niegdyś sprawował zarząd ekonomij królewskich na Litwie, a teraz zasiadał w senacie Królestwa Kongresowego, jako wojewoda.

Znakomity to był mąż nauką, dobrą radą, wielką gospodarnością, która z niego uczyniła powagę finansową i ekonomiczną. On to ratował skarb kró-

lewski, gdy z dóbr stołowych na Litwie poprzednio zrujnowanych, dostarczał 30.000 czerwonych złotych Stanisławowi Augustowi i tyleż jego bratankom, książętom Józefowi i Stanisławowi Poniatowskim. Brat pana Marcina, Stanisław Badeni, pradziad dzisiejszego Namiestnika Galicyi, jako rejent kancelaryi koronnej pozostał przy osobie króla i mieszkał w Zamku warszawskim. Obaj bracia nosili się po polsku i zdala się trzymali od nowinek francuskich, przechowując niewzruszenie wiarę i dawny obyczaj.

Pan minister Marcin Badeni poślubił na Litwie Wawrzecką, siostrę jenerała Tomasza, który wśród pogromu maciejowickiego objął po Kościuszce naczelnictwo — a później na Litwie bardzo zaszczytne i wpływowe zajmował stanowisko.

W domu dziada w Warszawie gromadzili się co tydzień wieczorem najznakomitsi mężowie: Niemcewicz, Staszic, Linowski, dwaj Kochanowscy, Mostowski. — Ztąd te wspomnienia i te żywe tradycye, sięgające czasów wielkiego Sejmu, które w stuletnią rocznicę Paweł Popiel wskrzesił. Po gimnazyum w Krakowie — gdzie znów dom babki, pani Marcinowej Badeniowej na Pocieszce i dom rodzicielski zostawił wspomnienia wszystkich znakomitszych ludzi ówczesnych — następują dwa lata studyów prawnych na uniwersytecie warszawskim, poczem wyjazd do Paryża w r. 1827.

Dwudziestoletni młodzieniec szedł w szeroki świat już z dojrzałością męża. Zacna matka ugruntowała wiarę, wpływ dziada i ojca zapewnił statek,

a umysł młody był żądny wiedzy i otwarty tylko dla rzeczy szlachetnych i wzniosłych. Tak przygotowani i wyrobieni, szli przed wiekami polscy młodzieńcy do Padwy, Bononii, Paryża, Lipska i tam w kronikach uniwersyteckich nacyi polskiej zaszczytnie zapisali swe nazwiska, budząc niekiedy, jak Jan Zamoyski lub bracia Sobiescy dojrzałością i statecznością podziw.

Paweł Popiel słuchał profesorów w Sorbonie, ale więcej jeszcze chwytał pełną piersią to nowe życie, które podówczas tryskało z koła Ozanama i od grona ludzi młodych, otaczających Lamennais'go.

„Wpośród zgiełku wojen napoleońskich — pisze Paweł Popiel we wspomnieniu o Lamennais'em — huku dział i odgłosu trąb, kilku ludzi z położenia mało znaczących, jeden nad Newą, drugi na poddaszu ciemnej ulicy paryskiej, trzeci nad brzegami Oceanu, podnoszą głos bez porozumienia, a prawie jednocześnie i jednobrzmiąco i wbrew prądom umysłów w filozofii, w polityce głoszą prawdy, wprawdzie jak świat stare, ale obecnie zapomniane. Ani łamiące się lody Ładogi, ani gwar paryskiego pospólstwa, ani huk wałów oceanu, roztrącanych o strome Armoryki skały nie przeraziły takiem zdziwieniem, jak głosy tych ludzi: nadstawiano pilnie ucha; jedni się śmiali, drudzy pienili ze złości, w innych znowu wstąpiła otucha, ujrzawszy geniusz w służbie prawdy; i rozpoczęła się walka, a kiedy jest walka pomiędzy prawdą a fałszem, to wiemy naprzód, po której stronie będzie zwy-

cięstwo: bo tylko cisza obojętności jest straszną, walka i prześladowanie zastraszyć nie potrafią".

Ci trzej — to de Maistre, Lamennais i Bonald. Hasło, które oni rzucili, wznieciło właśnie tę walkę prawd katolickich, jako pierwiastku odrodzenia — gdy Popiel przybywał do Paryża.

Odrazu obcy młodzieniec stanął w szeregu walczących, w obozie tych, którzy w dzienniku *L'Avenir* wstrząsali opinią Francyi i wskazywali powrót do Kościoła — a przygotowywali grunt do takich zwycięstw, jakiem stać się miała zdobycz wolności nauczania w Izbach za ministeryum de Falloux.

Był to pierwszy występ wielkiego szermierza sprawy katolickiej na obcej wprawdzie arenie, ale za wspólne wszystkim dobro i prawdę.

Jako współpracownik *L'Avenir*, wiąże się Paweł Popiel przyjaźnią dozgonną z Karolem hr. Montalembertem, O. Lacordairem, publicystą du Lac i z Ludwikiem Veuillot, który już wówczas odrębne zajmował nieco stanowisko.

Redaktor *L'Avenir*, mistrz nowej szkoły Lamennais, już wzbudza w młodym polskim współpracowniku obawy, bo choć pióro Orygenesa, a czoło ma Tertuliana, jak go w życiorysie maluje, ma Orygenesa dumę, ktora go ze szczytów strąci.

Jeszcze nie nadeszła była chwila walki dwóch prądów katolickich między sobą, ale już się naznaczała granica między szkołą tak zwaną katolików liberalnych a t. z. ultramontanów. Pierwsi porywali uczuciem i jakby urokiem romantyzmu, przeniesionego do zagadnień przyszłości, wierzyli

BIBLIOTEKA ZIEMI KRAKOWSKIEJ W KRAKOWIE

w pojednanie ducha wieku z Kościołem; drudzy zrażali ostrością i surowością stanowiska odpornego. Ale pierwsi dzielili złudzenia ówczesnych pokoleń o owocach wolności, mających wyróść na drzewie rewolucyi, a w które tylko zaszczepić chcieli słowo Ewangelii. Drudzy nie mieli tych złudzeń i w doktrynie katolickiej byli bardziej ściśli.

W Polsce ta walka pośrednio tylko na wyjątkowe oddziaływała umysły — ogół jej nie znał i nie rozumiał różnic i odcieni.

Ktokolwiek występował u nas przeciw indyferentyzmowi lub ignoracyi, które najczęściej torują drogę niedowiarstwu — ten bywał przezwiskiem „ultramontanina“ piętnowany. Tak i Paweł Popiel. Przezwisko czy obelga i tym razem była niezupełnie prawdziwą. Paweł Popiel był rzymskim katolikiem z głębi duszy i we wszystkich konsekwencyach, jakie to słowo nakłada; był katolikiem w każdym czynie życia, w każdej swej myśli i słowie; ale gdybyśmy się zapytali, do którego z tych dwóch odcieni, dzielących obóz katolicki we Francyi, się przechylał, tobyśmy przyznać musieli, że był bliższym Lacordaira i Montalemberta, niż Ludwika Veuillot. Wielki miłośnik wolności, nie dzielił złudzeń liberalizmu i parlamentaryzmu, ale szukał zawsze otwartej areny, na której z podniesioną przyłbicą walczyć można za prawdę. Z udziału w redakcyi dziennika *L'Avenir*, z obcowania z najznakomitszymi mężami, którzy tę szkołę stworzyli i ten ruch otwarli, wyniósł on gorliwość i wyro-

zumiałość, miał wspólną metodę działania na umysły i wielką dla szczerych przekonań tolerancyę.

Nie lubił żadnej ciasnoty w rzeczach wiary — i wyprowadzał swych przyjaciół na wysoką górę, aby z niej ukazać szeroki widnokrąg, objęty ramionami krzyża.

Rozdziały stronnictw katolickich we Francyi się zatarły — jedność utwierdzona przez Sobór Watykański znajduje nowe pola działania dla przyszłości, które otwiera Leon XIII. I znów, jak wśród huku dział napoleońskich, odzywają się głosy z różnych stron i obozów, aby wracać do chrześciaństwa dla ratunku społeczeństwa i dla uzdrowienia chorób wieku.

Tej chwili czekał Paweł Popiel przez całe życie, wytężając wzrok w przyszłość, a zwracając go zawsze do krzyża, jako znaku zbawienia dla ludzi, społeczeństw i narodów.

Francya posiadała wyłączny dar i niepostradała go dotąd wytwarzania idei, które idą w świat daleko. Z niej wszelkie, zwłaszcza w naszem stuleciu, płynie misyonarstwo, czy rewolucyjne, czy katolickie. Miota ona iskry, jak baterye elektryczne, które wydają dwa prądy, dodatni i ujemny. Do Polski z tej machiny elektrycznej puszczano zbyt często prądy ujemne, które swemi wstrząśnieniami działały zgubnie na rozstrojone nerwy i osłabiony stos pacierzowy. O Pawle Popielu powiedział pięknie i prawdziwie Marszałek kraju, że on wziął z tradycyi polskiej samo zdrowie – a znów z kul-

tury europejskiej jego natura przyjmowała tylko zdrowie i dobro.

Paweł Popiel był jednym z najświetniejszych i najgłębszych przedstawicieli kultury zachodniej w społeczeństwie polskiem XIX wieku, i był jednym z tych, którzy odnowili i utwierdzili za swoje pokolenie pakt cywilizacyjny Polski z Zachodem. Pierwszy i główny artykuł tego historyczno-cywilizacyjnego przymierza zapisany przed dziewięciu wiekami, przyjęciem chrześciaństwa z Rzymu, dokumentuje i stwierdza każde następne stulecie misyą dziejową rzymsko-katolickiej Polski wśród ludów słowiańskich, podległych schizmie lub rozerwanych husytyzmem, dokumentuje go zdobyczami polskiego ducha, całą chwałą polskiego oręża w odsieczy chrześciaństwa, wszystkiemi cierpieniami ostatniej epoki. Przemazać ten jeden artykuł jedności wiary z Rzymem, a runie cała nasza historya jako bezcelowa i przepada racya bytu Polski na świecie. Następnie idą wpływy spuścizny klasycznej, rzymskiego prawa, pojęć zaczerpniętych z autorów starożytnych w złotym wieku naszej literatury. Choć to wszystko niewydało silnych instytucyj publicznych, urobiło naród polski w niespożyty indywidualizm duchowy, na modłę etycznie i kulturalnie najwyższą. Przez ten sojusz na północnym wschodzie, jesteśmy jedynymi współdziedzicami tej najwyższej, najszlachetniejszej cywilizacyi, która z rzymskiego Forum i Kapitolu przeszła przez katakumby, która wiodła dalej zachodnie społeczeństwo przez chrzest rycerski kru-

cyat na najwyższe szczyty dziejów świata. Przekreślić ten pakt z Zachodem, wydzielić z ducha narodowego to, co weń z Rzymu i Zachodu wpłynęło przez wieki, a wnet z historycznej Polski nie zostanie, jeno etnograficzny materyał bezbarwny, tylko gmina słowiańska, może także pozbawiona indywidualnej własności jak w Wielkorosyi, substrat bezoporny dla przyszłej organizacyi panslawistów i komunistów.

Dziś rozumieją to wybornie ci właśnie, co jak najprędzej chcieliby u nas ujrzeć *tabula rasa*. Wówczas przed sześćdziesięciu laty mało kto pojmował, na czem się zasadza sama istota ducha narodowego. Jeden z pierwszych od młodości Paweł Popiel, sięgnął do jego rdzenia i ten dziejowy i cywilizacyjny sojusz z Zachodem położył jako kamień węgielny swego systemu i programu. Doktrynerem go niekiedy zwano, ale dlatego właśnie, że miał pełną doktrynę na prawdzie dziejowej i filozoficznej osnutą, widział dalej i sięgał głębiej niż najbieglejsi politycy. On umiał do każdej chwili stosować te prawdy zdobyte mozołą umysłu i ducha, a zobaczymy później, w chwilach rozstajnych dróg dla narodu, że się nie mylił, gdy ku zachodowi zawsze wytykał drogę.

Mówimy tu o związku cywilizacyjno-duchowym Polski z Zachodem, nie zaś o owych złudzeniach dyplomatycznych, tem mniej rewolucyjnych, zwracających się także ku Zachodowi. Nikt bowiem wcześniej od niego nie poznał, jak były zgubne, nikt śmielej przed niemi nie ostrzegał.

Jeśli młodzieńcem we Francyi wzmocnił te podstawowe prawdy — to kultura zachodnia rzuciła także na tę postać swój zewnętrzny połysk. A była to może najświetniejsza epoka, gdy formy światowe straciły przesadę i manierę przeszłowieczną, gdy salonowość odrodzona za restauracyi nabrała treści i nowego czaru przez rozbudzony ruch umysłowy, rozkwit sztuki i literatury. Pięknym zabytkiem, może ostatnim, tej światowej kultury zachodniej z pierwszej połowy stulecia pozostał do końca pan Paweł. Jakżeż uroczo przesuwały się w jego opowiadaniach wspomnienia tego salonu europejskiego w wielkim stylu, jak się rysowały najznakomitsze, najświetniejsze postaci, jakie zaznał za młodu. Polskie społeczeństwo miało podówczas w tym świecie europejskim bardzo zaszczytny udział — dość wspomnieć te panie polskie, o których pan Paweł mawiał z zapałem i wdziękiem. Pierwsze wśród tych wspomnień miejsce zajmowała pani Jarosławowa Potocka, córka hetmana Seweryna Rzewuskiego, siostra Emira, której salon w Wiedniu, Genewie i w Paryżu przepełniony był zawsze pierwszorzędnemi znakomitościami ze świata dyplomacyi, literatury, sztuki — dalej pani Rozalia Rzewuska, której matka z Chodkiewiczów Lubomirska zginęła pod gilotyną, a dwaj synowie Leon i Stanisław dzielili z Pawłem Popielem najwyższe zagadnienia badawczych umysłów. Pani Laura z Potockich Tarnowska, która w kraju tej kultury europejskiej była przedstawicielką — i wiele innych.

Z Paryża udaje się młody Popiel do Londynu, dobrze polecony, poznaje najwyższe społeczeństwo angielskie i zasiada u stołu księcia Wellingtona.

Na początku roku 1830 powraca Paweł Popiel do Warszawy i wstępuje do urzędu w ministerstwie spraw wewnętrznych pod Mostowskim. Dobra to była szkoła — zbyt krótko trwać miała. Stan już był gorączkowy. Karbonaryzm wśród wojska, spiski wśród młodzieży nie były już tajemnicą. Co gorsza, że u góry wśród tych co dźwigali odpowiedzialność za rząd i za ster opinii, wyjątkami byli ludzie zasad. Trafiały się wśród starszych wyjątki wyleczone z libertynizmu wolteryańskiego: Badeni, Kajetan Koźmian, Grabowski minister oświecenia — kilka rodzin zamieszkujących razem słynny dom na Grzybowie. Większość świata warszawskiego była bez steru moralnego. Przez sejmy przechodziły ustawy bezwyznaniowe, jak prawo o rozwodach; a rząd polski znosił klasztory, uprzedzając późniejsze rządy rosyjskie.

Od grona młodych myślicieli przybyłych z Francyi wyszedł duch katolicki. Ścierały się jeszcze w tem gronie przekonania: Stanisław Rzewuski, którego genialny umysł Popiel z podziwem wspominał, stał na gruncie wiary, później miał silnie na nim stanąć brat jego Leon; Zamoyski Zdzisław wyprzedził braci i pociągnął Władysława. W tem gronie żył Paweł Popiel.

Wśród nocnych rozmów omawiano już wszystkie wielkie problemata, które dziś stoją na po-

rządku dziennym przyszłości europejskiego społeczeństwa, kataklizmów czy normalnych ewolucyj.

Jednego wieczora między zebranych wpadł znajomy Niemiec, młody uczony, korespondent augsburskiej gazety, błagając o ratunek i schronienie, bo rewolucya wybuchła.

Ci młodzi przyjęli tę wieść jako narodowe nieszczęście — ale wszyscy nazajutrz wzięli karabin i stanęli w szeregach.

Jako szeregowiec, Paweł Popiel zaciąga się do legii poznańskiej. Polityk milknie a żołnierz się budzi.

Najświetniejszym dniem życia całego został dlań dzień bitwy grochowskiej.

„Bitwa pod Grochowem — pisze w jednem ze wspomnień — będzie zawsze jedną z najpiękniejszych kart w historyi polskiej. Politycznie miała przeważne skutki — wojskowo, taktycznie należy do wielkich bitew, jakie kiedykolwiek stoczono; i Schmitt i Willisen robili nad nią studya; honor Polski w niewczesnem powstaniu skompromitowany politycznie, wojskowo wyratowała. Po ogłoszeniu manifestu sejmowego, po akcie detronizacyi, wojna była konieczna, to co nierozważnie wyrzekło słowo, krwią zatwierdzić należało; wieczna chwała i wdzięczność tym, co w tej bitwie polegli; szczęśliwi, którzy w niej czynny udział brali. Wielu z nich pomarło, a byli to ludzie: Leon Rzewuski, Władysław Zamoyski, Leski, Janusz Czetwertyński, Rottermund, Tomasz Potocki. Żyją (pisane w r. 1877) wielkiego męztwa: Ja-

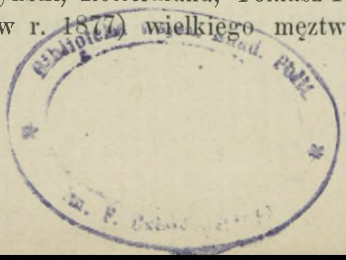

błonowski, Kruszewski, Roman Sanguszko, Nabielak, Leon Sapieha. Cervantes pisał lewą ręką, ale mówi: „Utraciłem prawą rękę pod Lepanto, ale co to znaczy, kiedy się miało szczęście walczyć pod Lepanto“. I ci ludzie mogą z pociechą powiedzieć: „Byliśmy pod Grochowem“. Na innem miejscu Paweł Popiel dodaje: „Ręki nie straciłem, arcydzieła nie napisałem, ale Bogu dziękuję, że na starość wspominać mogę, iż byłem pod Grochowem, pod Dębem i pod Warszawą“.

Od jednego z towarzyszów broni słyszeliśmy, że na pobojowisku bitwy grochowskiej znalazł płaszcz żołnierza, a w nim trzy książki do nabożeństwa; wnet koledzy zawołali: to płaszcz Pawła Popiela. A nie zaniedbał on w dniu tym odmówić różańca, który odmawiał codziennie przez lat siedmdziesiąt bardzo czynnego i pracowitego życia.

Prezes rządu książę Adam Czartoryski potrzebował biegłego pióra do redagowania po francusku not dyplomatycznych i korespondencyi zagranicznej. Z obozu powołuje do tego szeregowca Pawła Popiela.

Była to bolesna dlań ofiara znów zbliżyć się do smutnych konjunktur politycznych, nic dobrego dla sprawy nie wróżących, zamiast iść naprzód do boju. Nastąpiło atoli zbliżenie z prezesem rządu, którego cnotę patryotyczną i charakter na krój starożytny zawsze podziwiał.

Z kancelaryi prezesa rządu Popiel przyglądał się bliżej bolesnej walce wewnętrznej, ścieraniu się ambicyj, matactwom przywódców ulicy, klu-

bowej wrzawie. Gdy był w obozie, patrząc na męstwo żołnierza, wierzył w możność powodzenia; tracił nadzieję, gdy wrócił do stolicy i polityczną widział bezradność.

Jak dzień 25 lutego, dzień bitwy grochowskiej, nazywał najpiękniejszym w życiu — tak najboleśniejszym, najwstrętniejszym był dlań dzień 15 sierpnia.

Gdy po tym wybuchu anarchii i teroryzmu książę Adam od steru ustąpił, Popiel wrócił do obozu.

Był on na Woli z Sowińskim i patrzał na szturm Warszawy. Urok wspomnień własnych nie wstrzymuje surowego sądu o zgubności wybuchu listopadowego i następstwach powstania, gdy w ostatniej spowiedzi politycznej, którą ogłosił na parę tygodni przed zgonem, chwałę przyznaje, odmawia zasługi tym, co wiedli, i tym, co walczyli w roku 1831. Zdaniem Pawła Popiela, powstanie nie tak rychło byłoby upadło i Warszawa byłaby się obroniła i doczekała pośrednictwa, z jakiem przybywał jenerał Caboga z Wiednia, którego Andrzej Zamoyski przywoził jako rozjemcę, gdyby wewnątrz w opinii anarchizm i krzykactwo nie były wzięły góry.

Są daty, które dają swoje piętno pokoleniu. Tak rok 1831.

Ostatnia wielka wojna narodowa odnowiła dawne rycerskie męstwo, dawną chwałę i dawną polityczną krewkość, a nieporadność, ale podniosła uczucie patryotyczne do ideału. Nietylko lu-

dzie, ale książki mają tę cechę trzydziestego pierwszego roku. Będzie to na wieki epokowa data dla porozbiorowych dziejów polityki, życia społecznego i literatury. Na różne drogi rozeszli się ci ludzie: tamci na wychodźtwie, ci zostali doma, przy ziemi; tamci imali się pióra, ci pługa — i w ideach i w przekonaniach równe rozbicie i przełom — ale wszyscy wynieśli z tej walki coś wyjątkowego, jakąś jędrność i siłę niespożytą, jakiś lot w górę i hart duszy niezwykły.

W bogatej i różnoskładowej naturze Pawła Popiela, z poza tradycyi poprzedniego pokolenia, pokolenia Czteroletniego Sejmu, z poza wpływów kultury zachodniej, występowało do końca życia to piętno żołnierza, który walczył pod Grochowem, Dębem i Warszawą. Cokolwiek czynił w życiu rodzinnem i obywatelskiem, czy w politycznych zapasach, czy naukowych przedsięwzięciach, szedł naprzód z odchyloną piersią, jakby do szturmu w Olszynce, lub stał nieugięcie przy sztandarach zasad, jak tam wśród gradu kul w asekuracyi armat.

Po powstaniu osiadł w odziedziczonej po ojcu Ruszczy pod Krakowem, wrócił do książek i zajęć naukowych, zaczął gospodarować, nie przerywając ciągu rozległych a doborowych stosunków z wszystkimi znakomitszymi ludźmi w kraju i za granicą.

W r. 1833 dnia 21 lipca poślubił Emilię hrabiankę Sołtykównę. Niedawno wizerunek tej chrześciańskiej niewiasty przyszło nam ze łzą w oku

kreślić. Dziś boleść podwójna, gdyśmy patrzeli, jak w pół roku połączyły się znów dwie trumny we wspólnym grobie pod kościołem w Ruszczy. Długo rodzina, przyjaciele i włościanie patrzyli w ten otwór ciemny, zanim go zasunięto kamieniem. A jednak była to raczej rzewna tęsknota pozostałych niż boleść, co ogarnia serca — był to niemal akt dziękczynienia za te wszystkie błogosławieństwa, pożytki, za to zbudowanie, jakie wypłynęły na całe społeczeństwo z tego stadła przez lat 58 — i jakie w dalekie pokolenia z tego grobu płynąć jeszcze będą.

Po zgonie ś. p. Emilii z Sołtyków Popielowej, piszący miał sposobność natrafić na zbiór korespondencyi, zaczynającej się przed sześćdziesięciu laty między kilkoma młodemi przyjaciółkami. Korespondencya ta młodych panienek, potem żon i matek, następnie matron, dostarczy kiedyś wątku do historyi odrodzenia religijnego w Polsce po epoce wolteryanizmu. Zanim mężczyźni mozolną pracą ducha — grono dziewic uczuciem wróciło do wiary. Dwie siostry Sołtykówny, Emilia i Aniela, trzy siostry Lubienieckie, dwie Stadnickie, urodzone z Popielównej, z Wodzickich Konarska, stanowiły to grono. Długie i częste listy mają taką woń najczystszej miłości Bożej, która samorodnie w tych duszach się zrodziła i oddziaływała na otoczenie, na rodziców, rozgrzewając przygasłą ich wiarę; taka przytem gruntowna znajomość zasad i dogmatów, bez żadnych sztucznych i chorobliwych zboczeń fantazyi i egzaltacyi, taka niezwykła

w uczuciach niewieścich równowaga i spokój, w zrozumieniu obowiązków życia i wymagań świata, aby ich nie zaniedbać, lecz poddać prawu Bożemu i podnieść do cnoty, że czytanie to przypomina pisma pani Craven lub pani Hahn Hahn, ale przewyższa prostotą, bo jest na ton Filotei św. Franciszka. Kierownikiem duchownym tego grona był znakomity zakonnik O. Leszczyński, Dominikanin.

Wielką była radość przyjaciółek, gdy Emilia Sołtykówna oddawała rękę Pawłowi Popielowi. Wyjątkowy to w owych czasach był młodzian, co skarb wiary, wzięty od matki, wyniósł z burzy świata bez żadnej utraty, owszem wzbogacony i spotęgowany jeszcze wewnętrzną pracą ducha — zdobywał on w danku serce dziewicze, pełne miłości Bożej, która spłynęła jak promień łaski wbrew atmosferze ówczesnej, pełnej jeszcze lekkości i niedowiarstwa.

Na tym kamieniu, co zamknął grób chrześciańskich małżonków, możnaby wyryć Tacytowskie: *Vixerunt mira concordia per multam caritatem et in vicem se anteponendo* i dodać na trumnie Emilii Popielowej także z ulubionego przez męża Tacyta: *in majora nitenti decus fuit ac robor.* Była bowiem „ozdobą i siłą temu, który dążył coraz wyżej“ — „a żyli w przedziwnej zgodzie, w wzajemnej miłości jedno drugie przewyższając“.

Lękamy się, że za długo mówimy o tem, co było serc tajemnicą, a zostało domu świętością. Dziewięciorgiem dzieci Pan Bóg ten związek po-

błogosławił — a gdy brat Ludwik Popiel po stracie żony odumarł siedmioro sierót — dwór w Ruszczy był za ciasny, więc do zamku w Kurozwękach przenieśli się państwo Pawłowie, aby pospołu bez żadnej różnicy w miłości i troskach liczne grono własnych dzieci i bratanków wychować na służbę Bogu i pożytek kraju.

Wychowanie tak licznej rodziny, utrzymanie wzorowe fortuny, pomnożonej żony wianem, zadania gospodarskie, zajęcie się ojcowskie ludem — wszystkie obowiązki obywatelskie, choć spełniane tak, że dawały wzór i pobudkę do ekonomicznych i moralnych postępów okolicy, niemal całemu krajowi, nie zdołały wypełnić tak zadziwiającej czynności potężnego umysłu i wielkiego serca, ciągle ku ludziom, ku światu, ku sprawie publicznej zwróconym.

W ostatnich czasach powtarzamy zbyt często, że w Polsce uczucia przeważały nad rozumem, że patryotyzm z serc trzeba przenieść do głowy. Jest tylko względna w tej reakcyi prawda. Nie zawsze miłością jest to, co się za miłość podaje, nie zawsze z serca to płynie, co z rozsądkiem niezgodne. Serce niech tętni silnie i gorąco, ale szczerze i głęboko, jak tętniło u Pawła Popiela, a nie będzie w rozterce z rozumem. Gdyby serce chciało brać przewagę nad głową, to sumienie równowagę przywrócić winno. I umysł tępieje, gdy uczucia chłodną, lub zamykając się w obojętności, szukać będzie zasłony dla swej nieczynności w krytyce wszystkiego co go otacza.

Nie znał Pawła Popiela, kto mniema, że to był tylko rozum potężny, tylko charakter na zasadach wsparty. Kłamią ci oszczercy, co go o chłód, twardość, wyłączność pomawiają. Nie miała Polska gorętszych miłośników, jak ci „gasiciele". Na targ polityczny nie wyprowadzał swych uczuć, ale miłość rozlewał dokoła. Była to doskonała miłość bliźniego, ojczyzny, miłość dobra i piękna — a ponad tem miłość prawdy, bo wszystko wypływało z miłości Boga.

Miłość ojczyzny była nietylko gotowością do poświęcenia bezgranicznego, gotowością do służby, nawet bez względu, czy chwila po temu, jak po tej nocy listopadowej, pełnej złych przewidywań i przeczuć, gdy zrana wstąpił w szeregi — i do cięższych jeszcze ofiar, w bardziej bolesnych chwilach, a wstrętnych warunkach, gdy w lat trzydzieści nie wstrzymał dwóch synów, choć widział przepaść.

Patryotyzm Pawła Popiela nie był tylko zwróconym do idei oderwanej od ziemi — on miłował wszystko, co polskie: stare zabytki, stare pieśni, stare księgi i lud polski, wszystko znał, badał, wszystkie rodzime odczuł i zrozumiał tajemnice. Patryotyzm ten był ciągłem czuwaniem; choć wszyscy spali dokoła w ogólnej apatyi, on działał, gdy działania pole było zamknięte. Na pierścieniu pamiątkowym Redakcya *Czasu* swemu niegdyś szefowi to wypisała godło: *Animum sicut arcum intentum tenebat.*

Kochał Paweł Popiel przeszłość, ale miał wzrok wytężony w przyszłość, i do najmłodszych szedł, aby badać, co się tam budzi w sercach, co roi w głowach, jakie zwiastuje się jutro. On z każdem odradzał się pokoleniem i ten miał dar dziś ginący, że pierwszy spostrzegł, pierwszy odnajdywał tych, w których tkwi zaród czegoś wyższego, czegoś pożytecznego dla społeczeństwa.

Chrześciańska miłość bliźniego — nie wspominamy już o tej, która nakazuje jałmużnę dla ubogich, nie dopuszcza nikomu krzywdy, która roztacza ojcowstwo nad sługą, poddanym i każdym zależnym, w tem wszystkiem był Paweł Popiel wzorem miłości chrześciańskiej — ani o tej miłości bliźniego w światowem życiu, w staropolskiej gościnności. Mury zamku w Kurozwękach, podwoje dworu w Ruszczy, salony domu na Śto-Jańskiej, miały pod tym względem zbyt wiele rozgłosu, aby tej cnoty gościnności pamięć nie zaginęła u nas tak prędko.

Ale ta miłość bliźniego, która jest miłością jego duszy, która otwiera serca i zdobywa umysły — w tem pan Paweł nie miał podobno w swem pokoleniu równego, w tem nieprędko znajdzie następcę. I ztąd może największa ku pamięci zmarłego męża zawziętość, że Paweł Popiel przerzedził szeregi przeciwników zdobyczami swego rozumu, magnetyzmem swego serca, wpływem swego charakteru, urokiem kultury, że wstrzymał w zapędach młodzieńczych Kalinkę, Szujskiego, że ich tylko dwóch wymienimy; że stał się przewodnim

duchem dla młodych i coraz młodszych generacyj, choć nie przewodnikiem, jak błędnie mniemają, stronnictwa. O stronnictwie zwartem często marzył, lecz sam bardzo niezawisły — niezawisłość w drugich szanował. W wyznawaniu zasad stanowczy, mężny, szczery do bezwzględności, z fałszem walczył, przeciwników zwykł tłómaczyć, chciał szanować, gdyby oni się szanować umieli.

Ciągły podział i wymiana myśli były potrzebami jego ducha. Dziś ta potrzeba słabnie i nie znajdzie prędko dla siebie ogniska. Myśl jest, jak pieniądz, który im częściej zamieniany i w kurs puszczany, tem więcej się mnoży.

Tylko w częstem ścieraniu rozszerzają się poglądy, wyrabiają przekonania, zbliżają do siebie nawet sprzeczne stanowiska; odkrywają wzajem strony wspólne, oznaczają się przedziały.

Paweł Popiel od zebrań w redakcyi dziennika *L'Avenir* lub w *cercle Ozanam*, gdzie wówczas przewodniczył Bailly, założyciel Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, od nocnych z Rzewuskimi i Zamoyskimi przed powstaniem dyskusyj — ileż zmierzył kwestyj, przetrawił systematów i doktryn spornych w takiej zamianie myśli.

Na wsi z sąsiadem Józefem Gołuchowskim całą wyczerpnął filozofię Hegla i jego następców — a ślad tych dyskusyj pozostał w „Dumaniach“ polskiego filozofa, który z panteistycznych błędników zwrócił się ku uznaniu indywidualności Boga, duszy ludzkiej i całego porządku historyczno-społecznego, na tych wspartego zasadach. Ztąd znana

oryginalna a głęboka doktryna Pawła Popiela o dwóch systematach: o antytezie organizmu społeczeństw chrześciańskich, z mechanicznym ustrojem — o przeciwieństwach zasad osobowości z atomizmem. Nie dla wszystkich przystępna teorya była wynikiem walki z hegeliańskim panteizmem.

Następnie zjazdy i narady w rzeczach filozofii, nauki i polityki w Kurozwękach i w Chrobrzu z Aleksandrem Wielopolskim, Konstantym Świdzińskim i Ant. Zygm. Helclem. W Krakowie Piotr Małachowski do tych zagadnień dorzucał wątek sztuki, której Paweł Popiel był wielkim miłośnikiem i znakomitym znawcą.

W późniejszych czasach spotykamy w jego domu doborowe grono mężów niezwykłej miary, co tak świetnie nasze zainaugurowali życie polityczne: Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Walery Wielogłowski, Maurycy Mann, Henryk Wodzicki, Franciszek Paszkowski, Zyblikiewicz, Józef Badeni — a przed każdem imieniem schyla się czoło z czcią i żalem. Zdanie pana Pawła bywało tu często rozstrzygające, zawsze niezbędne w wytknięciu dróg i postawieniu zasad.

Odnowiona z Leonem Rzewuskim przyjaźń znalazła teraz wspólny grunt gorącej wiary, do jakiej doszedł ten głęboki myśliciel.

Ileż spraw tam poruszono, ileż myśli tam powstało, które przeszły w czyn, stały się podstawą polityki kraju. — Wpływ jego sięgał po za mury Krakowa i stosunki Galicyi — w Warszawie i Królestwie zaznaczał się równie silnie — a sięgał do

Wielkopolski przez przyjaźń i ciągłą zamianę myśli z Morawskimi, Chłapowskimi, biskupem Janiszewskim.

Ciąg dalszy tych rozmów nawiązał się na wieczorach czwartkowych u pana Pawła, które trwały lat dwadzieścia kilka — z jakim pożytkiem, z jaką rozkoszą dla umysłów, niech świadczą ich uczestnicy, dziś tak żałobni.

Od sztuki i archeologii rozmowa przechodziła całą skalę kwestyj bieżących i zagadnień zasadniczych. Swobodny jej tok normował gospodarz, udzielając kolejno głosu.

W dzień złotego wesela w Ruszczy goście czwartkowi złożyli w hołdzie swemu amfitrionowi puhar z napisem:

Niechaj puhar potomności powie,
Że z niego pili na złotem weselu
Czwartkowi goście Pana Pawła zdrowie,
Śląc to życzenie pośród życzeń wielu:
Żeby po leciech znów obchodził z nami
Złotą rocznicę czwartków nad czwartkami.

Wróćmy do czynów i działania ś. p. Pawła Popiela.

Okres lat kilkunastu po r. 1831 zostawia białą kartę w historyi politycznej trzech dzielnic Polski i wolnego miasta Krakowa, jak też mija w Europie bez ważniejszych zdarzeń dziejowych.

Toczyły się czasem teoretyczne dyskusye między Chrobrzem a Kurozwękami na tle augsbur-

skiej gazety lub *Journal des Débats* — o torysach angielskich, szwajcarskim Sonderbundzie, o ustroju nowego królestwa belgijskiego, którego niepodległość była zasługą szlachty katolickiej tego kraju. Czasem krótka podróż za granicę odświeżała stosunki, otwierała nowe poglądy. Spotkania z Andrzejem Zamoyskim nasuwały myśli postępu ekonomicznego, a zwłaszcza reformy moralnej obywatelstwa w kraju. Do Krakowa dostawała się przez zacnego kupca Bochenka książka z zagranicy — nieraz zakazany owoc wzbudzał obawy w umyśle pana Pawła, gdy broszura miała cechę wersalskiego koła, ale też często książka z emigracyi wzbudzała zachwyt i rozkosz, gdy tą drogą do Ruszczy dostał się pierwszy egzemplarz *Pana Tadeusza*. — Żadne działanie polityczne nie było możliwe. Jeden tylko akt odporny został we wdzięcznej pamięci Krakowian. Trzej komisarze opiekuńczych rządów przygotowywali zamach na Uniwersytet Jagielloński, jakoby zbyteczny w tak małym kraju, jakim była krakowska Rzeczpospolita, a niebezpieczne ognisko dla sąsiednich mocarstw. Pierwszy Helcel powziął o tem wiadomość i wezwał trzech przyjaciół na naradę. Wielopolski, Świdziński i Popiel postanowili wszelkich użyć środków, aby ratować tę przesławną wszechnicę, choć będącą wówczas w zastoju. Popiel zredagował memoryał; wręczono go komisarzom z podpisami senatorów i posłów, ale użyto wpływów na trzech dworach, aby protestacya skutek osiągnęła. Paweł Popiel jeździł do Wiednia i miał

dłuższą z księciem Metternichom rozmowę. Zamach na Uniwersytet został odwrócony.

Z czasów propagandy socyalistycznej emisaryuszów wersalskich, z czasów konspiracyi, która działała w Galicyi przez szlachtę na jej zgubę — nie mamy piśmiennych lub tradycyjnych śladów odpornego stanowiska tych kilku mężów, potężnych lecz zbyt nielicznych pionierów konserwatyzmu polskiego. To jednak pewna, że od tych czasów datuje się ich niepopularność. Gdy margrabia pisał „List szlachcica polskiego do księcia Metternicha“, Popiel dostrzegał już w głosie oburzenia swego przyjaciela niebezpieczną groźbę. On ku Północy nie lubił się zwracać nawet w takiej strasznej chwili — więc do przyjaciela hr. Montalemberta wysłał daty o krwawych zajściach, które posłużyły do słynnej mowy w Izbie parów.

W r. 1848, gdy do wcielenia Krakowa gubernator Galicyi Wacław Zaleski utworzył Radę administracyjną i na jej czele postawił męża równych zdolności politycznych, co talentu artystycznego, Piotra Michałowskiego, przyjaciel jego Paweł Popiel obrany został radcą miejskim, a miał sobie to za jeden z najzaszczytniejszych tytułów przez całe życie i do trumny kazał złożyć godło radzieckie.

W r. 1848 jeździł do Wiednia i Kromieryża bez mandatu, wzywany na naradę przez grono przyjaciół, którzy mieli utworzyć mniejszość konserwatywną w krańcowo radykalnem Kole polskiem.

Dziwne w tym roku zapanowało pomieszanie pojęć i zwroty ludzi. Leon Rzewuski z zamku podhoreckiego, pełnego portretów antenatów, wydaje we Lwowie ze znanym demokratą, Karolem Widmannem — *Postęp* pomawiany o dążności antyszlacheckie, a nie sprzeniewierza się swym przekonaniom, gdy dąży, aby prędko i stanowczo uregulować reformy społeczne. Interesu szlacheckiego broni Meciszewski, zdolny, ale niezbyt pewny w zasadach publicysta w dzienniku *Polska*. Trzeba zasady od interesów odróżnić — nie można bronić tego, co się utrzymać nie da, ale prądowi, który płynie wartko, szumi i grozi zalewem, trzeba pewne, spokojne otworzyć koryto. Z tych pojęć nowych u nas, powstała pierwotna myśl założenia *Czasu*, na obronę polityki zasad, której pierwszą czatą była mniejszość siedmiu posłów w Kromieryżu.

Pierwszy Nr *Czasu* wyszedł dnia 3 listopada 1848 r. Artykuł wstępny napisał szef redakcyi Paweł Popiel. Czytamy w nim: „Pisarz, przemawiający za prawdą, jest to wojownik, jest to kapłan, który walczyć powinien z odwagą i miłością. Zbrojni jedną i drugą, śmiało i z dobrem sumieniem przychodzimy w chwili tak uroczystej, mówić do narodu naszego głosem przekonania, które w nas spokojne zapatrywanie się na rzeczy, a poniekąd znajomość stanu społecznego i niejakie doświadczenie polityczne wyrobiło. Pismo nasze nie jest ani spekulacyą, ani organem stronnictwa...“

Miara powyższych słów, a zarazem wstrzymanie się od programu świadczy o stanie rozgorączkowanej opinii, do której Popiel przemawia ze spokojem i powagą, ale bez tej siły i ognia, jakie zwykły znamionować jego pióro.

Czas działał trzeźwiąco i uśmierzająco — lecz walka zasadnicza wnet się wszczęła. Siedmiu posłów mniejszości złożyło mandaty i odwołało się do wyborców, a w ponownym wyborze Adam Potocki w Chrzanowie przepadł wobec Krzyżanowskiego, kandydata radykalnej *Jutrzenki*.

Były chwile wzburzenia w Krakowie; z beczek przemawiano do ludu, wykładając teorye falansterów; na Pawła Popiela przygotowywał się zamach czy napaść, którą kierował demagog Leon Zienkowicz.

Niepodobna w szkicu biograficznym przechodzić z dnia na dzień wypadków i omawiać przesuwające się kwestye przez trzy najgorętsze, najtrudniejsze dla publicysty lata, gdy Popiel stał na czele redakcyi.

Adam Potocki uwięziony na Zamku — młody Cesarz przybywał do Krakowa, towarzyszył mu Gołuchowski. Popiel z Edwardem Stadnickim żądają audyencyi dla deputacyi szlacheckiej, otrzymują cierpką odpowiedź, że szlachty niema — zniosła jej wyłączne stanowisko konstytucya.

Dyktuje szef redakcyi młodemu naówczas Kalince artykuł wstępny na powitanie monarchy, a w nim daje uczuć bolesny niepokój, jakim Krakowian napełnia zagadkowy proces polityczny naj-

znakomitszego obywatela tego miasta, ale zarazem zatwierdza silnie zasady monarchiczne i rzuca pierwsze słowo lojalności wobec tronu i państwa. W tem miejscu Kalinka odkłada pióro, że tego pisać nie może, czego nie czuje; popiera go Mann.

Cenzura rozstrzygnęła kwestyę, z góry oświadczając, że żadnego artykułu o przyjeździe cesarza nie przepuści. — Atoli wobec różnicy zasadniczej z kolegami Paweł Popiel z redakcyi w dniu tym ustępuje, zachowawszy najszczerszą, najserdeczniejszą przyjaźń i wspólnictwo z tymi, z którymi się rozszedł.

Ten niewydrukowany artykuł powitalny Popiela i ten okrzyk: *Es lebe der Kaiser!* jaki wzniósł przed sądem w parę miesięcy później Adam Potocki, gdy mu odczytano ciężki wyrok i ułaskawienie monarsze: to są jakby pierwsze hasła tej polityki, którą w lat kilkanaście miał zatwierdzić adres sejmowy w znanych słowach: przy Tobie Najj. Panie stoimy i stać chcemy!

Drogę do tego pojednania odłamu narodu polskiego z monarchią Habsburgów torował z góry osobistem swem stanowiskiem namiestnik Gołuchowski; ale jego rola odosobniona wobec opinii kraju, jego charakter silny lecz szorstki nie byłby przeciągnął opinii wszystkich stronnictw, gdyby z drugiej strony mężowie niezawiśli tego programu w przekonaniach swych nie wyrobili.

— Nie znosił mnie Gołuchowski — mawiał pan Paweł — ale pierwszy wyznaję, że mu się należy uznanie narodu, jako jednemu z najbardziej poli-

tycznych mężów stanu. Napisał też świetną paralelę między Gołuchowskim a Wielopolskim.

Wyprzedzanie wypadków bywa tylko udziałem tych, których zowią doktrynerami w przeciwieństwie do oportunistów — udziałem ludzi zasad. Przed umysłem Popiela tak w dniu owego przesilenia w redakcyi, jak później wobec zmieniającego się systemu rządów, stanęły dwie alternatywy: albo anarchia albo monarchizm, i do tego monarchizm katolicki — albo ze Wschodem, lub z Zachodem.

Z Zachodem i tylko z Zachodem, to, jak już wiemy, stanowiło dogmat w jego przekonaniach politycznych, w jego zasadach katolickich, w jego poczuciu cywilizacyjnem i etycznem. To był jedyny punkt różnicy z autorem „Listu szlachcica polskidgo“, jedyny może powód, że w chwilach stanowczych między przyjaciółmi chłód zapanował. Monarchistą był Popiel z natury i z zasad, choć jako katolik twierdził, że niema form bytu politycznego, uświęconych na zawsze, i pojmował stanowisko Leona XIII i misyę kardynała Czackiego wobec Republiki francuskiej.

Monarchistą był i legalistą, choć nie dzielił złudzeń i uporu swych przyjaciół legitymistów francuskich. Wobec rządu niezawisły — niczego nigdy nie żądał — odznaczenia od siebie odsuwał; nawet wobec tej władzy, dla której miał cześć najwyższą, wobec Stolicy świętej, od ofiarowanej sobie wysokiej dekoracyi się wymówił i prosił w zamian o błogosławieństwo papieskie. Do tronu

zbliżał się z czcią należną majestatowi i z wdzięcznością serca polskiego. Tytuł tajnego radcy przyjął nie bez zdziwienia i wewnętrznej walki, ale użył go na to, aby Monarsze w dłuższem posłuchaniu przedłożyć szczere i wierne przedstawienia, żałoby i rady. Nie dziś jeszcze mówić o ich osnowie.

Przerywa się epoka politycznej akcyi i publicystycznej walki.

Odgłos dzwonów, bijących na alarm, na inne powołał go pole działania. Kraków stał w płomieniach — gorzały starożytne jego świątynie. Hr. Arturowa Potocka zakłada w bramie pałacu „pod Baranami“ biuro pomocy i opieki nad pogorzelcami. Piotr Moszyński staje na czele komitetu, do którego także należy Popiel.

Ale on ma tu inne jeszcze zadania, niż chwilową pomoc dla dotkniętych klęską: trzeba ratować pomniki przeszłości, odbudować z gruzów przepalone, zawalone kościoły.

Paweł Popiel był jedynym podówczas znawcą sztuki w Krakowie. Wiadomo, co z zabytkami przeszłości robił rząd wolnego miasta; z trudnością Artur Potocki uratował bramę Floryańską od wyroku zburzenia, jakiemu uległ ratusz i wiele innych pamiątkowych budowli.

Pobyt we Francyi w epoce rozbudzonego romantyzmu, zwrotu do średniowiecza i jego sztuki, dały pierwszy popęd do gruntownych studyów, gdy Boisserée wydaje w litografiach arcydzieła malarstwa kolońskiej szkoły i przywraca sławę

Flamandom XV stulecia. — Niemcy Veit, Overbeck i nieco później Führich zwracają się w Rzymie do przedrafaelowskiej epoki i tworzą dzieła, natchnione uczuciem religijnem. Był to wyraz artystyczny tego zwrotu, który w filozofii i literaturze tak gorąco zajmował umysł Popiela.

Winckelmann poprzednio dał podstawy zwrotu do sztuki klasycznej i włoskiego renesansu. Miłośnik świata klasycznego, goręcej jeszcze chwytający wszystko, co ideą chrześciańską owiane, Paweł Popiel wykształca zmysł estetyczny, nabiera znawstwa i powagi, a idzie z sztuki postępami.

W Krakowie nie ma się z kim dzielić tą swoją miłością. Z malarzy jeden tylko Stattler umiał zrozumieć ten zapał, znał Włochy i Francyę, szedł z duchem artystycznym i tworzył zawiązek szkoły.

Z pomocą Stattlera i jego umiejętną ręką uratował Popiel od zniszczenia sławny obraz Kulmbacha „Kazanie św. Jana“ w kościele Panny Maryi. W Ruszczy kościół gotycki z pomnikiem Wierzbięty i pięknym witrażem otoczył swą opieką. W Balicach, gdy hr. Sołtykowa, matka żony, budowała pałac, umieszcza odlewy popiersi królów z epoki Odrodzenia. Wszystko, co się robiło na polu restauracyj przed rokiem 1848, opierało się na jedynej powadze i znawstwie pana Pawła.

Nie dziw, że na odgłos pożaru Krakowa, Cesarz mianuje go pierwszym konserwatorem zabytków budownictwa i sztuki.

Odbudowa kościoła Dominikanów jest jego zasługą. Stał na rusztowaniu, gdy sklepienie zawaliło się ponownie; nie stracił odwagi, zebrał ponownie fundusze i odbudował wspaniałą świątynię.

Zniszczenia pożaru wzbudziły ofiarność ogółu, wznieciły miłość poniewieranych poprzednio zabytków, stały się jednym z czynników budzących ruch i życie artystyczne.

Konserwator, nie szczędząc trudu i grosza, z kościoła Dominikańskiego przechodzi na Wawel i tam odnawia w kaplicy Jagiellońskiej (Sołtyka) zniszczone malowania ruskie z czasów królowej Zofii, według wzorów bizantyńskich, jakie sprowadza z Konstantynopola.

Protestuje energicznie i skutecznie przeciw wandalizmom w pałacach królewskich na Wawelu i przy restauracyi *Collegium majus*.

Z kolei przystępuje do dwóch dzieł: do restauracyi wielkiego ołtarza u Panny Maryi, najwspanialszego tryptyku wieków średnich, i do grobowca Kazimierza Wielkiego.

Przy restauracyi grobowca odsłaniają się niespodziewanie zwłoki wielkiego prawodawcy, o których mniemano, że są niżej pawimentu kościoła. Z najwyższą czcią grono powołanych przystępuje do przełożenia tych szczątków czcigodnych. Trafiło się to w chwili, kiedy nowy dziennik opozycyjny szukał dla siebie żeru, a komitety do demonstracyj narodowych szukały pozoru.

Przy tym grobowcu królewskim wszczęła się jedna z najbardziej skandalicznych walk dzienni-

karskich. Oskarżano najzasłużeńszych mężów o świętokradzki rabunek i uderzono w tarabany na wielką manifestacyę. Pamiętnym jest wspaniały pogrzeb Kazimierza Wielkiego w r. 1869, który tych sporów był zakończeniem.

Pół roku później odsłania się ołtarz Wita Stwosza, bliski poprzednio zupełnemu zniszczeniu.

Po Józefie Lasockim, Paweł Popiel, obrany prezesem dozoru kościoła Panny Maryi w r. 1878, rozporządza umiejętnie funduszami i zaczyna od tego, co najwięcej groziło zniszczeniem — od niebotycznych pinaklów i szkarp gotyckich na zewnątz presbiteryum i od witraży w trzech oknach przy wielkim ołtarzu, które cało wyszły z przeistoczeń infułata Łopackiego i późniejszych kanonika Łancuckiego.

Nie odrazu Popiel i nie bez oporu zgodził się na to, aby przystąpić do radykalnej restauracyi wnętrza świątyni. Przewodniczył gorliwie robotom oczyszczenia presbiteryum z przeróbek i dodatków, jakie pozostały z epoki zepsutego smaku. Gdy architekt Stryjeński wydobywał i uzupełniał pierwotne kształty budowy XIV wieku, gdy mistrz Matejko rozpoczął wielkie dzieło polichromii, widywano często sędziwego prezesa komitetu na rusztowaniach, pnącego się do sklepień świątyni, a nie dziwił się temu nikt, kto znał zapał młodzieńczy ośmdziesięcio-letniego starca dla sztuki chrześciańskiej, miłość tej świątyni, która nietylko chwały Bożej, ale i sławy naszych ojców jest przybytkiem. Odnowa presbiteryum zamknęła sze-

reg prac i dzieł, jakie zapisały na zawsze imię Pawła Popiela w kronikach naszego miasta.

W kościele Franciszkanów, gdzie pomniki Kochanowskich Jana i Piotra i gdzie sam patron jest poetą, funduje pomnik przyjacielowi, co śpiewał o „Ziemi naszej“ i „Domu naszym“.

Sprawy te bywały najczęściej wstępem pogadanek czwartkowych — ale dawały pole do szerokich dyskusyj i prac przygotowawczych w gronie ściślejszem doborowych powag. Nieraz te sprawy dotyczące sztuki i pamiątek, stawały się przedmiotem namiętnych i stronniczych polemik.

Czy o restauracyę Sukiennic, czy o pomnik Mickiewicza chodziło — wrzawa dziennikarska chciała rozstrzygać za danem hasłem, bez względu na piękno i cel właściwy. Anarchizm nie mógł milczeć, gdy przykładano rękę do budowania i odbudowywania. Zmysł destrukcyjny objawiał się zwykle, przeszkadzając dziełu i rzucając na ulicę pytania, o których rozstrzygać mogą tylko kompetentne koła.

P. Paweł znosił pociski, a rzeczy nie opuszczał, imał się dzieła z zapałem młodzieńczym, z sądem doświadczonym i umiejętnym, z miłością dla tego miasta, gdzie *saxa loquuntur*.

W kościele Maryackim wdzięczność obywateli miasta i rodaków ma obowiązek położyć marmur ku wiecznej pamięci Pawła Popiela.

Jeszcze studentem po raz pierwszy wprowadził piszącego do domu Popiela w r. 1861 Wielogłow-

ski. Pan Paweł podejmował uczestników zjazdu Towarzystwa rolniczego, a był to z wszystkich zjazdów najświetniejszy. Pierwszy toast gospodarza był na cześć przyjaciela, którego imię było wówczas pierwszem w Polsce, pana Andrzeja, w ręce syna Stanisława Zamoyskiego. Najwymowniejsi ludzie przemawiali tego wieczora: Niegolewski, Franciszek Węgleński, Adam Potocki, Zyblikiewicz, Henryk Wodzicki.

Na ulicy już bywało rojno i gorąco — w kościołach pełno. Zewsząd rozbrzmiewały wzniosłe pieśni, jakby przypuszczano szturm do nieba za ojczyznę, ale u wyjścia z kościołów rozdawano tajne odezwy, często pamflety.

Trzydzieści lat upłynęło — przyjaźń z najmłodszymi synami pana Pawła, tego wieczora zawarta, przykuła do tego domu, z którego tyle wynosiło się skarbów.

Trzydziestoletni okres *grande aevi humani spatium*, w doli narodu cięży wiekami: tyle klęsk, walk, tyle zmian i nieszczęść w sobie zamyka.

Paweł Popiel już był w niełasce opinii.

Bożyszczem międzynarodowej rewolucyi był rycerz z Caprery; próbierzem tego prądu była walka z „ultramontanami“. Ferment ten zaczął się już od poruszenia kwestyi władzy doczesnej w broszurze La Guéroniera i uwodził umysły u nas gwałtowniej, niż można się było spodziewać w katolickim kraju. Adres do Piusa IX z zatwierdzeniem praw Stolicy św., był głównym grawaminem przeciw autorowi Popielowi i przeciw tym, co go

pierwsi podpisali: Potockiemu, Lubomirskiemu, Rzewuskiemu. Mann i Golian chwytają za pióro, aby wskazać, że ważniejszą dla nas niezawisłość Papieża, niż przyjaźń *Italia giovine*. — Paweł Popiel wysyła syna do szeregów, a gdy otrzymuje opis udziału w boju pod Mentoną i Castelfidardo, przechowuje go jak najdroższą pamiątkę do zgonu, każe złożyć do trumny.

Niedawno najmłodszy brat Wincenty powrócił był z seminaryum w Lowanium i z akademii Sapienza w Rzymie; za towarzysza tych studyów dał był pan Paweł bratu, którego był opiekunem, młodego kleryka z Krakowa, zadziwiony pięknem jego kazaniem na odpuście w Morawicy. Był to Zygmunt Golian. Do królewskiego archiwum w Hiszpanii niedawno wysłał pan Paweł młodego publicystę, aby studyami historyi, poszukiwaniem dokumentów do dziejów polskich uśmierzyć gwałtowną naturę, która w pamflecie Pęcławskiego się naznaczyła, a ukrywała wielką zdolność. Tak więc Golian i Kalinka, dwie chwały kleru i literatury polskiej w naszem stuleciu, wyszły z tego domu.

Kilkakrotne podróże do Rzymu, świeżo spędzona zima w wiecznem mieście, wznowiły dawne, nawiązały nowe węzły ze znakomitościami katolickiego świata, jak słynny archeolog Rossi, kardynał Hergenröther i Bianchi.

Więc dom ten na Śto-jańskiej, jako „ognisko ultramontańskie“, zwracał na siebie najgwałtowniejsze pociski.

Inne grawamina: to ścisła przyjaźń z hr. Clam-Martinitzem, wsparta na wspólności poglądów federacyjno-monarchicznych — to adres, „pieluszkowym“ zwany, z okazyi przyjścia na świat następcy tronu, a wysłany przez grono krakowskich konserwatystów do Wiednia. Było to pierwsze łamanie lodów w polityce, którą kraj przyjął i zadokumentował w lat kilka później adresem do tronu po październikowym manifeście i zbyt tłumną deputacyą.

W Krakowie widywano często margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, zwykle w loży *Czasu*, w teatrze z Popielem i Mannem. Wśród krakowskich przyjaciół łatwiej się wynurzał, niż później w Warszawie. Dziś przyjaźń tego męża stanu a gorącego patryoty, była niemal synonimem zdrady dla tych, którzy pchali, lub pchać się dali w otwartą przepaść.

Ciężkie to były chwile, straszne miały nadejść lata.

Dlaczego się nie zbliżyły dwie posągowe postacie: pierwszy w kraju obywatel i jedyny mąż stanu, dlaczego Margrabia z panem Andrzejem nie podali sobie rąk dla ratowania sprawy? to tajemnica bardziej psychologiczna, niż polityczna. Niesprawiedliwością jest rzucać odpowiedzialność za to na tych, którzy stali w pośrodku, a Paweł Popiel szczycił się równą przyjaźnią i zaufaniem obu tych mężów. Sprzeczności usposobień były zbyt wielkie, ale silniejszym był prąd, który miał tych mężów strącić, a kraj w krwi zanurzyć, prąd z za-

granicy i z dołu, od centralnego komitetu, i prąd z północy, z tamtym nieraz się łączący.

Pana Andrzeja wywieziono z kraju. O jego kilkunastoletniej pracy ku moralnemu i ekonomicznemu podźwignieniu społeczeństwa, Popiel z najgorętszem wyrażał się uznaniem; dziś zbyt o niej zapomniano. Margrabia w jednym roku wydobył ze swej głowy więcej niż gdzieindziej sejmy przez lat kilkadziesiąt: dał prawa i stworzył cały ustrój od gminy, rad powiatowych, aż do uniwersytetu; do wszystkiego wybrał znakomite siły z całej Polski; lecz z nikim przewodnią swoją myślą się nie dzielił, nawet z Helclem.

Byli Wielopolszczyki, to jest ci, co rozumieli to dzieło i bronili go jawnie, do tych Popiel, jego bracia i synowie należeli; ale Margrabia poparcia nie szukał i nie żądał utworzenia stronnictwa, może dlatego, że organizacya stronnictwa szlacheckiego zaprowadziła za daleko pana Andrzeja.

Nadszedł wybuch. Piszący widywał często Pawła Popiela i może poświadczyć, że nieprawdą jest, aby kiedykolwiek miał się zawahać; przez cały czas rozpaczliwej walki powtarzał to, co wydrukował na parę tygodni przed śmiercią w pracy: „Słowo w długoletniej rozprawie“.

W Paryżu chciał się przekonać, ile było złudy w obietnicach, a raczej o ile z najmniejszą szkodą ze strasznej można wydobyć się toni. Rozmowa z dawnym znajomym z powstania 1831 roku ministrem Walewskim zrazu była potwierdzeniem słów ministra Billault, wypowiedzianych w Izbie:

„że Polska więcej od wspaniałomyślności Aleksandra II, niż od interwencyi zagranicznej spodziewać się może“. W dni kilka pod wpływem wiadomości z Wiednia zmieniła się sytuacya, inny wiatr powiał i inny był ton rozmowy Walewskiego.

Powróciwszy, nie chciał już wstrzymywać synów, ale przekonania nie zmienił i w ciężkiej boleści widział pewną zgubę, która wszystko miała pochłonąć.

W r. 1864 ujął pióro do ręki przeciw przywódcom zgubnego ruchu.

Na co to wznawiać, kiedy ten, co otwarł, zamknął dyskusyę, odezwał się nad grobem i postawił ostatni obrachunek Polski z rewolucyą.

Kto ma uszy ku słyszeniu, kto ma serce polskie i sumienie w duszy, a zmysły niepomieszane, ten niech słucha, niech czyta. Jeśli go ten głos, pełny majestatu śmierci, głos męża, który staje przed sądem Bożym, nie wzruszy do głębi, nie otworzy ócz, z tym niema już co rozprawiać.

Rok 1863 zostawmy historyi. Dziś inne nadciągają chmury i nie o sposób ratowania ojczyzny będzie to rozprawa.

Gdy Walery Wielogłowski z młodym towarzyszem rozpoczynał wydawnictwo *Ogniska* od słów: „pożar ustał, swąd pozostał“, Paweł Popiel wytykał krewnemu i przyjacielowi ironię, jak ją później naganiał *Tece Stańczyka*, może niezupełnie słusznie, bo jest śmiech, co jest wyrazem największej boleści, a łatwiej wstrząśnie, niż głos poważny i gromki.

Skutkiem polemiki nastąpiło pierwsze spotkanie Popiela z Szujskim, spotkanie, któremu Szujski przyznawał, jak tylko wyższe charaktery przyznawać chcą i umieją, stanowczy wpływ i zwrot. Rozpoczął się nowy proces w tym potężnym a tak szlachetnym umyśle badacza i myśliciela, a procesu tego wyrazem była rozprawa: „Kilka prawd z przeszłości ku rozważaniu dla przyszłości“. W piśmie tem stanęła definicya *liberum conspiro*, jako źródła anarchii porozbiorowej po *liberum veto*. Pismo to było wytknięciem nowej drogi, na której silnie zjednoczyło się grono kilku przyjaciół. Wyszła w roku 1869 *Teka Stańczyka!*

Do Stańczyków Paweł Popiel się nie zaliczał, w ich naradach nie zasiadał. A gdy ci, co patrząc z przeciwnego obozu, na odcieniach się nie znają, zawołają: „był gorszym od Stańczyków“! — my dodamy, że miał dla Stańczyków sympatyę i szacunek, wspólność w wielu punktach i cieszył się z ciągłego utwierdzania i doskonalenia ich zasad. Dążył zawsze do tworzenia stronnictwa, ale gdy to grono powstało, nie dzielił metody, może dlatego, że był z innego pokolenia. On pojmował stronnictwo z silnie utwierdzonym sztandarem zasad, ale z otwartemi na wsze strony drzwiami dla adherentów, chcących do sztandaru się przyznać i w szeregu stanąć.

I znów może się mylił. W Polsce zasady nie dają rękojmi silnego zjednoczenia, bo mało kto pojmuje konsekwencye zasad. Werbunek bywa łatwy, ale prędsze jeszcze rozluźnienie, jeśli kilku

ludzi, ściśle spojonych, kierunku nie wytknie, często nie narzuci.

Bądź co bądź, przyznajmy, jest różnica dwóch pokoleń w stronnictwie konserwatystów krakowskich. Adam Potocki lotnością swej duszy porywał ludzi i w każdym dojrzał najpierw stronę dodatnią, pożyteczną. Jerzy Lubomirski działał na wyobraźnię i na serca; Wodzicki miarą, Paszkowski spokojem niejednę niewczesną załagodzili waśń — a Paweł Popiel przekonywał a szlacheckim swym typem, miłością ludzi usuwał uprzedzenia do krańcowości swych zasad. Brakło tych ludzi, wnet przybyło u nas uprzedzeń wzajemnych.

Wybierał swych żołnierzy Gedeon, zanim uderzył do szturmu; oddalił tych, którzy czerpali wodę w hełmy; my dbajmy tylko, aby źródło było czyste, mniejsza, jak kto z niego czerpie. Dziś nie czas na wybór, namby należało powołać pospolite ruszenie, uzbroić rezerwistów do obrony od anarchizmu, który nie przestał wichrzyć w sprawach narodowych i od tego anarchizmu, który zagraża własności, rodzinie i porządkowi społecznemu.

Tyle tytułów niepopularności trzymało długo zdala Pawła Popiela od udziału bezpośredniego w sprawach organizującego się samorządu Galicyi i w walkach o polityczne zasady w ustroju państwa. Gdy mandatu żadnem ustępstwem w zasadach nie chciał okupywać, choć do służby kraju był zawsze pochopny, chwytał pióro do ręki.

Do Sejmu wybrany przez szlachtę ziemi krakowskiej dopiero w r. 1876, zasiadał w nim przez lat pięć i złożył mandat przed końcem kadencyi. Postawił i motywował wniosek o zaprowadzenie internatów przy seminaryach nauczycielskich, wniosek przyjęty przez Sejm mimo opozycyi lewicy — ale dotąd nieprzeprowadzony. Zasiadał w komisyi gminnej, bo tą kwestyą żywo i oddawna się zajmował, pragnąc zastosowania w Galicyi wybornej organizacyi gminnej Wielopolskiego w Królestwie, która zwycięsko przebyła i przebywa najcięższe próby i świadczy, że nawet w tak nieprzyjaznych warunkach jest ona jednym z czynników zespolenia dwóch warstw społeczeństwa wiejskiego. — W Izbie przemawiał kilkakrotnie w kwestyach zasadniczych, a pamiętną jest mowa w kwestyi wyznaniowej, zaczynająca się od słów: „Gdybym nie miał szczęścia być katolikiem, chciałbym być żydem“.

Były to czasy żywych uprzedzeń, czy uraz między wschodnią a zachodnią Galicyą. Ten stary konserwatysta krakowski, którego imię zdaleka przestraszało niektórych, zdobył sobie najżywsze sympatye wśród posłów podolskich i otaczała go w Izbie i Kole ogólna cześć. Zjednała ją nietylko powaga rozumu i wieku, ale ten krój szlachecki, ta polubowność wobec ludzi, przy stanowczości w rzeczach i zasadach.

Czyliż wspominać mamy o kilkoletniem gorliwem przewodnictwie w Radzie powiatowej krakowskiej, czyli przypominać żywy udział we wszyst-

kich sprawach bieżących i w spełnianiu obowiązków obywatelskich, choćby z narażeniem swej osoby, jak przy ostatnich wyborach w sali „Sokoła“. Przypomną to okoliczności zbyt żywo, gdy wśród nas Popiela zabraknie.

Niegodzi się przypomnieć, że Paweł Popiel studentem zapisany w księdze Sodalisów Maryi, uczestnik wielu starych krakowskich bractw, przez dziesięć lat stał na czele Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, i to dzieło miłosierdzia chrześciańskiego, przy którego zawiązku był we Francyi przed 60 laty, rozkrzewił się w naszym kraju.

Za długo rozpisaliśmy się — a powiedzieliśmy za mało.

Stosy pism, rozrzuconych po dziennikach, broszury i rozprawy, złożą się niebawem w jednę z najpoważniejszych książek politycznych XIX wieku. Miały one znaczenie doraźne — każde z tych pism było czynem; ale są one jak wino, któremu czas doda jeszcze mocy. Jędrnością języka Popiel zbliżony do autorów złotego wieku, dla przyszłych pokoleń poda miarę ludzi, wypadków i zasad, o jakie toczyła się walka,

Czyliż od spraw publicznych mamy wracać jeszcze do spraw domowych? Bóg zlewał błogosławieństwa, ale i mnogie zsyłał krzyże. Córka zamężna odumiera czworo sierót, synowie przynoszą zaszczyt, córki pociechę. Jeden z synów walczy w obronie Głowy Kościoła, drugi na katedrze prawa rzymskiego w Warszawie; wszyscy zasadami i nauką idą śladem ojca. Dwóch naj-

młodszych umiera w kwiecie wieku: jeden z nich, kapłan wielkiego światła i wielkiego hartu, nie dożył, aby pobłogosławić rodzicom złotego wesela. A gdy od służby ołtarza Bóg powołuje do siebie Kazimierza Popiela, jedna z córek opuszcza dom rodzicielski dla mistycznego Oblubieńca w zakonie Urszulanek. Najmłodsza pozostaje opiekunką starości rodzicielskiej.

Wkoło ubywa przyjaciół, wspólników myśli i dążeń. Paweł Popiel, jak już powiedziano na wstępie, zostaje nasiennikiem na wyrębie. Zdwojony to obowiązek wobec młodszych pokoleń, i wpływ coraz szerszy, posiew coraz obfitszy pada na młodsze pokolenia.

Paweł Popiel odradzał się z każdą nową generacyą, umiał wyrozumieć jej dążenia i uczucia, jak szedł do końca z całym ruchem świata. Na miesiąc przed zgonem słyszeliśmy go, jak się skarżył: „Ja już nie widzę, czytać nie mogę, mało z ludźmi obcuję, żyję dawnym kapitałem“. Skarga to bogacza duchowego, który przez 85 lat nagromadził takie skarby wspomnień, nauki, a do końca chciał jeszcze iść naprzód i gromadzić; jakież to przeciwieństwo z tą obojętnością i brakiem ciekawości ludzi młodych, którym się zdaje, że już wszystko posiedli.

W ostatnim roku trzy trumny wnuczek, zgon syna pierworodnego i rozstanie z towarzyszką życia wyczerpuje potężny organizm i skraca te piękne dni starości o pełnym rozkwicie młodzieńczego jeszcze ducha, umysłu o sile męskiej.

Rwie się już duch do wieczności i stroskane serce do tych, co wyprzedzili; ale ręka rzuca ostatnie wyznania i rachunki ze społeczeństwem, a myśl do ostatniej chwili zwraca się ku przyszłości Kościoła i narodu.

Jak dąb, co pozostał na wyrębie — runął mąż, który był pomnikiem przeszłości a rzucał posiew na przyszłość. Długo opierał się wichrom, które przedwcześnie powaliły o wiele młodszych. Korzeniami tradycyi sięgał czasów przedrozbiorowych, wiązał nasze pokolenie z wszystkiemi chwilami chwały, czy boleści stulecia niewoli — konarami wyrósł wysoko do szczytów wiedzy i wiary, a nie tracił tej zieloności, jaką odmładzał do końca pokolenia wyrosłe wśród dżdżów jesiennych i mroźnych grudni kończącego się stulecia.

PISMA PAWŁA POPIELA.

Nie sądzę, aby w którejkolwiek nowożytnej literaturze doliczyć się można tylu pisarzy politycznych, co w polskiej. Gdzieindziej są epoki, gdy zakwita ten lub inny dział umiejętności politycznych: prawo narodów w wieku Monteskiusza; w wieku encyklopedystów Russeau zakłada fundamenta pod rewolucyjne prawa człowieka — to znów od Adama Smitha krzyżują się do dziś dnia różne systemata ekonomiczne; od Hegla rozwija się doktryna wszechwładzy państwowej, dalej idą najnowsi socyologowie. Ale to wszystko ma krój doktryny i szarą barwę, jaką Goethe w każdej widzi teoryi. U nas nie znaleść książki, obejmującej całość umiejętności politycznych, ale za to przez trzy wieki wodzowie i mężowie stanu, ziemianie i żołnierze zabierają głos w sprawach publicznych i zostawiają ślad swych poglądów, dążeń i zasad, swej gorliwości obywatelskiej i patryotyzmu. Iluż tu przesunęło się reformatorów, moralistów, polemistów, chwytających potrzeby chwili, przewidujących przyszłość, nawołujących do naprawy, ostrzegających przed upadkiem.

Nie wystarcza żywe słowo w narodzie o tak wcześnie rozwiniętym i tak wcześnie spaczonym parlamentarnym ustroju. Wertując dyaryusze starych sejmów i sprawozdania nowszych zgromadzeń, niewiele znajdziemy tam śladów wielkiej wymowy politycznej, którąby można porównać już nie mówimy do starożytnych wzorów, ale choćby do czasów Foxa, Bourkego i Pitta w Anglii, lub do trybuny francuskiej, gdy na nią za Ludwika Filipa wstępowali Berryer, Guizot, Montalembert, Thiers i Falloux. Mniemam, że znamiennem jest to ubóstwo i mierność naszej wymowy politycznej, to bogactwo, jędrność i doniosłość literatury politycznej. W przedrozbiorowej i porozbiorowej Polsce chciano częstokroć pismem ratować i naprawiać, co psuło i gubiło żywe słowo, bo tam gwar, frazeologia, poklask arbitrów czy galeryi, popularne hasła przeważały, tu działała rozwaga, refleksya rozumu i nauki, i odzywał się głos sumienia, choćby pod godłem: *dixi et salvavi animam meam.*

Po znakomitej, nie wiem czy dość czytanej i rozważanej książce „O pisarzach XVI wieku“ — możnaby oczekiwać może z tego samego pióra książki o pisarzach politycznych XVIII wieku, tych, co poprzedzali i przygotowywali reformę wielkiego sejmu — i tych, co po Staszicu, Ignacym Potockim, Kołłątaju, Linowskim stanowią przejście i zastosowanie tych zasad do wyrunków tak tragicznie zmienionych, a jednak przygotowujących glebę pod nowy posiew.

I czego tam nie rzucano od stu lat w tę glebę, przeoraną pługiem obcych rządów? Bibliograf już dziś znajduje niemałą trudność w ułożeniu katalogu broszur, odezw, pism okolicznościowych, polemicznych, rozpraw dziennikarskich z wszystkich dzielnic i z emigracyi. Dla przyszłego krytycznego historyka będzie to praca herkulesowa, objąć w jednolity obraz tę walkę zasad polityczno-społecznych, tę niezmierną wybujałość zbawców ojczyzny, lekarzy społeczeństwa, szermierzy polemicznych, reformatorów różnej kategoryi. Wszystko staje się polityką: poezya i historya. Naprzeciw zastępu poetów, wywierających tak przeważny wpływ; a tak odmiennych, występuje szereg umysłów doktrynalnych, szukających kamienia filozoficznego dla zbawienia ojczyzny, ci idą od Russa, tamci od Hegla, inni od St. Simona, wreszcie inni od de Maistra i Balmesa.

W tym wirze i gwarze, wśród najdziwaczniejszych zboczeń i najoryginalniejszych kombinacyj pojęć, odnaleść będzie można znakomity poczet zdrowych umysłów, duchów wyższych, pisarzy politycznych pierwszorzędnego znaczenia i wartości.

Dalej lata 1791, 1831, 1848 i 1863, mogłyby posłużyć do podziału na epoki tych wartkich prądów, które spływają na nas otwartemi szluzami, spadają z wichrem z różnych stron świata i według tych dat możnaby ugrupować pisarzy politycznych i polityczne szkoły ostatniego u nas stulecia.

Mąż, o którego pismach w pośmiertnem wydaniu chcę mówić, bezpośrednią tradycyą sięgał

pierwszej z tych dat, a schodząc ze świata przed dwoma niespełna laty, przeżył i w znacznej części osobiście uczestniczył w wypadkach i przejściach trzech następnych okresów porozbiorowej historyi.

O człowieku nie będę mówił, nie chcąc się powtarzać i powtarzać innych — wszak pamięć jego tak świeża, żal tak serdeczny, cześć tak ogólna.

Dlaczego Paweł Popiel nie napisał jednego większego dzieła? Nikt z jego współczesnych w Polsce nie posiadał więcej danych, aby zostawić rzecz pomnikową, aby ująć w całość poglądy o historyi, o stosunku Polski do Kościoła, o podstawach ustroju chrześciańskich społeczeństw i państw w myśli Bożej i w porządku, objawieniem wskazanym. Gruntowność i wielostronność wiedzy, umysł filozoficznie wyrobiony, a oparty na dogmatycznej podstawie, zmysł krytyczny, doświadczeniem zaostrzony, a miłością łagodzony, jędrność słowa a myśli wzniosłość — w ręku zaś nie pióro, lecz rylec. Nieraz w poufnych rozmowach stawiałem to pytanie sędziwemu, śmiem rzec, przyjacielowi. Jego odpowiedź zadziwi tych, którzy panu Pawłowi zarzucali skłonność do doktrynerstwa.

— Książka filozoficzno-polityczna — mówił on — rzadko nie wpada w jednostronność, szuka bowiem jakiegoś kryteryum, stawia formułę i szablon, a życie człowieka i narodów od kombinacyi rozlicznych przyczyn zawisło. Trzeba geniuszu św. Tomasza, aby wszystkie węzły rozciąć. Prawdę polityczną i historyczną należy chwytać *in flagranti*,

w bezpośrednim związku faktów z premisami i następstwami, aby nie wpaść w doktrynę, której dzień jutrzejszy da zaprzeczenie.

Obok tej filozoficznej przyczyny była inna, która wstrzymywała Pawła Popiela od większego dzieła teoretycznego. Duch to był żądny czynu, a życie obowiązku i pracy. Pióro nie było głównem zajęciem, ale tylko pomocniczem narzędziem, okolicznościową bronią, którą chwytał, gdy czegoś trzeba było na razie obronić, jakąś prawdę stwierdzić, czyjąś zasługę uznać, na rozstajnych drogach kierunek wskazać. Z tych powodów z długiego życia, przez które praca umysłowa nie ustawała, owszem do końca w ciągłych nowych zdobyczach i świeżym utrzymywała się rozkwicie, a czujność obywatelska w miarę potrzeb, niebezpieczeństw i klęsk publicznych się potęgowała — z tego życia, tak pełnego, zostały tylko rozrzucone kartki i odłamy myśli, lecz te fragmenta przypominają odłamy antyków, potężne torsy w galeryach rzymskich: podobna tu siła i mistrzostwo w każdem cięciu dłuta.

Dziś wszyscy mówimy i piszemy mniej więcej jednako, że użyję gminnej przenośni, na jedno kopyto. Prąd niwelacyjny doprowadził styl literacki do jednostajności i monotonii. Przed trzydziestu jeszcze laty tak nie było i każdy miał swój język, właściwy tok myśli. Czy dziś już nie potrzeba dorabiać klucza, aby pisarzy owej epoki rozumieli późniejsi i ci, co stoją dalej? Szybko zacierają się najbliższe wypadki oraz walki zasad i prze-

konań im towarzyszące. Czy dlatego okolicznościowe Pisma Pawła Popiela nie wymagały jakiegoś komentarza, lub czy nie należało niektórych ująć w odpowiednią oprawę, jak kosztowną perłą lub cenną mozaikę? Ta wątpliwość nasuwa się, przerzucając zbiór rozpraw, broszur i artykułów, wydanych bez żadnych objaśnień, przypisów i lakonicznym tylko wstępem zaopatrzonych.

Kalinka mawiał, że w literaturze zdobywa się miejsce grubemi tomami. Niecałkowicie dzielę to zdanie; przeciwnie, mniemam, że w literaturze to tylko zostaje, co treściwe i zwięzłe, co główne zaenacza kontury, co wyprzedza żmudną wielotomową pracę następców i tryska pierwotnem źródłem. W dwóch tomach pism Pawła Popiela tryska niejedno takie źródło pierwotne, z którego czerpią ci, których dzieła i prace rzeką się rozlały. Są tu pierwsze ogniwa łańcucha myśli i zasad, przez innych szerzej rozwiniętego. Stąd nie należy wnosić, aby Popiel był głową stronnictwa lub mistrzem szkoły — sam zawsze skory uznać i przyjąć wpływ i dyskusyę, wyrozumieć każde stanowisko, ustąpić przed przodownictwem choćby o wiele młodszych, gdy dzielni. Mowa tu o wzajemności wpływu w pełnem wdzięku umysłowem obcowaniu. Z współczesnych, Józef Gołuchowski, Antoni Helcel, Aleksander Wielopolski, Leon Rzewuski, Maurycy Mann i Walery Wielogłowski, że tylko wymieniam ludzi pióra, nie zaprzeczyliby, ile zawdzięczali temu wspólnictwu zasad i myśli z Pawłem Popielem. Z młodszych tylko dwóch

wystarczy nazwać: Szujski i Kalinka po twardych starciach z Popielem, trafili na właściwą sobie drogę. Wiedzą o tem ci, co ich znali — zaświadczą i te Pisma, bo w nich jest ślad tych historyczno-politycznych dyskusyj i jakby pierwsza trasa nowej kolei w sądach o historyi i polityce.

A skoro tak wiele innym dawał — zkąd brał, jakie pierwiastki wchodzą w skład tej umysłowej indywidualności? Najszczęśliwszą tu była kombinacya pierwiastków rodzimych polskich i pierwiastków europejskich. Czego dotąd niedość wyjaśniły biografie, to może wskażą pisma, które — w Bogu nadzieja — uzupełni niebawem wydanie pamiętników Pawła Popiela.

I.

Wstęp bardzo zwięzły odsłania bezpośrednią sukcesyę pióra — ztąd ta wstrzemięźliwość, aby za wiele o autorze i pismach nie powiedzieć. Gdy się oddaje najdroższy rodzinny skarb na użytek ogółu, rozpisywać się nie można.

Pisma ułożone nie chronologicznie, ale materyami; często późniejsze idą wcześniej i na odwrót Niektóre z nich pominięte dla ważnych przyczyn; inne opuszczone, bo pisane na potrzebę dnia, utraciły aktualność, choć żal nam, że dziennik nasz nie został wezwany do udziału w wydawnictwie pism pierwszego redaktora *Czasu*, którego w pierwszem gronie współpracowników zwano sze-

fem. Od artykułu programowego w r. 1848 znalazłby się jeszcze spory i znaczący szereg krótkich zawsze, ale zawsze jędrnych artykułów i listów. Gdy za lat kilka nadejdzie półwiekowa rocznica założenia *Czasu*, z tych roczników o historycznej już wartości wydobyć będzie trzeba to, co zaważyło w dziejach kraju i rozdzielić zbiorową pracę, o ile tradycya dostarczy jeszcze kluczy. Pawła Popiela łatwo będzie poznać wśród innych po zacięciu pióra.

Pierwszy artykuł, w tym zbiorze zamieszczony, dotyczy kwestyi władzy doczesnej Papieża, a nosi za tytuł datę „12 grudnia 1866.“ Dnia tego, według konwencyi, wojska francuskie miały być odwołane z Rzymu. Słusznie dano tej kwestyi rzymskiej pierwsze miejsce. Te kilka kartek były pisane z tem samem uczuciem, z jakiem autor wysyłał syna w szeregi obrońców świeckiej władzy Namiestnika Chrystusowego. Paweł Popiel, ilekroć stawał do szermierki pióra, to gotów był za tę sprawę ofiarować własną krew. Gdy później mówić będzie o walkach za niepodległość Polski, to przemawia żołnierz z pod Grochowa i Ostrołęki. Tu przemawia żołnierz Chrystusowy, świadomy, że zamach, wymierzony na papiestwo, spada tem samem na wszystkie narody katolickie, zagraża niepodległości duchowej na świecie.

Nie w roku 1866, lecz o wiele wcześniej przed rokiem 1859 wystąpiła ta kwestya, poruszona broszurą Laguerroniera. Po zaborze legacyj rzymskich, Romanii i Marchii, przez lat dziesięć sprawa dzie-

dziny św. Piotra była otwartą i w całym świecie chrześciańskim zajmowała umysły, niepokoiła sumienia, pytające, jak pogodzić prąd narodowy z odwiecznem historycznem prawem Papieży rzymskich, opiekunów Italii.

W Polsce mało kto wśród wierzących rzecz tę pojmował. Zamęt pojęć, mający prowadzić do przewagi żywiołów rewolucyjnych w kraju, zaczął się od rozegzaltowania opinii za jednością włoską przeciw papiestwu. W obozie pod Mentaną i Castelfidardo szczupły zastęp stanął Polaków — w kraju było jeszcze mniej tych, co stawali po stronie Rzymu. W Krakowie pióro podjęło czterech: Paweł Popiel, Maurycy Mann, Leon Rzewuski i X. Zygmunt Goljan. Popiel od kilku lat często w tej sprawie odzywał się w *Czasie* — teraz streścił swe poglądy. Jest w tych kilku kartkach pogląd filozoficzny, jest i przewidzenie następstw politycznych. „A więc do czego to pismo? — pyta autor. — Mam najsilniejszą wiarę, że jak papiestwu nie pomoże dzisiaj żadne materyalne działanie, tak przeważnie dopomódz mu może i powinno moralne poparcie wszystkich katolickich, a nawet wszystkich chrześciańskich krajów, że nawet tak bezwładna zewnętrznie, tak politycznie nieznacząca ludność jak polska, byle sercem gorącem otoczyła Ojca św., przeważnie wpłynąć może na ustalenie jego doczesnych losów.“

Obrona podjętą była *suaviter in modo* — jednak wielka powstała wrzawa — a Popiel wraz z kilkoma przyjaciołmi, ścigany nazwą ultramon-

tanina, miał z tego powodu na długo zamkniętą drogę do służby publicznej w kraju.

Dziś bądź co bądź już lepiej ogół rozumie, że z Papieżem nie godzi się zrywać, że tam nasza ostatnia ostoja. Nieraz, gdy pan Paweł pytał: czy nas jest wielu jednomyślących, rachunek wypadał niezbyt pocieszająco, a jednak przekonania, które wyznawał i głosił wbrew ogólnemu prądowi, zrazu odrzucane namiętnie, przyjmowały się zwolna i wsiąknęły w atmosferę moralną myślącej części naszego społeczeństwa.

Jakaż to wrzawa, więcej, jakież groźby odezwały się na dwa pisma, które pojawiły się jedne z najpierwszych przeciw ruchowi, który kraj w głęboką pchnął przepaść. Nigdy Paweł Popiel bardziej nie był osamotniony nawet wśród swoich, jak wtedy, gdy z rozdartem sercem pisał: *Kilka słów z powodu odezwy ks. Adama Sapiehy.*

Już stały murawiewowskie szubienice w Wilnie, a na Ukrainie rzezią zakończyła się próba wybuchu, kiedy wzywano z Galicyi prowincye zabrane do chwytania za broń, aby przedłużyć gasnące powstanie, według paryskiej dyplomatycznej wskazówki: „tam Polska, gdzie powstanie.“ Odpowiedzią na te odezwy był ukaz o kontrybucyach. Paweł Popiel nie mógł dłużej wstrzymać tego, co wrzało w jego piersi od roku wobec samobójstwa narodowego. Równocześnie drugi głos się odezwał w tym samym duchu. Zbliżony wówczas do Walerego Wielogłowskiego i Pawła Popiela, widziałem, jak pusto było wkoło nas, a choć te głosy,

nawołujące do upamiętania, były pełne boleści, ale bez goryczy i szyderstwa, przyjęto je, jakby apostazyę, wrzawą, oburzeniem i groźbami — od najbliższych zaś padały zarzuty „szkodliwego rekryminatorstwa.“

W parę miesięcy później, gdy już ognie obozowe zagasły po lasach, ale nie zagasły ognie pożogi moskiewskiej, Paweł Popiel odzywa się ponownie w liście do księcia Jerzego Lubomirskiego.

Rozbierać tych pism nie będę — wszak długie lata miała trwać ta rozprawa. Dziś gdy o ruchu, poprzedzającym powstanie, o posągowych postaciach dramatu: Wielopolskim i Zamoyskim, o knowaniach spiskowych piszą się całe tomy, po dziełach historycznego kroju, jak Lisickiego, Spasowicza i znakomita książka *Historya dwóch lat*, warto wrócić do pierwszych tych głosów. Przybyło odtąd dużo szczegółów, bardziej rozjaśniwszy przebieg wypadków, ale stanowisko i pogląd, jakie Popiel w pierwszej chwili rozwinął, sądy o ludziach i przewidywania skutków, te zostały niezmienione, owszem stwierdzone faktami, w znacznej części przez ogół przyjęte.

Ton obu pism wolny od lekceważenia ofiar lub ironii; autor nie przemawia w imię chłodnego rozsądku i zimnego rachunku; każda karta pala żarem patryotycznego uczucia na widok zguby Ojczyzny. Nietylko oddana tam cześć ofiarom i bohaterstwu, ale nawet uznanie dla ludzi przeciwnego obozu, dla niektórych naczelników powstania, którzy legli, jak Czachowski, bronili się

do ostatniego, jak Chmieliński i Bosak. „Każde serce wzniosłe i polskie nie mogło patrzeć bez wzruszenia — pisze Popiel — na tę młodzież obywatelską, szkolną, rzemieślniczą, która z najczystszem poświęceniem biegła do Ojcowa, Goszczy po to, jak mówili i myśleli, aby śmiercią zaprotestować przeciw zaborowi Ojczyzny. Nigdy nic tak wzniosłego w życiu nie widziałem. Przygotowani na śmierć przez spowiedź i Komunię św., ze smętnym, ale uroczystym wyrazem twarzy, z powagą ofiary; nie wstrzymał ich ani płacz matki, ani powaga ojca; poszli i zginęli. Kiedy patrzę na to, co się dzieje, trudno mi co dobrego rokować na przyszłość; aby jednak ci ludzie zginęli byli napróżno, nie, temu nie uwierzę.“

Obok takich miejsc są także inne, pełne surowego sądu. Wszystkie rany dotknięte; nie pominął autor najboleśniejszej: teroryzmu i skrytobójstw, które do gromów dodały srom i skalały sprawę. Ale nie za to najostrzejsze odezwały się groźby i słowa potępienia przeciw autorowi. Oburzenie było skutkiem tego, że on pierwszy piętnował ów mityczny rząd i wzywał w imię miłości ojczyzny do buntu przeciw samozwańcom, do zorganizowania się na nowo ludzi dobrej woli z wykluczeniem tych, co dźwigali główną odpowiedzialność, że kraj wprowadzili na manowce rewolucyjne.

„Ani na Tobie, Książę kochany — pisze w liście do Lubomirskiego — ani na mnie, ani na przyjaciołach naszych nie cięży odpowiedzialność za to, co się stało, a jednakże nie jesteśmy bez winy,

bo było naszym obowiązkiem, błąd i zbrodnie, które potępialiśmy jawnie, potępić jeszcze głośniej i czynnie, a zachować żywioł polski od strasznego upadku, który przewidzieliśmy z góry...“

„Czegośmy nie zrobili, zróbmy dzisiaj; ale za to z bezwzględnością, z odwagą, z czynnością, której nam brakło, należy potępić spisek, jego zasady i środki. Znam ja dobrze nasz naród; przeważa w nim niezmierna większość zdrowych żywiołów, ale nie miały nigdy punktu oparcia i nie miały kierunku. Odwaga cywilna, o której brak nas oskarzają, jak jest kwiatem społeczności w normalnym tylko stanie będących, tak zaledwo można żądać, aby się pojedynczo objawiać mogła, musi mieć punkt oparcia w pewnem stronnictwie, z którego czerpię siłę, „bo biada samemu.“ Potrzeba więc koniecznie wyprzeć się ostatniego ruchu, uznać go i potępić jako zgubny, odtrącić ludzi, którzy mu przodkowali, albo mu potakiwali. A tutaj rozróżniam bezwłasnowolnych spiskowców, którzy zaprzedali sumienie stronnictwu rewolucyjnemu i ludzi dobrej woli, którzy rozumieli, że na gruncie narodowym potrafią wyrwać mu kierunek. Z pierwszymi niema zgody, wtrącili żywioł narodowy w przepaść, z której sprawiedliwość Boska wyrwać go chyba potrafi. Niechaj ich kraj osądzi wedle dzieła, które spełnili i wedle środków, których używali. Z nimi niema sprawy. Niechaj spadnie na ich głowę krew i łzy przelane, a niechaj nie podszywają się napróżno

pod sztandar narodowy. Drudzy zwróceni na właściwą drogę, mogą naprawić złe, które uczynili.“

Cytat dłuższy wydał mi się koniecznym, bo nie co innego, tylko ten jeden ustęp wywołał odrazu liczne protesta i stał się kamieniem obrazy, że przez lat trzydzieści blisko ścigano zań Pawła Popiela do śmierci, zarzucając mu, że ogłasza proskrypcyę. W pamięci rewolucyonistów utkwił ten ustęp tak głęboko, że jeden z nich może nietyle przewrotny, ile zacietrzewiony, w książce *Obrona spotwarzonego narodu* porównywał Pawła Popiela do Nerona, Marata, Dantona i Robespierra. Zaiste oburzenia te świadczą, jak Paweł Popiel trafił w sedno. Sprawcy nieszczęść narodowych chcieli nietylko chodzić z wieńcem obywatelskim i palmą męczeńską najlepszych synów Polski, ale chcieli zachować swą dyktaturę spiskową, chcieli stworzyć legitymizm rewolucyjnych tajnych rządów, chcieli przyjęcia przez naród, uznania ich dyktatury i dogmatu o nieprzerwalności powstania. Długo utrzymywały się te chęci i te tradycye — i podobno całkowicie dotąd nie wygasły.

Jeśli następstwa ich dzieła nie dały się wstrzymać, ani odwrócić pod rządem rosyjskim — to siła wytrwania w tak strasznych warunkach, godne ale legalne bierne wytrzymanie tych katusz, jest skutkiem właśnie odrzucenia owego dogmatu o nieprzerwalności powstania i dyktatury spiskowej. W naszej dzielnicy i w Wielkopolsce, czybyśmy byli tam, gdzieśmy doszli i gdzie stoimy, gdyby się nie było ziściło wezwanie Pawła Po-

piela do Lubomirskiego, aby potępić drogę rewolucyjną, złączyć się w stronnictwo z wykluczeniem tych, co nas świadomie zaprowadzili na manowce? Takie wykluczenie, to nie proskrypcya, jak zarzucano autorowi, bo niema stronnictwa politycznego, jeśli nie postawi ono sobie pewnego *censusu* zasad i antecedencyi działania, kogo przyjmuje, a kogo wyklucza.

Wśród tych, którzy rozdarli szaty na list Popiela do Lubomirskiego, był Kraszewski, najbardziej niepolityczna głowa swego pokolenia, zmieniający podówczas w swem mieszkaniu na Altmarkt w Dreznie program co noc: raz pisząc memoryał do Aleksandra II z podaniem ręki do zgody w Słowiańszczyznie; to znów myśląc o organie w duchu pracy wewnętrznej; to gdy dziennik *Hasło* założono we Lwowie za jego inicyatywą, pisując artykuły polemiczne w duchu już nie powiem obrony powstania, ale rewolucyjnego teroryzmu z przypomnieniem mordu Miniszewskiego tym, którzy odważają się czoło stawić, czego sam doznałem. Paweł Popiel nie odpowiedział ani Kraszewskiemu, ani Franciszkowi Trzecieskiemu, ani też tym, którzy na niego i na współpracowników *Ogniska* rzucili przezwisko „rekryminatorów“. Z głęboką psychologiczną bystrością i przeczuciem ludzi — odpowiedział jednemu tylko, który może najgwałtowniej się rzucił — Józefowi Szujskiemu.

Dziś artykuł z *Hasła*, wydrukowany w zbiorowych dziełach Szujskiego, uzupełnia się z repliką Popiela, umieszczoną w jego dziełach. Po poety-

cznej polemice między Zygmuntem Krasińskim a Juliuszem Słowackim o *Psalmy przyszłości* — niemasz w literaturze naszej ważniejszego pojedynku. Jednej i drugiej walce za tło służy ponury krajobraz, pełen zgliszczy i wyciekłej krwi bratniej. Jeśli tamto starcie dwóch wieszczów świetniejsze formą i nastrojem — rezultat tego donioślejszy, bo zakończony nietylko rozejmem, ale zjednoczeniem. Równy zaś zaszczyt ztąd wypływa dla obu zapaśników: jednemu za ducha wyrozumiałości i dar przekonywujący, za miłość wobec szlachetnego przeciwnika — drugiemu za cenniejszą jeszcze odwagę przyznania się do błędu i jawną zmianę kierunku.

II.

„Nie bez bólu przyszło mi w taką zapuścić się przeszłość, kiedy teraźniejszość tak się świetnie objawia — odwróćmy się przeto od tych przepaści spisku i nieszczęścia, które w końcu razem potępiamy, a chodźmy, jak powiada mistrz włoski, przypatrzeć się, jak świecą gwiazdy.“

Tak kończy Paweł Popiel list do Józefa Szujskiego.

Jaka teraźniejszość — gdzie świecą gwiazdy? Nie tam, gdzie się lała krew, gdzie niedopalone zgliszcza, gdzie Murawiew i Berg prowadzą dzieło zagłady.

Z dziwną rzutkością umysłu i woli, która mu nie dozwalała nigdy zakładać rąk i zaciągać kap-

tura na głowę — z optymizmem chrześcianina, który mu towarzyszył w życiu, w nieszczęściach rodzinnych i nieszczęściach publicznych, czy grzebał własnych synów, czy patrzał na walące się w gruzy narodowe instytucye, brzmiało mu w duszy *sursum corda!* Paweł Popiel należy do tych, którzy protest przeciw błędom dokonanym zamieniają w program dalszej pracy, a od strasznego pogromu za kordonem zwracają wzrok na nowy horyzont, otwierający się dla żywiołu polskiego w dzierżawach rakuskich.

Przyszły historyk przekształceń i odrodzeń Austryi przyznać kiedyś będzie musiał sławę początkowania na nowych torach tym, którzy w tym związku ludów byli najmłodsi. Węgrzy i Czesi wydobywają stare przywileje sankcyi pragmatycznej; Niemcy monopol i przywilej sobie arogują; Polacy w tym związku mają tylko krzywdę historyczną za sobą, rzucają zasłonę na przeszłość, a pomost ku przyszłości.

W r. 1848 Zygmunt Helcel na „lipie słowiańskiej“ w Pradze jest referentem paktu federalnego, zatwierdzającego zasady monarchiczne, zjednoczenia ludów słowiańskich koło tronu Habsburgów w chwili, gdy wszystkie trony się chwieją w Europie, w Wiedniu barykady, Włosi i Węgrzy chwytają za broń. W lat dziesięć później po nowych klęskach hr. Gołuchowski, naczelnik gabinetu, pisze w dyplomie październikowym słowa, które dotąd nie przebrzmiały, jako pierwszy wyzew i hasło monarchy wobec ludów: *frei ist die Bahn!*

Gdy Schmerling układa w patentach ludowych centralistyczne podstawy konstytucyi, w *Czasie* najpierw Maurycy Mann wypowiada nieznane dotąd w Austryi słowo: „autonomia,“ a Helcel z Adamem Potockim zapisują to słowo w adresie deputacyi galicyjskiej, aż to hasło wywoła echo we wszystkich krajach koronnych. I tak dalej i dalej, tym torem idziemy i na tym gruncie do dziś dnia wiernie stoimy.

Gdyby lepiej poszukać, znalazłyby się niewątpliwie listy do przyjaciół politycznych, a w dzienniku artykuły Pawła Popiela z tych różnych dat, w odniesieniu do tych historycznych momentów, bo wiadomo, że on był jednym z pierwszych, co w sobie stłumił, a w drugich uśmierzał ów wstręt, wypielęgnowany w kraju przez szykany i krzywdy obcej i ciasnej biurokracyi — jednym z tych, co nigdy ku Wschodowi, z nieufnością ku dalekiemu Zachodowi, ale z zasady i jakby z przeczucia ponad nieprzyjazne rządy spoglądał ku staremu tronowi o tytule apostolskim. W biografii już zaznaczyłem, o ile Popiel innych w tym kierunku wyprzedzał, jaką miał w tym zwrocie kraju zasługę.

W ogłoszonych pismach pośmiertnych przedrukiem broszur *Austrya monarchia federalna* i listem francuskim do hr. Belcredego zaczyna się ten dział polityczny. Program federalistyczny, poczęty w roku 1848, zbliża ku sobie głębsze umysły często przeciwnych kierunków, aż do zawarcia ugody węgierskiej. Leon Thun, naczelnik t. zw. feudałów, w nowej tej formie widzi powrót do

średniowiecznego ustroju, gdy demokrata Szuselka i liberał Fischhof w federalizmie uznają jedyną rękojmię nowożytnej równości praw.

Podobnie u nas Franciszek Smolka, najszlachetniejszy przedstawiciel demokracyi, spotyka się w federalizmie z obrońcami hierarchicznego ustroju, jak Leon Rzewuski, Jerzy Lubomirski, Helcel i Paweł Popiel.

Ci czterej nie dzierżyli wówczas mandatów, tem mniej krępowani wpływem chwilowych konstelacyj, każdy z nich z innego punktu i z innej strony sięgali w głąb zasad, może ktoś powie, doktrynerstwa.

W epoce zjednoczenia Włoch i przygotowywania się aglomeratu niemieckiego głosić federalizm, jako jedyną formę przyszłości dla Europy — wyda się może komuś mrzonką, lub paradoksem. A jednak składowa monarchia, nie mogąc przeciwstawić pangermanizmom i panslawizmom jednolitości szczepowej w tem właśnie przeciwieństwie, płynącem z jej historycznego rodowodu i natury jej organizmu, miała największą siłę przyciągającą dla ludów, szukających ochrony. „Po aglomeratach w przyszłości zwycięży federalizm — on rozwiąże wszystkie węzły i zagoi rany — pogodzi Papieża z Włochami, znajdzie miejsce dla Polski w Rzeszy słowiańskiej, ale czy wyjdzie z Wiednia pod ochroną starego tronu, czy przyjdzie po zniszczeniach z Genewy, jako związek Stanów Zjednoczonych Europy — to pytanie przyszłości.“ Te słowa znajduję w jednym z listów Jerzego Lubomirskiego, które jako drogą przechowuję pamiątkę.

Popiel, dzieląc te przekonania, mówi: teraz lub nigdy. Długie naówczas odbywały się nocne rozprawy w sklepionych komnatach przy ulicy św. Jana u Jerzego Lubomirskiego i u Pawła Popiela, gdy wyjeżdżają na sejm Adam Potocki, Henryk Wodzicki i Franciszek Paszkowski, a Maurycy Mann wymierza przeciętną między zasadniczym programem, a tem, czego wymaga roztropność i wzgląd *opportunitatis*.

Gabinet hr. Belcredego o najzdrowszych dążnościach i najlepszej woli chwieje się skutkiem niepowodzeń kampanii 1866; wyzyskują jej następstwa Węgrzy i Niemcy liberały. Wypływa postać hr. Beusta, który ma dokonać planu, ukartowanego przez swego wroga i prześladowcę, kanclerza Niemiec, opiekuna węgierskich dążeń separatystycznych.

Po trzykroć zabiera głos Paweł Popiel, w parę miesięcy w pamiętnym roku puszczając w trzech częściach swoje studyum: *Austrya monarchia federalna*.

O ile historya z publicystyki korzystać zechce, weźmie pod rozbiór te broszury i list francuski do hr. Belcredego, napisany po jego upadku, a stanowiący konkluzyę z przewidzeń następstw dualizmu. Jakie tam trafne określenia: „Węgrzy, naród prawników z bezprzykładnym egoizmem; życzyłbym tej wady trochę nam samym, gotowym zawsze zapomnieć siebie dla korzyści drugich. Wielka cnota u człowieka pojedynczego, fatalna i zgubna dla narodu.“ „Węgrzy, jak każdy lud

azyatyckiego szczepu, rozciągają na innych absorbcyę i zniszczenie.“ Węgrzy żądają przywilejów bezwzględnie, prawo historyczne rewindykują, a nie oprą się, aż o unię personalną — pomoc z zewnątrz im przychodzi. Ugoda wyłączna z koroną jednego kraju stanie się rozdarciem i osłabieniem mocarstwa, a zarazem zawali przejście do ugody ogólnej. Kto potem doprowadzi do zgody sprzeczne żywioły, kto nowem to całe potężne ciało natchnie życiem?

Broszury, źle mówimy, odezwy Popiela tak często o przesadny lojalizm pomawianego, brzmią opozycyjnie. Autor zwalcza wpływ Gołuchowskiego na sejm z uznaniem dla zasług męża stanu, ostro występuje przeciw Beustowi, twórcy dualizmu, i gdy sejm zawotował obesłanie Rady państwa, pyta: „Po co tam pójdą posłowie nasi, pewno nie po to tylko pojadą, aby dla zadowolenia niedoświadczonego ministra i niemieckich centralistów utwierdzając dualizm w państwie, a konstytucyonalizm nawet nie schmerlingowski, ale cislitawski, podkopać przyszłość Austryi, osłabić stanowisko rakuskiego domu, a tak poddać Galicyę na niebezpieczeństwo, grożące jej od wschodu — *sapienti sat...*“

W parę miesięcy później odzywa się do delegacyi: „Jakkolwiek cenimy naukę we własnym języku i inne koncesye, któremi powolność sejmu, podobnie jak grzecznemu dziecku, wynagrodzono, to jednak wątpię, aby kraj nasz, jak zgłodniały Ezaw, przedał za miskę soczewicy prawa star-

szeństwa. Prawo starszeństwa, które posiadamy pomiędzy narodami, dziś w skład monarchii wchodzącemi, boć żaden podobnem nie cieszył się życiem, żaden nie posiada takich tradycyj. Nam zatem przystało nietylko dotrzymać kroku, ale iść przodem". „Nieprzyjaciel od lat czterdziestu rewolucyi, spisku i wszelkiego sztucznego ustroju, który niszczy indywidualność i wolność człowieka, nie posądzi mnie nikt o to, abym gardłował opinii skrajnej, albo gonił za popularnością. Ale jakkolwiek i z usposobienia i z zasady stawam obok władzy, upatrując w niej narzędzie organiczne społeczeństwa — to są chwile, kiedy należy w interesie porządku społecznego, w interesie jego przyszłości i sądzić i opierać się chwilowemu zachceniu władzy." Cytat był potrzebny, aby przypomnieć tym, którzy ludzi zachowawczych pomawiają o zawisłość i niezdolność do opozycyi: kto stawiał czoło w chwili rozstrzygającej?

Polacy poszli do Wiednia, dualizm stał się faktem — Czesi rozpoczęli prawno-państwową opozycyę od pielgrzymki na wystawę moskiewską. Karta dziejów Austryi przewróciła się fatalnie, a to, co Popiel pisał wówczas, do dziś jest aktualnością, bo wszystko co się spaczyło, następstwem tego jednego błędu.

List do wyborców przed ogólnemi wyborami w kraju w r. 1873 jest dalszym ciągiem tych samych poglądów, choć w nim już niema mowy o federalizmie, ugoda węgierska przypieczętowała go na długo, jeśli nie na zawsze. Natomiast w Radzie

państwa odbyła się już pierwsza próba austryackiego kulturkampfu i uchwalono ustawy wyznaniowe na modłę bismarckowską. Chwiejność polskiej delegacyi, zwalniającej Koło z solidarności w kwestyi religijnej, oburzyć musiała katolickie uczucia autora, zwłaszcza gdy siedmiu posłów polskich z tej swobody korzystało na rzecz liberalizmu i bezwyznaniowości. Więc list do wyborców jest wezwaniem do obrony wiary i praw Kościoła z wyłuszczeniem, czem jest liberalizm bezwyznaniowy i z przewidzeniem, że wnet przyjdzie bronić praw społecznych, rodziny i własności od nawałności socyalizmu.

Uderzony trafnością poglądów i odwagą przekonań w jednym z przeglądów politycznych pióra Stanisława Koźmiana, odzywa się doń Popiel, jak to lubił czynić, listem otwartym, który tu zamieszczono w niewłaściwem miejscu, bo on o parę lat późniejszy, lecz nie ma daty. Żywa sympatya pociągała ku sobie te dwie natury i dwie postaci tak bardzo różne. Bywają często takie spotkania na pół drogi tych, co z wrażliwością i bystrością od faktów dążą ku zasadom z tymi, którzy przez dedukcyę zstępują z wyżyny zasad ku dziedzinie faktów. Popiel w tym liście nie polemizuje, ale chwyta poglądy publicysty, aby z nich wysnuć dalsze wnioski, pragnie konserwatyzm polityczny przedstawiciela młodszej szkoły dostroić do wyższych prawd nadprzyrodzonego porządku.

„Osobistość Boga — pisze on — rozdział Jego od natury, albo wszechświat i jego modyfikacyę,

oto w ostatecznym rezultacie przepaść, która, choć często bezwiednie, dzieli ludzi, stronnictwa i szkoły. Z osobistości Boga i stworzenia świata wypływa naturalny organizm ludzkości. Społeczność tworzy i kształci się wedle praw, które Pan Bóg oznaczył, a które tak dalece naturze ludzkiej odpowiadają, że nazwano je prawami natury... Inna nauka owładnęła katedry, a następnie świat polityczny. Nie prawo Boskie drogą przyrodzoną wykształca społeczność z jej warunkami bytu. Państwo powstaje jako postulat rozumu, jako najwyższy ideał ludzkości.“

Pierwsze tylko cytujemy tej definicyi ustępy. Niech czytelnik myślący odczyta te kilka stronnic w książce i głębiej rozważy. Jest tam bez aparatu szkolnego przeciwstawienie dwóch porządków w historyi: jednego, który stosuje się do planu Bożego w dziejach; drugiego, który Boga odsuwa od spraw ludzkości, a człowieka wszechwładcą ogłasza. Niejednokrotnie z tym tokiem myśli spotkać się można w dziełach Pawła Popiela. Każde jego pismo polityczne, jakkolwiek zwięzłe i do spraw bieżących zwrócone, ma na dnie pokład filozoficzny. Popiel dojrzewał duchowo, kiedy we Francyi i Hiszpanii kilku myślicieli chrześciańskich zabłysło geniuszem, a kiedy z niemieckich katedr mistrze panteizmu zakładali fundamenta pod nowożytną *Staatswissenschaft* i późniejszą socyologią. Umysł jego zmierzył się z obu prądami, poszedł za de Maistre'a książką o Papieżu — mniej za „Wieczorami Petetersburs-

kiemi,“ bo de Maistre'a bezwzględność i pessymizm nie odpowiadały jego usposobieniu — za Donoso Cortesem i Balmesem, zbliżony więcej do Lacordaira i Montalemberta; urobił sobie jednak odrębny systemat, w którym znać, że więcej od Francuzów zgruntował cały rozwój filozofii niemieckiej od Kanta do Hegla, od tegoż do Fichtego z jednego, a materyalistów z drugiego końca.

Kto weźmie dzieła filozofów polskich z naszego stulecia pod rozbiór, ten nie może pominąć myśli filozoficznych rozrzuconych tu i ówdzie w pismach Popiela. Oprócz bowiem tych kilku, co z Heglem kruszą kopie, jak August Cieszkowski i Józef Gołuchowski — i tych znów, którzy oparci na szkole niemieckiej, mniemają tworzyć szkołę polską, jak Libelt, Kremer, a poniekąd Trentowski, spotykamy cały szereg pisarzy współczesnych, którzy zagadnienia filozoficzne przenoszą do poezyi — to znów do polityki, a w ich rzędzie Aleksander Wielopolski, Paweł Popiel i w odmienny sposób Leon Rzewuski.

Myśmy za młodu mniej żyli filozofią, niż poprzednie pokolenie. Im droga wypadła przez labirynty transcendentalnej spekulacyi i subtelności logicznych — myśmy spotykali przed sobą tylko wielkie bagnisko materyalizmu. Wystarczało mieć nieco szlachetności w duszy, która się nieda do zwierzęcia poniżyć i trochę zmysłu krytycznego, aby w tę kałużę nie zabrnąć i wzrok wznieść ku niebu. Z wyżyn prawd absolutnych lubił Popiel spoglądać na padoły społecznych i polity-

cznych stosunków i przemian, podobny w tem — choć tak odmienny — do Zygmunta Krasińskiego, przyoblekającego w szaty poezyi filozoficzno-polityczne zagadnienia.

Lecz wróćmy z autorem do polityki. Wybrany późno, bo dopiero w r. 1875, do sejmu, corocznie zdaje swym wyborcom ziemi krakowskiej sprawozdania piśmienne. Nie są to szablonowe relacye z podniesieniem własnego udziału w pracach Izby. Gorliwość tu wielka, która żadnej sprawy nie pomija, ani lekceważy, ale każdą podnosi do wyższej miary. Gdyby z tego pięciolecia, w którem Popiel dzierżył mandat, nic nie zostało, tylko te listy, byłby to już niemały pożytek dla tych, co skorzystać chcą ze zdania poważnego i sumiennego. Czytelnik obok śladu działalności sędziwego posła, biorącego inicyatywę w kilku sprawach, że tylko internaty dla kandydatów stanu nauczycielskiego wspomnimy, znajdzie w tych listach stanowisko autora wobec kwestyi gminy zbiorowej, o której wiele w *Czasie* pisał, o kwestyi reformy administracyi według zarysu, ułożonego w Krakowie, o kwestyi szkolnej (niezmiernie doniosłej wagi), o kwestyi sądowniczej, oraz wycieczki polemiczne co do stronnictw i ich taktyki. Zatrzymywać się tu niepodobna, choć każda kartka nęci siłą argumentów, zdrowiem sądu, młodzieńczym zapałem.

We wstępie wspomniane *Exposé* na kongres berliński, w zbiorze pism opuszczone i na później wraz z innemi dyplomatycznemi memoryałami jego

wyjaśnienie odłożyć należy i ocenę tej odwagi i zasługi. Pominięty także artykuł z *Przeglądu powszechnego*, pisany w dwa lata po śmierci Józefa Szujskiego, który był może niezręczny, skoro wzbudził drażliwość, ale płynął z tej dobrej woli i miłości, która się nie krępuje w szczerej krytyce choćby najbliższych i najszanowniejszych.

„List otwarty do Stanisława Polanowskiego“ omawia kwestyę ruską, kiedy zła wiara, duch nienawiści i duch odstępstwa dochodził bodaj do punktu kulminacyjnego, bo wobec sprawy Hniliczek i procesu Hrabarowej. Paweł Popiel dzielił z Jerzym Lubomirskim i Adamem Potockim sympatyę do szczepu ruskiego; nie przeczył, jak inni, istnieniu kwestyi ruskiej, skoro ona się obudziła nietylko pod hipnotyzmem biurokracyi, ale z logiki historycznej. Unia łączyła szlachtę trzech narodowości; z chwilą równouprawnienia stanów, a zniesienia hegemonii szlacheckiej, wystąpić na wierzch musiał żywioł ludowy, obrządkiem i mową różną, czy w imieniu ludu samozwańczy jego rzecznicy. Odmawiać, przeczyć istnieniu kwestyi, drażnić, a zwłaszcza lekceważyć, mogli ci tylko, co już zapominają tradycyi historycznej polskiej, tradycyi unii. Takie stanowisko wyrozumiałości i pojednawczości Popiel długo zajmował i w tym duchu często odzywał się w *Czasie*. W liście do Polanowskiego jest zwrot, jak był zwrot nawet w najbardziej pojednawczym namiestniku ówczesnym, Alfredzie Potockim. Ze złem, gdziekolwiek ono się objawia, nie można paktować. Odrzuca

autor opinię, jakoby Ruś miała tylko wybór między Polską a Rosyą, uznaje jej uprawnienie do wyrobienia języka i pewnej samodzielności, pragnie pożycia społecznego harmonijnego, podnosi wartość pierwiastku małoruskiego, przypominając za Orzechowskim, ilu znakomitych ludzi Ruś Polsce wydała — lecz wobec odkrytych dążności do apostazyi, wobec prądu nienawiści odradza autor w tem stadyum wszelkie rozjemcze kroki i dalsze ustępstwa.

Gdy przed sądem przysięgłych toczy się pierwszy proces socyalistyczny w Krakowie, Paweł Popiel pisze broszurę *Choroba wieku*. Znów filozoficznie wyprowadza jej rodowód z panteizmu i humanizmu, przez wszechwładztwo państwowe i bezwyznaniowy liberalizm do tej walki brutalnej o podstawy ustroju społecznego i dziedzictwa cywilizacyi. Jest ta trudność w ocenie pism autora, że tak treściwe i związane, więcej mieszczą myśli, niż słów — trzebaby przytaczać, niepodobna rozbierać. W każdym razie rozprawa ta należy do najgłębszych, jakie w tej materyi tak często rozbieranej się czyta. Oczywiście konkluzya chrześciańska w działaniu Kościoła wskazuje antydota, a podnosi zdrowie ludu i społeczności polskiej w porównaniu do innych.

Ostatnią pracą w tym dziale pism politycznej treści jest „Słowo w długoletniej rozprawie“ na pół roku przed śmiercią, po najcięższych ciosach rodzinnych pisane. Stanisław Tarnowski w *Próbach rozstroju* i w niezrównanej swym szerokim

wpływem książce *Z rozmyślań i doświadczeń* poruszył w obozie radykalnym i rewolucyjnym gwałtowny wybuch namiętności. Odnowiła się polemika z przed lat kilkunastu, Paweł Popiel w drżącą od cierpień moralnych rękę ujął pióro, aby ostatni uczynić obrachunek z tego, co od lat trzydziestu blisko było największą boleścią. Bodajby ta rozprawa starca, stojącego nad grobem, żołnierza z r. 1831, gorliwego do końca miłośnika ojczyzny, była ostatnią walką z epigonami polityki spisków i samozwańczych rządów. Autor przechodzi dwie katastrofy 1830 r. i 1863 r. Znajomość wypadków łączy się z wymową i siłą przekonywującą, a wszędzie bucha gorące uczucie polskie. I znów żal nam, że wzmianką tylko, a nie cytatami musimy zachęcić ogół czytelników do rozważania prawd, jakie tam całym rozlewają się potokiem.

III.

Wracamy o lat sześćdziesiąt wstecz. Druga serya pism „Z powodu wypadków bieżących“ zaczyna się listem francuskim do Tichaczewa.

Choć francuzczyzna w Warszawie była bardzo rozpowszechnioną — Paweł Popiel, który przeszedł studya uniwersyteckie w Paryżu i brał tam udział w redakcyi słynnego dziennika *L'Avenir*, musiał się odznaczać biegłością pióra w tym języku, skoro prezes rządu książę Czartoryski pro-

stego szeregowca w odstępach między dniami Grochowa, Wielkiego Dębu i ostatnią walką pod murami stolicy, zatrzymuje w swej kancelaryi do korespondencyi dyplomatycznej. W trzy lata później Popiel chwyta za pióro, aby dać odprawę publicyście rosyjskiemu Tichaczewowi w głośnej naówczas *Revue européenne*.

I znów powraca tu pytanie: jak wielkiem będzie zadanie przyszłego historyka streścić głosy europejskie o sprawie polskiej w przebiegu kończącego się stulecia, streścić i porównać zaczepki nieprzyjaciół, sofizmaty, popierające bezprawia, a tłumaczące gwałty, oraz protesta i obronę pokonanych i prześladowanych. W tym przeglądzie, który może obudzić interes nietylko polski, ale ogólno-europejski, nasuną się punkty porównawcze ciekawe, dla nas bolesne. Niedawno wziąłem do ręki pliki broszur z przed pół wieku i z przed trzydziestu lat, traktujących o sprawie polskiej, a dziwnie przygnębiającego doznałem uczucia. Nie mówię już o sympatycznych prądach, jakie się wówczas z Zachodu, z Francyi, a nawet z Niemiec niekiedy ku nam zwracały. Choć dziś wraz z Francyą połowa niemal Europy klęczy przed caratem, a druga połowa, lubo przeczuwa zbliżone niebezpieczeństwa, o krzywdach Polski słyszeć i mówić nie lubi — prądy te sympatyi mogą się lada chwila znów ku nam obudzić, bo jak gust kobiet i pogoda jesienna, zmienną jest opinia, zwłaszcza gdy jej drażliwość lub obojętność wobec bezprawia zaostrza interes chwili. Lecz od-

czytując te stare broszury, doznaje się wrażenia, że w głosach opinii europejskiej było jeszcze sumienie; opinia ta z barwą monarchiczno-konserwatywną czy z barwą liberalno-rewolucyjną miała jeszcze etyczne kryterya, których bezkarnie naruszać i obrażać nie można było. I było też coś, co przypominało rumieniec wstydu nawet na obliczach despotów i gwałcicieli. Te resztki sumienia i te resztki wstydu znikły całkowicie od lat dwudziestu kilku, starł je jeden człowiek z oblicza Europy, ten, co powiedział: *Macht vor Recht.* — O hipokryzyę pomawiano starą dyplomacyę i idącą w jej ślad publicystykę europejską, lecz hipokryzya według trafnej definicyi, *c'est l'hommage à la vertu absente;* gdy ona znikła — został zupełnie szczery cynizm.

Przerywa się też w ostatnich dziesiątkach lat szereg głosów polskich, podnoszących wobec świata nasze krzywdy i nasze męczarnie, lub odtrącających fałsze i zniewagi. Czy ich miara za wielka, czy niema przed kim się skarżyć? Zaniedbanie zawsze naganne; spełnienie tego obowiązku byłoby o tyle trudniejszem, że do jakichże przyszłoby nam dziś odwoływać się zasad i uczuć, które jeszcze w opinii europejskiej drgały przed laty? Jakie prawa międzynarodowe zachowały jeszcze swoją powagę, gdy widzimy, że obojętnie świat przyjmuje fakt nasyłania skrytobójców w interesie potężnego mocarstwa na panującego w ościennym kraju, jak się to świeżo w Bułgaryi ujawniło? Czyliż fakt ten, który minął niemal niepostrzeże-

nic, nie stanowi ilustracyi końca stulecia i nie staje w tym samym rzędzie choć z drugiego końca, co rzucanie bomby przez anarchistów wśród publiczności w teatrze lub w sali parlamentu? Gdy ludzkość staje nad taką przepaścią zdziczenia i w cywilizacyi zatraca się już nie powiem wyższe poczucie moralne, ale poczucie ludzkie — czyliż można podnosić jeszcze głos skargi lub głos przypomnienia w sprawie, która była wykwitem szlachetności, która budziła najwznioślejsze uczucia, a miała charakter nawskróś chrześciański?

List Popiela do Tichaczewa z roku 1833 wśród tylu głosów polskich, oraz przyjaciół Polski, ma piętno indywidualności autora; nie jest to tylko zwykła filipika, jakich emigracya podnosiła pełno, ale to rozprawa zasadnicza, z poglądem historycznym i poglądem filozoficznym.

Tichaczew wyprzedza historyków niemieckich, jak Fr. Schmidt i inni, chcąc dowieść, że Polska upadła własną jedynie winą, że nie miała prawa do bytu, bo sama podstawy tego bytu w sobie zniszczyła: ztąd uprawnienie rozbiorów.

Popiel przypomina opinii europejskiej reformę sejmu konwokacyjnego i reformę wielkiego sejmu, że obie ratowały Rzeczpospolitą od anarchii, ale runęły, skutkiem polityki rosyjskiej, która stanęła w obronie anarchii.

Po tych faktach Rosyanin ma czoło nam mówić, że nie cięży żadna wina na Rosyi, ale wyłącznie na Polsce. — Pomijamy inne ustępy odpowiedzi, wyliczające represyę mikołajowską:

zsyłki na Sybir, konfiskaty, prześladowanie Kościoła, bo te akta gwałtu bledną wobec tych, które trwają od 30 lat, jako kara za ostatni nieszczęsny ruch.

Z dyskusyi teoretycznej przytoczyć warto oryginalną, a głęboką definicyę wolności, do której lubił pan Paweł powracać: *la liberté c'est le plein developpement de notre volonté dans la sphère de nos droits.* Warto nad nią się zastanowić. Broszura kończy się cytatem z Russa: *Quique vous (les Polonais) ne pouvez pas empêcher vos voisins de vous engloutir, faites en sorte qu'il ne puissent Vous digérer.*

Sejm miniaturowej Rzeczypospolitej krakowskiej na parę lat przed jej zgonem powziął uchwałę w sprawie rozwodów, źle świadczącą o chrześcijańskich zasadach tej reprezentacyi. Wiadomo, że w wolnem mieście pozostał z czasów Księstwa Warszawskiego kodeks Napoleoński, a z nim istniała tu wolność rozwodów. Zjeżdżały się też ze wszystkich dzielnic Polski zwaśnione stadła, aby z tej wolności rozwodowej korzystać, a najczęściej, aby po zerwaniu jednych węzłów, nowe tu zawierać. Jeśli dziś na Podlasiu znane są pod mianem „krakowskich ślubów“ małżeństwa tych, co trwają w wierze mimo srogich prześladowań, to wówczas nie wśród ludu, ale w wyższych towarzyskich sferach „krakowskie śluby“ miały wręcz odwrotne znaczenie, bo były przedłużaniem zdrożnego obyczaju, który za czasów Stanisławowskich tak się był w warszawskim wielkim

świecie rozpowszechnił. Nie wiemy, z czyjej inicyatywy, ale wnioskodawcy imię należałoby odnaleść i przypomnieć, podniesiono teraz sprawę usunięcia tej smutnej spuścizny wieku niewiary i lekkości obyczajowej. Sejm powziął uchwałę wszystkimi głosami negatywną, czyli zachował wolność rozwodową. Czy był to już prąd nowożytnego liberalizmu bezwyznaniowego, który przedarł się w mury średniowiecznej stolicy, czy resztka pojęć wolteryańskich? Podobno ani jedno, ani drugie, tylko ciasnota pojęć mieszczańskich, która lękała się odjąć wolnemu miastu zdrożnej swobody, przyciągającej zwaśnione pary. Z tego stanowiska bronił bowiem rozwodów zdolny publicysta i wpływowy poseł, ale chwiejnego charakteru, Meciszewski. Paweł Popiel zwrócił się z listem otwartym do kolegi szkolnego i wspólnika wielu prac naukowych, Józefa Kremera. W ćwierć wieku później, bo w roku 1868, gdy w Wiedniu rozdarto konkordat ze Stolicą św. i wniesiono projekt o wiele umiarkowańszy, przyznać trzeba, od tego, który teraz wnoszą w sejmie węgierskim, projekt *Nothcivilehe* — Paweł Popiel znów występuje w obronie sakramentalnej świętości małżeństwa, jako podstawy chrześciańskiego społeczeństwa, i pisze memoryał francuski, przesyłając go członkom gabinetu.

Okolicznościowe pisma, jak cała praca dziennikarska, mają tylko doraźne znaczenie, choćby podstawą ich była, jak tutaj, siła zasad i przekonań, poparta prawniczym, filozoficznym i naukowym

aparatem. W r. 1889 drukuje Paweł Popiel rozprawę w *Czasie*, którą w zbiorowem wydaniu umieszczono: „O szkole, w sprawie wniosku ks. Liechtensteina“. Kwestyą wychowania chrześciańskiego zajmował się autor nietylko w praktyce i przykładem rodzinnym, nietylko jako obywatel i chrześcianin, ale jako myśliciel i polityk. W sprawie szkolnej przemawiał kilkakrotnie na sejmie lwowskim, a szkoda, że te mowy tu nie powtórzone, że zgoła nie zebrane to, co w długiem swem życiu Popiel żywem słowem zatwierdzał i rozwijał. Miał autor bezpośrednie tradycye komisyi edukacyjnej, niósł pochodnię kultury w wyższem jej znaczeniu i należał do ludzi, którzy poziom cywilizacyj w kraju dźwigali w górę, bo jego dom był jej szkołą i ogniskiem. Wszakże tu nie chodzi o poziom i miarę oświaty — o wyższe prawa rodziny i prawa Kościoła podnosił Popiel głos. Budziły się w nim wspomnienia tej świetnej walki, jaką katolicy za gabinetu Falloux stoczyli we Francyi o wolność wychowania. Pod względem tej analogii różniłem się z autorem w zdaniu i *Czas* wyraził zastrzeżenia do rozprawy o wniosku ks. Liechtensteina, że wolność wychowania we Francyi, z której skorzystały zakony, a mimo to więcej chrześciańskiego nie wychowały pokolenia — wątpliwsze jeszcze zapowiadałyby w Austryi owoce, gdzie objawia się znana hojność barona Hirscha — a przypuszczać trudno, aby ofiarność katolicka dorównała tej, jaką podziwiamy we Francyi. Z różnicą tego jednego punktu, rozprawę o

szkole polecić należy wszystkim tym, którzy sprawą wychowania się zajmują i którzy uznać muszą, że szkoła ludowa, jaka jest dzisiaj w Austryi, zbliża się bardzo do szkół symultannych, zaprowadzonych w Prusiech za Kulturkampfu. Możność, aby innowierca, nawet niechrześcianin, był nauczycielem dzieci katolickich i to w początkowych, ludowych szkołach, częste niestety przykłady, że nim bywa, że udziela niekiedy nawet nauki religii, postawienie religii na szarym końcu programu naukowego w gimnazyach, skoro ona nie należy do przedmiotów, obowiązujących przy maturze, brak bezpośredniego związku Kościoła ze szkołą, a luźny stosunek duchowieństwa do niej, wreszcie niedostateczne uwzględnienie praw rodzicielskich — to wszystko wywołuje konieczną i naglącą potrzebę reformy ustaw zasadniczych szkolnych w duchu więcej chrześciańskim. Potrzebę tę ilustrują objawy najsmutniejsze dzisiejszych czasów zdziczenia i anarchizmu. Stoimy w Europie nad straszną przepaścią, która może wstrząsnąć podstawami społeczeństw i państw, a państwo nie może się zdecydować, aby zwrócić się z drogi *l'état est athee, la loi est athée*, na tory chrześciańskie. Stąd trudność reformy szkolnej, jak i reformy kodeksów, bo wszystko z jednego płynie źródła, wszystko da się doprowadzić do tej antytezy, jaką Popiel ustawicznie stawiał: zasad chrześciańskich i panteizmu lub materyalizmu; we wszystkiem, w organizacyi szkoły, jak w kodeksach, piętnujących zbrodnie, ostatniem słowem jest albo Bóg, jako jedyne i naj-

wyższe źródło, albo człowiek, który wnet bez Boga przeradza się w zwierzę.

Zamiast streszczać pisma, pełne złotych ziarn— zapuszczamy się w dyskusyę z autorem, jak to bywało w sklepionym pokoiku na czwartkowych zebraniach. Niech czytelnik sięgnie sam w tę kopalnię złota, którą mieszczą dwa tomy rozpraw Popiela.

W księgozbiorze pana Pawła, bogatym w rękopisy pierwszorzędnej wartości, była jedna księga w skórę oprawna, a której karty mają znak wodny z herbem Bonerów. „Tę księgę miewał Zygmunt I codziennie w ręku“ — mawiał gospodarz, pokazując przyjaciołom ten zabytek. To rachunki, które zapisywał królewski podskarbi — jest tam między innemi każdy wydatek na budowę kaplicy Zygmuntowskiej. Z tych dat wyciąga właściciel rękopisu piękny szkic historyczny. Rzecz dziwna, że tak głęboki znawca sztuki, a miłośnik rzeczy ojczystych, tak niezmiernie czynny i ofiarny na tem polu zachowania pamiątek oraz ich odnowienia i uzupełnienia, nie zostawił więcej pism w tym kierunku. Może jeszcze ten dział artystyczno-archeologiczny będzie później uzupełniony. Komisya historyi sztuki Akademii Umiejętności ogłosiła piękne wspomnienia zasług Pawła Popiela na tem rozległem, a przed nim tak zaniedbanem polu. Sądziłbym, że niedość tego uznania; możnaby i potrzeba zebrać materyał czynności, rozwiniętej około odbudowy kościoła Dominikanów, kaplicy Śto-krzyskiej na zamku, wiel-

kiego ołtarza Wita Stwosza i około innych robót w kościele Maryackim, aż do wewnętrznej ozdoby polichromicznej według potężnej myśli Matejki. Dodajmy historyę restauracyi Sukiennic, gdzie po inicyatywie Dietla, a energicznem przeprowadzeniu przez Zyblikiewicza, trzecie miejsce należy się Pawłowi Popielowi, dzielącemu zasługę znawców i doradców z przyjaciołmi czwartkowych zebrań. Bolesna, ale nie godziłoby się pominąć długoletniej, a przykrej walki w sprawie pomnika Mickiewicza. Wszystko to złożyłoby się na gruby tom, a niezbędny do historyi sztuki w naszem stuleciu.

„Już gminowładztwo szlacheckie wzięło górę; senat nie potrafił się ukonstytuować politycznie w korporacyę, zamiast hierarchii. Opatrzność odmówiła Polsce monarchy, któryby jak Kazimierz Wielki i nadto krótko Batory, grozą osobistego charakteru utrzymał w ryzie rozbujałe oddawna żywioły. Gminowładztwo szlacheckie, jak każde gminowładztwo, kierowało się egoizmem, a odrzucało rozum i doświadczenie. Tak było w Atenach, tak we Florencyi, tak dzisiaj we Francyi. Jest jego właściwością, że obniża poziom moralny i umysłowy, aż dochodzi do manii, do szaleństwa, kończy się tryumfem sofistów na Forum, nieprzyjaciela na polu boju, albo dochodzi do obłędu i ubóstwienia pojedynka jako *liberum veto*. Posługuje się zwykle wyrazami, które u większości wzięte, niebacząc, czy treść odpowiada nazwisku. Tak wówczas walczono przez lat pięćdziesiąt w imię „egzekucyi.“

Oto kilka słów, wyrwanych na chybi trafi z przemowy na jubileuszu gimnazyum św. Anny w roku 1888. Cytat ten nasunął nam się na próbę tego jędrnego pióra, które za lada potrąceniem przebiega dzieje narodu z siłą i zrozumieniem. Historykiem z zawodu, z metody nie był Popiel — ale historya świata i dzieje własnego narodu są jednym z pierwiastków jego myśli i jego życia. Jak w jego kulturze jest coś z ludzi epoki odrodzenia w Polsce, jak w języku są zwroty rejowskie, skargowskie prawdy w politycznej i religijnej dyskusyi, tak znów zbliżony wiekiem do ludzi przedrozbiorowych, żyje on przeszłością, która dla nas jest już zamknięta w księgach, u niego krąży ona w żyłach.

Czy jest coś w całej naszej literaturze historycznej, coby tak tętniło tem bezpośredniem odczuciem przeszłości, coby łączyło urok pamiętnika przez żyjącego świadka, z zabytkami myśliciela i krytyka, sądzącego wypadki z następstw stuletnich — jak ta rozprawa, pisana na kilka miesięcy przed zgonem: „Powstanie i upadek konstytucyi 3 maja.“

Nie wrócę do niej, bo już o niej pisałem bezpośrednio. Powiem tylko, że łącznie z pamiętnikiem o powstaniu 1831 r., napisanym z powodu książki Barzykowskiego, są to dwie perły najczystszej wody. Wszystko: język i forma odlana jakby w bronzie, sąd bezwzględny, a pałający miłością, stawia te prace sędziwego autora w rzędzie najpierwszych pomników naszej literatury

polityczno-historycznej. Ale pomniki te przypominają grobowiec wielkiego obywatela, bo już nie usłyszymy więcej takich świadectw, nie z ksiąg, lecz z tradycyi i życia zaczerpniętych, bo te dwa pisma o konstytucyi 3 maja i o powstaniu listopadowem zamykają epokę.

IV.

Waleryan Kalinka należał do tych, na których kierunek Paweł Popiel wywarł przeważny wpływ. Przerwane przez lat kilkanaście emigracyi stosunki z dawnym szefem w Redakcyi *Czasu*, odnawiają się i ścieśniają, gdy do Krakowa wraca ów burzliwy dziennikarz zakonnikiem-historykiem. Pierwsze spotkanie nastąpiło przy ołtarzu, gdy Popiel przyjął Komunię św. z rąk obcego kapłana, w którym później poznał owego młodzieńca, z którym niegdyś, zdawało się, że bezskuteczne toczył rozprawy religijne.

Na żądanie autora napisany rozbiór dwóch tomów *Sejmu czteroletniego* powinien był iść w druku przed ostatnią pracą Popiela *Powstanie i upadek Konstytucyi 3 maja*, a przynajmniej w tym porządku należy je czytać. Studyum nad niedokończonem dziełem Kalinki dało niewątpliwie popęd, aby dopowiedzieć jeszcze to, czego tam brakło, a co zachowała zadziwiająca pamięć, we wczesnej młodości już utwierdzone zasady i pogląd polityczny, a do starości przechowana gorącość uczuć

patryotycznych. Archiwum Pawła Popiela, spuścizna po dziadku Marcinie Badenim, dzieli z Muzeum Czartoryskich najważniejsze materyały z epoki Stanisławowskiej. Czerpał w niem Kalinka; zostawił niektóre korespondencye niezużytkowane, jak ważny list króla do Szczęsnego Potockiego. Potrzebaby osobnego rozdziału, aby ocenić, w czem Popiel dzieło Kalinki faktami i szczegółami uzupełnia — tem więcej bystrego oka, aby spostrzedz, w czem jego sąd o ludziach, stronnictwach i następstwach ich działań prostuje lub daje zastrzeżenia. To trudno, każda generacya ma odmienny punkt do obserwacyi historycznej. Kalinka, nietylko wiekiem dalszy od owych czasów, ale w zagranicznych czerpiąc źródłach, oddalił się od żywej tradycyi, którą Popiel z czterech pokoleń zebrał i przechował. Tu mamy krytykę na dokumentach opartą — tam wyraz przekonań najznakomitszych ludzi współczesnych i następnych w kraju. Popiel mówi o Kalince, że aż niecierpliwi bezstronnością; o nim powiedzieć można, że wzbudza podziw chrześciańską wyrozumiałością na błędy ludzi, a bezwzględnością sądu o ich czynach. Zadziwia żywość uczuć i świeżość myśli w przedzgonnej pracy starca, co przeżył lat ośmdziesiąt. Popiel po dziele pomnikowem Kalinki otwarł na nowo dyskusyę o Sejmie czteroletnim, o stanowisku króla, jego porozumieniu ze stronnictwem patryotycznem, o późniejszem przystąpieniu do Targowicy, o samym fakcie tej konstytu-

cyi, która tchnęła nowe życie w upadający pod obcą przemocą naród.

Jednem z ogniw następnego odrodzenia ducha w narodzie są te uczucia i pojęcia, jakie z epoki wielkiego Sejmu, z atmosferą konstytucyi 3 maja wyniósł młody Adam Czartoryski i wlał w duszę wnuka carowej Katarzyny. Rozbiór „Pamiętników księcia Adama Czartoryskiego“ w liście do X. S. Pawlickiego, drukowanym w *Przeglądzie polskim*, stanowi jakby drugi rozdział tych wspomnień i poglądów na losy ojczyzny, z czasów, które przeżył.

O powstaniu 1831 r. jest już cała biblioteka. Jeśli obcy pisarze usiłują zmniejszyć postać Sobieskiego i jego zasługę w odsieczy Wiednia, jeśli Francuzi zacierają ślad bohaterstwa żołnierzy polskich za Napoleona, to chwałę żołnierzy 1831 r., znaczenie militarne tej walki wynieśli do miary klasycznego wzoru fachowi pisarze niemieccy, Spazier i Willisen, a dziś nawet, pisarz rosyjski, Iłowajski. Wręcz przeciwnemi torami, bo krytyką, posuniętą do oskarżeń i podejrzeń, poszła historyografia polska za Mochnackim i Mierosławskim — nie zmniejsza tych zarzutów i skarg literatura pamiętnikowa, bo w niej często winę wzajemnie sobie jak piłkę odrzucają ci, co dźwigali odpowiedzialność. Paweł Popiel, prosty żołnierz w powstaniu, ale zbliżony do wszystkich, co kierowali w politycznych działaniach i dowodzili na polu boju, pisze już w starości pod formą rozbioru dzieła Barzykowskiego istny pamiętnik kampanii. Surowo sądzi sam wybuch, który przyjął młodzieńcem

jako wielkie narodowe nieszczęście, z zapałem kreśli dni chwały, ludzi sądzi bez uprzedzeń, żadnej zasługi, jak żadnej nie przemilcza winy, a kończy niemal optymistycznie, gdy mówi: „Mam mocne przekonanie, że w wojsku była gotowość bić się do ostatniego i gdyby nie dzień 15 sierpnia i upadek na duchu, wywołany przez zbrodnie dnia tego — marszałek Paskiewicz nie byłby wszedł do Warszawy 8 września.“

Gdzieindziej zaś autor do tej myśli powraca: „Trudno prostemu żołnierzowi, który stał w asekuracyi armat i przez pół dnia patrzał, jak pociski nieprzyjacielskie zapomniany szwadron przerzedzały, sądzić o warunkach bitwy; to też nie to, na co patrzałem, ale to, co później słyszałem i wiedziałem, utwierdza moje przekonanie, że gdyby była komenda, nie Sowiński tylko i Ordon byliby spełnili powinność, a nieprzyjaciela nie wpuścili do stolicy. Co byłoby nastąpiło później, nie wiem, nie prorokuję, ale to wiem, że przedstawienia Austryi, które przywiózł pułkownik Caboga wraz z Andrzejem Zamoyskim, nie były mało ważne...“

Jeśli za Cerwantesem, jak gdzieindziej już przytoczyłem, dziękuje autor Bogu, że na starość wspominać mógł, iż był, jak tamten pod Lepanto „on pod Grochowem, Dębem i Warszawą“ — to obok rycerskich wspomnień wyniósł on z kampanii naukę historyczną. Inni od doświadczeń 1846 roku datują zwrot i przekonanie o zgubności spisków, jeszcze inni dziś dopiero po następstwach 1863 r.

poznają zgubność porywów niewczesnych — Popiel przebył powstanie listopadowe z temi samemi poglądami i zasadami, jakie wysnuwał do końca i którym dał silny wyraz w sądzie o naszych spiskach i zgubnem działaniu żywiołów skrajnych.

A jednak, jakiż zapał wieje z tych kart pełnych dojrzałego i twardego częstokroć sądu. Mówiono, że Popiel pisze na krój Tacyta; obok *stilusa* tacytowskiego, są tu cięcia krzywej szabli polskiej; słychać szczęk broni i świst kul, gdy idziemy z autorem na pole boju, a gdy do klubów, Sejmu lub na posiedzenia rządu, to stoją przed nami postaci ówczesne, jakby z bronzu ulane. Szkoda, że do tego wspaniałego obrazu, który czytać winna młodzież, żądna rzeczy gorących, nieprzefiltrowanych przez metodę i analizę szkolną, do tego obrazu kampanii, który pozostanie jedną z przedziwności języka polskiego i polskiej literatury, nie dołączono felietonu *Czasu* z opisem batalii grochowskiej. Mistrzowski ten opis dał pewno natchnienie artyście, co tak dzielnie wymalował wzięcie Olszynki.

Dalszy rozdział dziejów kraju w naszem stuleciu zawiera w sobie rozbiór książki Henryka Lisickiego o Zygmuncie Antonim Helclu. Książka ta niedość jest czytana na obfitość faktów i szczegółów, poglądów i zdań, jakie mieści. Dwutomowa biografia, zajmująca się więcej politycznym, niż naukowym zawodem Helcla, jest uzupełnieniem 4-tomowego dzieła o Aleksandrze Wielopolskim — podobnie jak 2 tomy, po francusku napisane o Wie-

lopolskim, mieszczą w sobie wiele ważnych rzeczy, których niema w tamtych czterech tomach. Z Lisickim można się spierać i różnić, ale nikt więcej do tych czasów nie nagromadził materyału, nikt więcej nie rozjaśnił biegu wypadków.

„Obydwóch ludzi, o których mówi autor — kochałem bardzo, obydwaj byli wielcy miłośnicy ojczyzny, a jak podówczas było zwyczajem, nie kochali jej platonicznie, ale w ciągłym czynie i usiłowaniach.“

Ważne w tym rozbiorze są szczegóły do improwizowanej dyktatury i zamachów stanu w 1846 r. w Krakowie, oraz do wypadków 1848 r. i ich charakterystyka. Zatrzymywać się już niepodobna, choć bardzo byłoby warto.

Gdy się popycha opinię ku trzeźwości w imię rozsądku, sumienia, w kierunku konserwatyzmu czy reakcyi, jak kto chce nazwać, przeciw prądom szowinizmu, lekkomyślności i złej wiary radykalnych żywiołów — nie boli tak walka, którą znieść trzeba od obrońców atakowanego błędu, ile boli i niepokoi, gdy widzimy, że niektóre umysły idą do ostateczności w tym konserwatyzmie czy reakcyi, że stwarzają radykalizm na drugim końcu, dochodząc do konkluzyj rozpaczliwych lub wstrętnych. Młodszym był Szujski od Antoniego Walewskiego, ale musiał się odciąć od wszelkiej solidarności z poglądami tego historycznego pesymisty. Zjawisko takie powtarza się często. I Popiel ujął pióro, gdy się pojawiła książka, nacechowana dobrą wiarą i szczerością przekonania,

ale w krytyce historyczno-politycznej jednostronna i przesadna zwłaszcza co do win szlachty polskiej, w konkluzyi może trafna, lecz znów zbyt aprioryczna. Rozbiór tej znaczącej książki „Między Rosyą a Niemcami“ uwydatnia granice i warunki, do jakich rzekomo reakcyjne zasady Popiela dochodziły i gdzie się zatrzymywały.

„Polityka i historya nie jest matematyką — mówi krytyk — i matematycznej konkluzyi wyprowadzać niepodobna już dlatego, że czynniki ciągle się zmieniają. Kto przyszłość przewidzi wobec słów mędrca: *Deus fecit sanabiles nationes terrae.* Nie dlatego się to mówi, aby próżną nadymać się nadzieją, a żywotności mniemanej czynne dawać oznaki, ale dlatego, że człowiek, że naród niema prawa pozbywać się sztucznie poczucia żywotności... Stawia autor pytanie, czy nam przyjąć raczej germańską, czy rosyjską przewagę. Mojem zdaniem pytanie zbyteczne, bo rozstrzygnie o tem siła, to jednak pewna, że wszystkie słowiańsko-szczepowe prądy, prowadzące ku Rosyi, przeważyć nie mogą i nie powinny pierwiastku rzymsko-zachodniego, który nas wykarmił, wychował i ucywilizował.“

Od lat wielu pod cenzurą warszawską nie wyszła książka, wnikająca głębiej w stosunki, przynosząca więcej pożytku, jak rzecz Ludwika Górskiego: „O znaczeniu większej własności“. Łączy ona gospodarskie, ekonomiczne znaczenie, czerpane nie z teoryi tylko, ale z długoletniej pracy zawodowej, a w tym zawodzie rolnym wzorowej

na kraj cały, ze znaczeniem wyższem moralno-społecznem. Zwykle rozdzielają się te dwie sfery: ekonomiści obracają liczbami statystycznemi dla poparcia swych teoryj; moraliści moralizują tylko, a jedni na drugich nie zważając, rozchodzą się jak w założeniach, tak w konkluzyach, pierwsi snują suche szablonowe obliczenia i teoretyczne dają recepty — drudzy niemniej suche głoszą morały, bez względu, czy to, czego się domagają, jest wykonalne.

Nie tak jest w życiu. Jak w człowieku, tak i w społeczeństwie wiąże się ciało z duszą i jedno od drugiego wzajemnie zawisło. Wpływy tradycyi, obowiązków, powołania, jakie w myśli Bożej wiążą się z każdym stanem, winny wejść zarówno w obliczenia ekonomistów, jak na odwrót moralista społeczny powinien zapytać się statystyki i rozglądnąć się w położeniu ekonomicznem, aby jego morał mógł być praktycznym i skutecznym. Pojęcie większej własności, zastępując archaistyczną już nazwę szlachty, bierze jednak po niej w spadku znaczną część jej moralnej spuścizny nie w prerogatywach, ale w obowiązkach. Pojęcie to przedstawia najszlachetniejszy z kapitalizmów, boć przecież ze wszystkich warsztatów ziemia najwięcej łączy patryarchalnym związkiem pracodawcę z robotnikiem, najmniej dopuszcza wyzysku i targu, a ztąd najmniej daje pola do antagonizmu, bo warsztat ziemi wyszedł bezpośrednio z rąk Stwórcy i ma w każdej skibie ślady jego tchnienia. Większa własność, choć ta nazwa

bezbarwna jest wytworem demokracyi i biurokracyi — pozostaje jednak ostatnim szańcem ustroju hierarchicznego. Ci, co się najwięcej domagają po następcach dawnej szlachty — jakie o niej krzywdzące szerzą sądy, wiadomo. Jeden z najznakomitszych i najzasłużeńszych obywateli kraju, niegdyś uczestnik reformy obyczajów szlacheckich za Andrzeja Zamoyskiego, później najwytrwalszy wśród najtrudniejszych warunków tej reformy moralnej i ekonomicznej kontynuator, co szerzył przykładem, to poparł i streścił pismem w tej wybornej książce. Paweł Popiel o dziele swego przyjaciela, z którym go wspólna ścisłość zasad łączyła, nie mógł milczeć. Co do obowiązków moralnych większej własności, Paweł Popiel z Ludwikiem Górskim zgodni, a obaj równą w tej mierze mieli kompetencyę. Ekonomią polityczną Popiel, o ile wiemy, wcale lub mało się zajmował i zachowywał pewną nieufność wobec różnych, krzyżujących się systematów umiejętności, którą miał jeszcze za nieustaloną. Natomiast praktyk w gospodarstwie rolnem i w administracyi własnego mienia, trafne pod wielu względami czyni tu uwagi.

Od naszych bied domowych, od kwestyi ratowania ojczystego zagona, przerzuca autora w sferę dyplomacyi europejskiej i *high lifu* londyńskiego książka, mieszcząca korespondencyę słynnej księżny Lieven, żony ambasadora rosyjskiego w Londynie, z lordem Grey, „premierem“ gabinetu St. James. Występują wspomnienia z pobytu w Lon-

dynie za młodych lat, pobytu w takich warunkach, że Paweł Popiel od starego Wellingtona poznał wszystkie znakomitości ówczesne, aż do młodego natedy Palmerstona. Rozbiór listów księżnej Lieven jest więc opowiadaniem własnych wspomnień i spostrzeżeń, jakby antycypowanym rozdziałem pamiętników, których publiczność polska oczekuje.

Przechodzimy do nekrologów i życiorysów. Dział to obszerny w naszej współczesnej literaturze — niekiedy lekceważony. Czy słusznie? Życie nasze porozbiorowe, rozbite jak stłuczone zwierciadło w kawałki, w przesadnie wybujałym niegdyś indywidualizmie znajduje dziś siłę odporną. Rozmaitość wpływów, jakim z położenia naszego i losów kraju ulegamy, oddziaływa na charaktery i tworzy częstokroć dziwne kombinacye, które na jednostkach wybitnych obserwować należy. Gdzieindziej wystarcza iść za tokiem spraw publicznych w państwie i instytucyach ustalonych i skrystalizowanych, aby spisać historyę tego kraju — u nas trzeba zatrzymywać się nad kamieniami grobowymi, aby zbierać szczegóły życia, przejść niezwykłych, walk ciężkich, losów zawistnych, i z tych grobowców wydobywać cząstki wspólnych dziejów. Kto będzie pisał historyę emigracyi, musi za główne źródło brać nekrologię w *Rocznikach Towarzystwa historycznego*, zwłaszcza gdy ją pisał Bronisław Zaleski. I w każdej dzielnicy kraju na osobnikach, jednostkach, stało i stoi dotąd to życie, które nie ma w własnym rządzie, w ustalo-

nych i normalnych stosunkach publicznych swego środowiska. Więc i tu przyjdzie przyszłemu historykowi rozczytywać się w nekrologach dziennikarskich.

Popiel bezwzględnym chwalcą nigdy nie był; choć ze łzą w oku stawał nad grobem przyjaciela, bywał surowym sędzią. Nieraz nie oszczędził miłości własnej czy rodowej, która z żalem rodziny tak często się łączy i wytknął błąd i wskazał właściwą zasługi miarę. Ale też tem cenniejszą bywała z jego ust lub z pod jego pióra pochwała. W zbiorze wspomnień pośmiertnych przesuwają się postaci wojskowych, uczonych, obywateli i postaci niewieście.

„Jenerał Kazimierz Tański w 47 bitwach — i jakich bitwach miał czynny udział, od Kościuszkowskiego powstania, legionów, do kampanii hiszpańskiej, aż po Lipsk.“ Piotr Steinkeller, zasłużony w handlu i przemyśle krajowym, ma tu należne wspomnienie: „rozrzucił w kraju kilkanaście milionów, ożywił przemysł i gospodarstwo, urządził komunikacye pocztowe, bez niego kolej warszawska nie byłaby powstała“.

„Piotr Michałowski w każdym przedmiocie był mistrzem“; nam zostały tylko płótna mistrzowskiego pędzla i pamięć trzechletniej działalności urzędowej na czele Rady administracyi w Krakowie. W kilku rysach portret daje poznać talent i charakter tej wielostronnej i potężnej postaci.

O Skrzyneckim mówić nie łatwo — męstwo osobiste błędami wodza zaćmione. Popiel maluje cha-

rakter bez skazy i duszę wzniosłą, a kończy słowami: „Skrzynecki był to w zupełności żołnierz Chrystusowy“. Dalej krótki życiorys poety-żołnierza, jenerała Franciszka Morawskiego.

Bardzo pouczającą jest biografia Józefa Gołuchowskiego, a podobno jedyną, z której możemy poznać bliżej filozofa, co z mistrzem Heglem zwycięską stacza walkę, uwielbianego profesora uniwersytetu wileńskiego, następnie zawołanego gospodarza, który od rejestrów wraca znów do ksiąg i pisze niedość dziś znane *Dumania*. W r. 1831, jak się tu dowiadujemy, Gołuchowski wykładami publicznymi w Warszawie z dziedziny polityki i filozofii wstrzymuje młodzież od wrzasków Honoratki, knowań spiskowych i wpływów Lelewela. Jeśli się nie mylę, w pojęciach filozoficznych Popiela jest wiele wspólności z autorem *Dumań* — zwłaszcza w formułach, zastosowanych do polityki.

Andrzeja Zamoyskiego dziś już nie wystarcza czytać nekrologu, choć go pisze tak bliski stosunkami świadek i wspólnik wielu działań. Trzebaby książki, któraby szczegółowo wykazała wpływ moralny na cały kraj i przykład cnoty i pracy, rozchodzący się z Klemensowa przez lat trzydzieści. Mąż, którego imię było hasłem wszystkich dobrych przedsięwzięć w kraju — nie sprostał zadaniom chwil politycznych walk i burz, choć stał wiernie przy swych zasadach i w najlepszej wierze. Boleść ostatnich lat wygnania i rozproszenia owoców całego życia przejmowała czcią dla wielkiej chrześciańskiej duszy.

Maurycy Mann, od młodości bliski Popielowi, który go wezwał do *Czasu* i włożył w rękę pióro dziennikarza — nie przestał dla nas, cośmy terminowali w jego warsztacie, być mistrzem, wzorem, przykładem: jak służyć piórem dobrej sprawie; jak stosować do potrzeb dnia prawdy wyższe, bezwzględne, nigdy sztandaru nie opuścić i z gruntu zasad nie zstąpić, a nie popaść w doktrynerstwo; jak badać stosunki i wypadki europejskie, nie według zbyt zakorzenionego subjektywizmu polskiego, ale zawsze z myślą polską; jak odpierać pociski z zewnątrz i koić rany wewnętrzne, ostrzegać przed zasadzką obcą lub własnym obłędem, a szukać w każdem położeniu mniejszego złego i ulgi w niedoli; jak przestrzegać dziennikarskiej uczciwości, szanować dobrą sławę każdego i przypuszczać dobrą wiarę u przeciwników; jak zachować najważniejsze dziennikarza cnoty: miarę i dyskrecyę. W tem wszystkiem Mann był i zostanie mistrzem. Ten dziennikarz zasługuje, aby jego pamięć uwiecznić i odświeżyć, bo posiadał wyłączny urok, którym sobie otwierał i utrzymywał szerokie stosunki europejskie, jak mało kto z Polaków współczesnych — i nim wywierał wpływ osobisty na społeczność naszą, jak znów mało kto w naszem mieście i kraju. Gdy pamiętniki, zatytułowane: *Mémoires d'un homme de rien*, które byłyby prawdziwą kopalnią, Mann w chorobie spalił, lękając się niedyskrecyj pośmiertnych wobec wielu żyjących, ne-

krolog pióra Popiela będzie ważną wskazówką, gdy nadejdzie chwila ocenienia twórcy szkoły dziennikarskiej polskiej na miarę europejską.

O Aleksandrze Wielopolskim znajdujemy wspomnienie krótkie, lapidarne, niewystarczające atoli, gdy zważymy stosunki bliskie i długoletnie, jakie wiązały Popiela z margrabią.

Jenerał Dezydery Chłapowski, jedna z najbardziej bohaterskich postaci polskich z epopei napoleońskiej, niemałą chwałą się okrył w kilku bitwach 1831 r. i na początku wyprawy litewskiej. Zarzucano mu jako błąd, że nie uwięził, jak chcieli jego oficerowie, Giełguda i nie objął za niego komendy przed przejściem granicy pruskiej. Popiel dramat ten wojskowy przedstawia w szczegółach i oddaje cześć Chłapowskiemu za to, co długo mu pamiętano jako winę. Karność wojskowa i uczucia chrześcianina nie dozwoliły mu strącić swego zwierzchnika i buntem obozowym uratować korpusu. Dalszy zawód jenerała przy roli w rodzinie, w reformie obyczajów, w usługach Kościoła i wyznawstwie zasad katolickich, wyczerpująco i świetnie przedstawił Kalinka w swej książce, a zgodnie z tem, co zakreślił w nekrologu Popiel.

Cześć zasługom Leona Sapiehy oddał Popiel w artykule: „Pogrzeb w Krasiczynie.“ Są tu wspomnienia z wspólnej służby urzędowej w Warszawie, kiedy Sapieha pod Lubeckim, a Popiel pod Mostowskim przebywali szkołę; są poglądy na ekonomiczne i polityczne zasługi księcia w obumar-

łej Galicyi, która tyle pracy i inicyatywie pierwszego swego marszałka zawdzięcza.

O młodym człowieku, ale bardzo wytrawnym politycznie, mężnym, pewnym i stałym, o Józefie Badenim, wspomnienie Popiela tem bardziej przejmujące, że tracił w nim bliskiego krwią i zasadami wspólnika, może następcę pod wielu względami.

Wspomnienie o Józefie Szujskim, we dwa lata po jego śmierci napisane, wywołało niejaką drażliwość — musiało być niezręczne. Pisał je Popiel w tej świadomości, że zbyteczna podnosić stanowisko i zasługi Szujskiego; on naznacza epokę w historyi i polityce polskiej. Często stając do walki na jednej linii z najbliższymi przyjaciołmi Szujskiego, chciał autor dać odróżnienie różnej broni we wspólnym obozie zachowawczym. Co mówi o Stańczykach, nie jest ujmą zasługi, ale krytyką metody. On się ich nie zapiera, ale od nich odróżnia, bo wyszedł z innych czasów, z innych premis i z innej szkoły — gotów zawsze stanąć w ich obronie, lub z nimi społem iść do ataku. Nie dzielę zarzutu autora co do ostrości tonu w *Tece* i ironii; nie był to tylko środek do skuteczności, ale był skutek psychologicznego zwrotu: na zimno walczyć przeciw namiętnościom niepodobna. Wiem, że pewna wyłączność jest nieuchronną w ścisłem gronie, mającem tworzyć jądro stronnictwa: tu było jej może za wiele. Można o tem mówić, bo to dziś należy do przeszłości. W dwojaki sposób oddziaływa się na szersze koła: samą potęgą myśli oraz czynów dowo-

dem — prędzej jeszcze prądem magnetycznym i atrakcyjnym. Pod pierwszym względem Stańczyków zadanie świetnie rozwinięte i chlubnie spełnione: czyny stronnictwa, czy tego grona, niejednego uprzedzonego, a może i zrażonego rozbroiły i pociągnęły; potęga myśli Szujskiego zostawiła trwały ślad na długo.

Głównym atoli celem i myślą tego artykułu o Szujskim było — przedstawić to, czego inni nie przedstawili, że Szujski nietylko był mistrzem w historyi, dzielnym szermierzem w polityce — ale że na jednem i drugiem polu doszedł tak wysoko za gwiazdą wyższych prawd i zasad katolickich, które od młodości sercem odczuwał, ale umysłem zdobywał je mozolnie po wielu walkach, aż stanął tam, zkąd wypłynęła jego książka o *Odrodzeniu i reformacyi.*

Nie o samą wiarę uczuciową tu chodzi; któż w Polsce jej niema, któż zagubionej nie odnajdzie, choćby w ostatniej życia chwili? Ale Popiel śledził tych ludzi, te umysły wyższe, które dochodziły do objęcia całego systemu historyozoficzno-społecznego na podstawach dekalogu, do tej syntezy katolickich zasad, która podaje kryterya i klucze zarówno do wszystkich problematów tej ziemi, jak do wielkich tajemnic pozaświatowych. Ta druga część artykułu o zdobyczach ducha Szujskiego należy do najświetniejszych i najgłębszych, jakie Popiel napisał.

Znów wspomnienie młodości. Stanisław Rzewuski, syn Emira, a brat Leona, zmarły w 24

roku życia podczas powstania 1831 roku, w którem brał z bratem udział, zostawił po sobie niemal legendę o nadzwyczajnych zdolnościach, graniczących z genialnością, które go omal na tron belgijski nie wyniosły, a dla kraju najświetniejsze rokowały nadzieje. Po młodym przyjacielu zostały w rękach Popiela notatki, które dały podstawę do nader zajmującego wizerunku jednego z tych, co zaledwie zajaśnieli, już zgaśli. W każdem pokoleniu u nas powtarza się takie przedwczesne żniwo i niejedną książkę spisaćby można z tych zawiązków myśli, które nie miały czasu z pączka wystrzelić pełnym kwiatem...

Ubolewał zawsze pan Paweł, tak gorący i typowy Krakowianin, nad znikaniem starego mieszczaństwa krakowskiego — resztek dawnego patrycyatu z jego dumą i odrębnością stanu, z jego miłością dla każdej tradycyi i każdego kamienia. Lubił więc odświeżać te tradycye i podnosić zasługi typów mieszczańskich, jakie znikały; ztąd zajmujące wspomnienie o Leonie Bochenku, kupcu i obywatelu wielkiej zacności i rozumu.

Umiera w Krakowie X. Adam Krasiński, długoletni wygnaniec z Wiatki, a biskup wileński; Popiel pisze krótki nekrolog uczonego i dziwnie pogodnego starca, który wśród nas ostatnie spędził lata Dalej nekrolog ks. Konstantego Czartoryskiego, jednego ze znaczących posłów i członków wiedeńskiej Izby panów; nekrolog Augusta Zamoyskiego, jednego z siedmiu braci tak znakomitych, podniosłych, promieniejących cnotą i miłością ojczyzny.

W jednę całość wiążą się trzy portrety: Lamennais'go, Montalemberta i Ludwika Veuillota. Wszystkich znał Popiel osobiście, z wszystkimi pozostawał w bliskiej łączności zasad i zadań. Z niemiecką filozofią pasowało się wiele umysłów polskich. Wpływ doktryn krańcowych, przeciw Bogu i społeczeństwu wymierzonych we Francyi, zafermentował wśród emigracyi. Ruchu katolickiego we Francyi z przed lat sześćdziesięciu jedynym może przedstawicielem w kraju był Paweł Popiel, bo w nim brał bezpośredni, czynny udział za młodu, bo do niego nie wniósł nic z mistycyzmu poetów polskich. Na umyśle Pawła Popiela można było badać różne fluktuacye i różne odmiany tego ruchu. W ruchu tym chodziło o zgodę zasad wiary z prądami wieku. „Lamennais miał pióro Orygenesa, a głowę Tertuliana“, z wyżyny spadł w przepaść. Montalembert wysilał się, aby rzekę wolności zwrócić ku opoce wiary; wyszedł z tej walki zaszczytnie i zwycięsko. Veuillot był wiernym i dzielnym szermierzem do końca, ale błądził wyborem broni, zbyt wyostrzonej, często zatrutej jadem. Jakążby dziś można przeciągnąć paralelę między tym ruchem duchów wierzących, wyciągających dłonie ku sztandarom wieku, aby je zatknąć na gruncie Kościoła, a ruchem odwrotnym synów niewiary, którzy po zniechęceniach i zawodach w ideałach wieku, szukają dziś drogi do utraconej świątyni Chrystusowej — jakąż daleką a przepaścistą drogę odbył świat od tych katolików liberalnych do dzisiejszych neochrześcian?

Lecz przerwijmy — za daleko nas porywa to pośmiertne obcowanie z sędziwym przyjacielem. Na końcu cały wieniec niewieścich postaci: Ludwika Ossolińska, pani Arturowa Potocka, Róża Sobańska, Walerya Badeniowa, Helena z Wężyków Morawska, Laura z Potockich Tarnowska; zapomniano nekrologu pani Cabogowej i księżnej Izabelli Sanguszkowej. Umie autor oddać cześć cnotom niewieścim a hołd dla wdzięku, jaki w koło siebie roztaczały.

Czy te dwa tomy, które rodzina oddaje po cenie niezwykle u nas niskiej, a więc dla wszystkich przystępnej, te dwa tomy, pełne treści, będą czytane, czy będą rozumiane przez szersze koła i młodsze pokolenia? Gdyby tak nie było, byłby to dowód, że zrywają się ogniwa; że to, co niesie bezpośrednią naukę narodowej przeszłości, co wywalczone w walkach ducha i pracach życia, to, z czego tryska zdrowie i mądrość, utracone dla przyszłości. Nie daj tego Boże! tak nie będzie.

Przędza rwie się u nas tak skoro, między jednem a drugiem pokoleniem staje mur. Padają przedwcześnie ci, co wciągali pełną piersią tę naukę doświadczeń i zdobyczy poprzedników. Popiół długiem życiem łączył i zbliżał ku sobie kilka pokoleń. Niech ten głos pozagrobowy, te pisma wydane pośmiertnie, przedłużą wpływ jego umysłu, te dwie księgi niech będą podstawą trwałego pomnika dla głębokiego myśliciela, gorliwego miłośnika ojczyzny, wiernego syna Kościoła.

O WIECU KATOLICKIM.

I.

Podaliśmy przed kilku dniami odezwę zwołującą pierwszy wiec katolicki w Galicyi do Krakowa. Odezwa nie mieści w sobie programu, ale jest tylko pobudką i jakby zatknięciem sztandaru; podpisy zaś poważnych mężów z różnych stron kraju i różnych stanowisk stanowią rękojmię, że myśl, rzucona przed rokiem przeszło, dojrzała i zyskała uznanie.

W każdym innym kraju zbytecznem byłoby rozwodzić się nad znaczeniem i potrzebą wiecu katolickiego — od dziesiątków bowiem lat peryodyczne zebrania ludzi i wiary stały się nieodzowną potrzebą w Niemczech, we Francyi, w Belgii, na drugiej półkuli, zgoła wszędzie, bez względu, czy chwila przynosi z sobą groźbę i ucisk, a wymaga walki w obronie zasad i prawd chrześciańskich — czy tylko ich straży, wyjaśnienia, rozwinięcia, a zarazem zjednoczenia żywiołów katolickich. W Wielkopolsce, na Szlązku, a nawet tam, gdzie Polacy są niejako w gościnie, jak świeżo w sto-

licy państwa niemieckiego lub też w różnych miastach Stanów Zjednoczonych, wiece katolickie są koniecznym środkiem utrzymania nietylko ducha katolickiego, ale także siły odpornej pod względem narodowym.

W Galicyi ma się zebrać pierwszy wiec, i jako nowość, wzbudzał pewne wątpliwości, których atoli nie zwykły budzić inne, wręcz przeciwne i ujemne hasła. Patrzymy częstokroć z obojętnością i bez dyskusyi, gdy prądy obce i skrajne, korzystając ze swobód konstytucyjnych, wzbudzają u nas ruch wręcz przeciwny naturze i potrzebom społeczeństwa; nie pytamy, po co i na co ta ruchliwość podniecaną bywa pod pozorami czczemi i bezmyślnemi. Stało się to niemal ustalonym zwyczajem i przywyknieniem w Galicyi, że ludzie wiary i ludzie porządku, katolicy i konserwatyści pracują w odosobnieniu i w ciszy — i przypatrują się z kurulskich krzeseł z politowaniem, ale i nie bez obawy, jak poruszają się w próżni lub pchają nad przepaść ci, co agitują i ruch wzięli sobie za specyalność, choćby bez myśli dodatniej, albo z dążeniem przewrotu.

Stan taki nie jest zdrowy i nie odpowiada dzisiejszym potrzebom i warunkom. To darmo, wiek demokracyi, wiek kolei żelaznych i telegrafów ma swoje wymagania i nie zaspakaja się kontemplacyą, ani bohaterską obroną Okopów św. Trójcy, ani nawet pracą czy to indywidualną, czy zbiorową, ale w ciszy i w zamknięciu. Kościół katolicki ma od Boga daną znajomość potrzeb

wszystkich czasów i stwarza środki i narzędzia dla każdej epoki; nietylko w nadprzyrodzonym porządku powołuje on nowe zakony i instytucye duchowne na potrzeby każdej epoki, ale nakłada również obowiązki na świecką społeczność wiernych według tych wymagań i danych warunków. Bywają zwykle krótkie epoki wojującego Kościoła — ale częściej powraca czas apostolskiej pracy, nauczania, prostowania dróg, duchowego dorobku, zgoła czas siejby. Te znamiona i ten charakter, takie posłannictwo ma właśnie pontyfikat Leona XIII.

Odwieczne i niezłomne prawdy wiary Chrystusowej ujawniają się dziś na tle ducha nowożytnego — stawiają punkta wytyczne i znaki przewodnie wobec starożytnej umiejętności, wobec przeistoczeń politycznych i społecznych. Niedość, że ta siejba tak obficie jest dziś rzucana z wysokości opoki Piotrowej w Encyklikach Leona XIII, ale na to, aby się przyjęła, trzeba jeszcze odpowiedniej uprawy roli.

Ta zaś uprawa gleby społecznej pod ten ożywczy zasiew jest zadaniem i obowiązkiem samego społeczeństwa. Parabola o ziarnie ewangelicznem wybornie się tu stosuje, a kiedy widzimy, że ta siejba prawd katolickich w odniesieniu do życia społecznego tak świetnie się rozkrzewiła wśród katolików niemieckich, tak się rozszerza za Atlantykiem i indziej, dzięki owej uprawie gleby przez ruch i życie, baczyć winniśmy, aby nasze społeczeństwo nie stało się ową epoką lub ziemią zachwaszczoną, gdzie ten posiew przepada.

Jesteśmy na wskróś społeczeństwem katolickiem, to prawda; ale katolicyzm w Galicyi wypływa z dwóch źródeł: z przeszłości naszej historycznej, która sprawia, że odstąpienie Kościoła byłoby apostazyą od ducha Polski, oraz z solidarności z braćmi, cierpiącymi za wiarę, której także zaprzeć się pod grozą apostazyi narodowej się nie godzi. Własnej usilności, wewnętrznej pracy, pracy myśli, oraz tego działania społecznego, które każdy czyn i każdy krok znakiem krzyża znaczy — przyznajmy — podobno niewiele. Z tradycyi i obyczaju lubimy wszystko pokostem katolickim pociągać zewnątrz — ale katolicyzm nie ma służyć tylko do dekoracyi, winien być cementem, którym spajają się ciosy i cegły każdej budowli od fundamentów, a w dzisiejszych czasach wszystko trzeba od fundamentów, od gminy i szkoły, od dorobku ekonomicznego do dorobku naukowego, przebudowywać i wzmacniać. Tak jest: dziś w całym świecie jest ten dziejowy przełom; wszystko, na czem budowano od stu lat, okazało się kruchem i liberalizm, czy ustawodawczy, czy ekonomiczny, ten, co chciał naprawiać ustrój społeczny na modłę rewolucyjnych praw człowieka, myślał o bezwzględnej wolności jednostki, a zapomniał o organicznym ustroju, czy ten co mówił: *laisser faire, laisser aller,* a obiecywał ogólny postęp, dobrobyt i uszczęśliwienie ogółu, przyniósł równe zawody. Zwodniczemi i nader niebezpieeznemi są doktryny, opiekę wszechwładnego państwa podające jako jedyną rękojmię i palladyum, a jak straszne następstwa

zapowiada materyalistyczna doktryna walki o byt, sami już nie wierzący drogą obserwacyi i badania dochodzą dziś do tej świadomości, że bez cementu wiary wszystko zapadnie w gruzy i rozłoży się na atomy.

U nas cementu duchowego nie brak jeszcze, suma wiary jest, dzięki Bogu wielką w naszem społeczeństwie — i błędną obierałby drogę wiec katolicki, gdyby sobie zakładał, jako zadanie, bądźto samą walkę z niedowiarstwem, bądź dzielenie społeczności według stopni uczuć religijnych. Słusznie w znakomitem piśmie o zadaniach przyszłego wiecu napisał p. Stanisław Starowieyski, że jego głównym celem powinno być doprowadzenie katolików do samowiedzy zasad katolickich. Gdzieindziej dawniej powiedziano, że katolicyzm jest u nas w stanie płynnym uczucia — trzeba, żeby przeszedł w krystalizacyę zasad. Podobny proces odbywa się u nas od lat kilkunastu z patryotyzmem, który także był zbyt jednostronnie i wyłącznie na uczuciu opartym, a dziś z serca przechodzi do głowy.

Potrzeba więc poczucia samowiedzy, na czem zasady katolickie się opierają, do czego się stosują, jakie z nich wypływają konsekwencye, i potrzeba nadto świadomości i znajomości współczesnego rozwoju życia katolickiego na świecie. Nikt nie zaprzeczy, że od pół wieku Kościół obok ucisków ma do zapisania nowe tryumfy, naznacza nową erę odrodzenia, rozszerza sfery swojego wszechstronnego, ożywczego wpływu.

Polska cierpi za wiarę i w Polsce się modlą i po katolicku żyją — ale udział w odrodzeniu, w usiłowaniach, w dążeniach świata katolickiego jest naszemu narodowi utrudniony, w znacznej części zamknięty. Galicya, jak pod wielu innemi względami zastępować musi przymusowy zastój innych dzielnic, skazanych na zupełną bierność — tak i tu ma pierwszorzędny obowiązek, aby nie minął społeczności polskiej ożywczy prąd, który płynie z wiecznego miasta, a obie obejmuje półkule.

Jest jeszcze inny obowiązek solidarności i wzajemności w rodzinie narodów katolickich wobec Ojca chrześcijaństwa. Mówią nasi przeciwnicy w parlamencie i w dziennikarstwie, że Galicya jest krajem biernym wobec monarchii; fałsz tego twierdzenia został wykazany, ale zważać nam należy, aby nam nie powiedziano kiedyś w sferach dziennikarskich Rzymu, niezawsze nam przychylnych: Polacy zachowują stanowisko bierne wobec powszechnego ruchu katolickiego, dają oni dowody wiary w prześladowaniu, ale po za nim nie objawiają dostatecznie wspólności, gdy chodzi o ścisłość zasad i czynu działania w obronie zasad katolickich, praw Kościoła i praw Stolicy św.

Nie daj Boże, abyśmy podobny ściągnęli na siebie zarzut przez zaniedbanie lub połowiczność — w czasach gdy doznajemy tyle świetnych dowodów ojcowskiej pieczy, szczególnej miłości, mądrej troskliwości od Namiestników Chrystusowych — w czasach, kiedy odwrócily się od nas sympatye

wszystkich obozów, a jedynie świat katolicki czuje nasze krzywdy i boleści.

Myśl wiecu katolickiego w Krakowie wyszła pierwotnie od maluczkich, ze sfer rzemieślniczych. Tam objawiło się żądanie pewnej zasady i zjednoczenia na gruncie chrześciańskim wobec groźnych haseł, szerzących zamęt, a mogących dokonać ruiny materyalnej i rozkładu moralnego. Myśl ta przez rok przeszło z trudnością torowała sobie drogę. Gdy dojrzała, okazało się, że wiec nie może się zamknąć ani w jednej sferze spraw, ani w rogatkach miasta. Dlatego komitet miejscowy musiał ustąpić przed inicyatywą grona mężów z całego kraju, których podpisy czytamy na odezwie; dlatego również program musiał być rozszerzony i podzielony na prace różnych sekcyj. Nie należy atoli zbyt wygórowanych stawiać żądań do pierwszego wiecu — nie zdoła on zapełnić tych ram, jakie sobie wytknął: spełni należycie swoje zadanie, gdy postawi pierwszy krok, gdy da początek nowemu kierunkowi w starych ale zawsze świeżych prawdach. Szczęść Boże temu usiłowaniu.

II.

Program kwestyj, które mają być postawione na wiecu katolickim, bardzo obszerny, bo tego wymagała już ta sama okoliczność, że to wiec pierwszy w naszym kraju — a tymczasem w innych krajach sprawy te dawno omówiono i na zebra-

niach zadokumentowano. Ramy tak szerokie nie mogą być atoli odrazu zapełnione. W każdem rozpoczynającem się działaniu trzeba szersze zakreślić główne linie, choćby część tylko programu miała być wypełnioną.

Wszechstronność programu niech nikogo nie odstrasza. Stary aksyomat: *homo sum, nihil humani a me alienum puto,* tem więcej obowiązuje, im z wyższego, bo Bożego bierzemy rzeczy stanowiska. Jednym z błędów u nas ustalonych jest ściąganie wiary do ciasnego zakresu, bądź to wyłącznie życia prywatnego, bądź do spraw ściśle kościelnych, niemal zakrystyjnych. W epoce romantyzmu poeci starsi nasi ciągle nawoływali do królestwa Bożego na ziemi, pojmując je zbyt mistycznie lub mesyanicznie, albo też wyglądali chwili, kiedy Ewangelia stanie się podstawą prawa narodów. Odtąd świat pchnięty został silnie ku pogaństwu, ku brutalnym prawom siły — dlatego właśnie reakcya chrześciańska, która się obecnie objawia na wszystkich polach myśli i działania, musi dziś dążyć do tego szukania królestwa Bożego na ziemi, do tego zwycięstwa prawd Ewangelii wobec wszelkich sfer i objawów życia doczesnego; tylko to poszukiwanie i dążenie nie powinno być mistycznem, tem mniej mesyanicznem, ale realnem, pozytywnem. Idealizm naszych poetów odpowiadał idealizmowi ówczesnej filozofii panteistycznej; realizm katolicki dzisiejszych czasów musi zejść na grunt faktów, cyfr statystycznych badań naukowych, potrzeb chleba i wymagań

wiedzy tam, gdzie się bój dnia dzisiejszego odbywa z materyalizmem socyalistów i materyalizmem uczonych pozytywistów.

Od nauki zwykło się to zaczynać: naprzód więc poszli myśliciele katoliccy i wystąpiła doktryna Kościoła wobec upadającej filozofii współczesnej, wobec spaczonych doktryn o państwie i granicach jego władzy, wobec niedojrzałych jeszcze umiejętności socyologicznych i również wiele wątpliwości wzbudzających szkół ekonomicznych. Oczywiście pierwszy wiec katolicki w Krakowie ani nic w tem nowego postawić i dodać, ani nawet sprawodawczo całego tego rozkwitu umiejętności katolickiej wyczerpnąć nie zdoła. Dobrze jest atoli, że utworzono sekcyę naukową, a rzeczą jest naturalną i nieodzowną, że w innych sekcyach kwestye życiowe będą miały podstawę teoretyczną.

Niedawne to czasy, kiedy pisarze i uczeni katoliccy, po za apologetyką uczuwali wyłącznie potrzebę i obowiązek obrony i polemiki z antychrześciańskim kierunkiem wiedzy. Dziś już pojednanie wiedzy z wiarą, jakkolwiek nie uznane przez obóz wolnomyślny, dokonało się całkowicie w szeregach uczonych i pisarzy katolickich — nie odrzucają oni ani nowożytnej metody badania, ani się nie lękają pozytywizmu faktów i dat; zadanie ich dziś o wiele wyższe, i nie polemika tylko i stanowisko odporne — ale afirmacya, ale nawiązanie dzisiejszego postępu umiejętności wolnej z premisami wiedzy z wieków, kiedy nauka miała cechę chrześciańską i była niemal monopolem

Kościoła św. i duchowieństwa. Widzimy też, że w różnych działach nauki i sferach myśli, od filozofii tomistycznej aż do nauki o ustroju społecznym, która od św. Tomasza do Leona XIII snuje jednę nić chrześciańskiej doktryny — budzi się ruch konstrukcyjny umiejętności, pojednanej z wiarą i na wierze opartej.

Nam łatwiej, niż komukolwiek, z ruchem umysłowym świata katolickiego się zjednoczyć, bo tak w nauce jak w literaturze, nie pozbawiliśmy się nigdy cechy nawskróś chrześciańskiej. Spory i polemika tu niemal zbyteczne, bo z wyjątkiem jakichś obcych naleciałości, krzykliwych naśladownictw i lichych tłómaczeń pozytywistów warszawskich — nie byłoby z kim i o co do walczenia. Czego atoli potrzeba, to tej samowiedzy, o której w poprzednim mówiliśmy artykule, samowiedzy, która obejmuje całą skalę następstw każdej zasady, każdej szkoły — bywa bowiem u nas często ten sam powierzchowny eklektycyzm w nauce, co i w polityce, że ludzie mający się za katolików, przyjmują rezultaty gotowe niedowiarków i dalej je szerzą bez skrupułu i krytyki.

Nie byłoby też rzeczą zbyteczną, aby celem prostowania umyślnych, czy bezwiednych zboczeń, celem przyswajania sobie postępów wiedzy chrześciańskiej celem pobudzenia ruchu naukowego tak tak wśród duchowieństwa, jak wśród świeckich wiecu katolickiego, mógł się wyłonić jakiś organ na wzór Goerresowego Towarzystwa, któryby jeszcze dla siebie znalazł dość miejsca i wiele

pola obok innych instytucyj naukowych, niestojących w walce z wiarą, ale wiary niemających za punkt wyjścia.

Zadania takiej instytucyi, czy stowarzyszenia sięgaćby powinny po zakres umiejętności w sferę publicystyki i belletrystyki, dla której także osobna przygotowana sekcya na przyszły wiec. Tu bowiem częstsze są zboczenia i skrzywienia, bo podstawa płytsza, ale wpływ szerszy — bo już nieodzowną bywa i polemika i walka, gdy często lekkomyślność, niekiedy wzgląd merkantylny oddziaływa na publicystykę i powieściopisarstwo, na całą literaturę popularną i popularyzującą w kierunku szkodliwym i ujemnym. byle tylko wystąpić z jakąś nowością, byle tylko wzbudzić zajęcie i popyt.

Szkody, jakie tu nietylko w rzeczach wiary wyrządało i częstokroć jeszcze wyrządza dziennikarstwo, powszechnie przez ludzi poważnie myślących są znane — a tym szkodom co najmniej dorównywa złe, jakie się szerzy przez powieść, choćby była pisaną bez złego zamiaru, ale gdy jest pisaną bez myśli i celu, jedynie jako artykuł godny handlu księgarskiego. Tem większy obowiązek jeszcze wobec literatury ludowej, najtrudniejszej do pokierowania, ale i najważniejszej. Wiec katolicki szczególną winien zwrócić baczność i starania w tym kierunku, a spotkanie duchownych i świeckich może dać sposobność i rękojmię należytego poruszenia i zbadania tych potrzeb budzącego się życia myśli wśród ludu wiejskiego i wśród

warstw małomiejskich. Gdyby popularna książka i ludowe pismo chciało tylko to szerzyć, to czynić przystępnem, co literatura polska i duchowe życie Polski nagromadziło przez wieki dla warstw wyższych — mielibyśmy pewność, że do chaty wejdą tylko zdrowe promienie światła, zgodne z uczuciami i moralnością tego ludu.

Sekcya dla sztuki chrześciańskiej, o ile wiemy, wzbudziła gorliwe zajęcie w gronie mężów, sztukami w Krakowie umiejętnie się zajmujących.

Chwalebna ta gorliwość jest wyrazem istotnej potrzeby. Od lat trzydziestu zaledwie otwarł się nam nowy horyzont i tam przenieśliśmy te ideały, które realizm dzisiejszych czasów z innych sfer wypędzał. Jeśli sztuka religijna mało u nas zakwitła, bo jej było brak wkoło nas — to znów, jak się obejrzymy poza siebie w przeszłość, zwłaszcza średniowieczną, jedynych niemal zabytków sztuki polskiej przychodzi nam szukać po kościołach i klasztorach. Cześć zabytków przeszłości jest uczuciem religijnem, słusznie *pietas* zwanem, a widzimy, że z indyferentyzmem pod względem wiary wzmaga się zobojętnienie dla tych zabytków przeszłości, czego niestety liczne i rażące dowody mieliśmy w samym Krakowie. Słuszna tedy, że wiec katolicki da hasło do większego o te świętości i te piękności starania.

Z tego zetknięcia powag, specyalnie nauką sztuki się zajmujących, z ogółem katolickim, a zwłaszcza z duchowieństwem, spodziewać się możemy rozbudzenia dbałości tak o to, co

nam pobożna przeszłość przekazała, jak o to, aby na przyszłość świątynie nasze w miastach i po wsiach nie uległy złemu smakowi, lecz zdobiły się według zasad piękna chrześciańskiego, przyswajały sobie to, co w muzyce, malarstwie, rzeźbie i architekturze jest znamieniem odrodzenia w Kościele.

Pozostaje nam jeszcze zastanowić się pokrótce nad zadaniami, jakie poruszają sekcye: ekonomiczna, rolnicza i sekcya życia chrześciańskiego.

III.

We wszystkich zebraniach katolickich na Zachodzie kwestye socyalne na pierwszy występują plan.

Z jednej strony wielką ewolucyę cywilizacyjną zapowiada odrodzenie nauk fllozoficznych, na podstawie pojednania wiedzy z wiarą — z drugiej strony kotwicą wśród burzy socyalnej, kluczem do jej groźnych problematów staje się ten ruch i myśli i czynów, który szuka naprawy ustroju społecznego w powrocie do dekalogu, do Ewangelii i do Doktorów Kościoła, od Summy św. Tomasza, aż do Encykliki Leona XIII *Rerum novarum*.

U nas dotąd ruch ten mało znany, bo też społeczeństwo nie zeszło tak, jak gdzieindziej, z drogi chrześciańskiej — i nie powstały tak gwałtowne ekonomiczne, jak tam sprzeczności. Nadciągają atoli chmury — trzeba poznać, gdzie znaleść można ochronę. Zdarza się już słyszeć naprzeciw

haseł socyalizmu antychrześciańskiego — hasło socyalizmu chrześciańskiego," ale samo użycie tego terminu, który jest *contradictio in adjecto*, świadczy o braku należytego zrozumienia rzeczy, według przysłowia: „słyszą, że dzwonią a nie wiedzą, w którym kościele". Takie hasła mogą niekiedy powiększyć chaos pojęć i zaniepokojenie sumień.

Ruch, który się poczyna w Niemczech od biskupa Kettelera, w Anglii od kardynała Manninga, ma różne odcienie, odmiany i przebywa różne fazy i stadya według wymagań i potrzeb lokalnych każdego kraju. Inaczej rzecz stawiają stowarzyszenia, którym przewodniczy hr. Mun, a inaczej szkoła reformy społecznej Le Playa — w pośrodku staje ksiądz Pascal. W Austryi nie zaniedbano tych pytań, jak świadczą pisma Vogelsanga, hr. Kufsteina i mowy księcia Lichtensteina. Najdalej posuwa się szwajcarski socyalista katolicki Dekurtins — inną znów drogę obierają „Rycerze pracy" w Stanach Zjednoczonych i biskup Ireland.

Ważnem byłoby poznanie szczegółowe i przedmiotowe tych wszystkich usiłowań i dążeń często już bardzo płodnych w rezultaty; ale stosowanie ich u nas, byłoby może przedwczesne. Jedynie Leon XIII w dwóch Encyklikach o kwestyi socyalnej i robotniczej, wytknął kardynalne punkta, wszędzie zarówno obowiązujące. Najpewniejszą też rękojmię i podstawę dają te dwa akta najwyższej powagi — a gdy niebawem ma być zwołaną w Watykanie narada mężów z różnych narodów,

dla zbadania kwestyi socyalnej ze stanowiska chrześciańskiego — dobrze byłoby, aby i głos polski do nich się przyłączył.

Występują dziś na świecie dwie doktryny i dwa prądy, na które chrześcianin-katolik zgodzić się nie może; doktryna dotychczas panująca i przeważająca w ustawodawstwie nowoczesnem, fałszywego ekonomicznego liberalizmu i prąd zagrażający na jutro, prąd anarchii socyalistycznej z mrzonką kolektywnej własności. Na gruzach ustroju hierarchicznego i patrymonialnego, który miał nadużycia, ale miał etyczną podstawę — liberalizm ekonomiczny, będący płodem przeszłowiecznej rewolucyi, dopomógł tylko do ustalenia nowego feudalizmu, o wiele uciążliwszego od dawnych, feudalizmu plutokratycznego. Liberalizm dał równouprawnienie do walki, ale do niej uzbroił jednych od stóp do głów, a drugim kazał się bronić nago i bezbronnie. Naturalnem następstwem tego systemu stała się dzisiejsza walka przeciw kapitałowi, walka zmową, dynamitem, teroryzmem. Socyalizm jest naturalnem dzieckiem liberalizmu — ta tylko pod względem moralnym zachodzi zachodzi między nimi różnica, że liberalizm, związany z kapitalizmem, nabrał cechy wybitnie semickiej — socyalizm — mimo, że żydzi i tu bardzo czynny i pełen inicyatywy udział biorą — jest dotąd na wskróś pogański: tamten szerzy wyzysk, niesprawiedliwość i nędzę — ten prowadzi do gwałtów i zdziczenia.

Wobec tych dwóch kierunków Kościół katolicki przypomina słowami Namiestnika Chrystusowego

oraz gorliwem działaniem wiernych swych synów, że inne od tamtych jest prawo naturalne i prawo sprawiedliwości. — Własność uświęca sam dekalog, zakazując kradzieży i pożądania cudzego mienia, a w tem stanowczo potępione wszystkie teorye kolektywizmu, — ale każdy człowiek ma prawo do życia i zapewnienia pracą warunków życia swej rodzinie, o czem zapomina częstokroć kapitalizm i ten ekonomiczny liberalizm, który za podstawę zarobku i płacy nie bierze żadnej normy etycznej, ale tylko targ. Chrześciańskie systemy reformy socyalnej odrzucają kolektywizm, potępiają socyalizm sekciarski i anarchistyczny; lecz własności indywidualnej nie uważają za bezwzględną, bo tylko Bóg jest absolutnym Panem wszechrzeczy. Własność jest w rękach człowieka rodzajem depozytu czy fideikomisu.

Pewien haracz z tego depozytu nietylko należy się prawem miłosierdzia ubogim, ale w imię sprawiedliwości współpracownikom posiadającego. Nierówności posiadania nie znosi nauka chrześciańska, która szczególną godnością osłania ubóstwo, ale te nierówności łagodzi nietylko obowiązkiem jałmużny, zwłaszcza zaś przestrzeganiem sprawiedliwości, potępieniem wszelkiej lichwy i wszelkiego wyzysku, prawem opieki i odpowiedzialności, jakie ciężą na chlebodawcach wobec pracujących. Z tych głównych zasad wypływają szczegółowe środki ich stosowania według lokalnych wymagań — ztąd to działanie rozjemcze; z jakiem stowarzyszenia katolickie występują między kapitalizmem

fabrycznym a proletaryatem robotniczym, ztąd we Francyi myśl sydynkatów, w Niemczech i Austryi powrót do starych korporacyj — mnożenie instytucyj, moralne potrzeby niższych warstw mających na celu, bo w czasach bezwyznaniowych zatraconą jest świadomość, że tylko poczucie równości wobec Boga i nagród wieczystych ulżyć i wynagrodzić zdoła nierówności bytu doczesnego.

U nas stosunki nie doszły do tak ostrych przeciwieństw. W kraju, w którym nie ma ani jednej osady fabrycznej z ludnością robotniczą, gdzie nie istnieje nawet giełda, ta nowożytna świątynia materyalizmu i warownia kapitalizmu — tam niema co mówić o walce kapitału z pracą i o feudalizmie plutokracyi. Stosunki agrarne nigdzie nie dają powodu do tak gwałtownych sprzeczności — u nas tem mniej, gdy radykalna reforma pańszczyzniana, przed pół wiekiem niespełna dokonana, unormowała stosunki i postawiła robotnika rolnego w korzystnych warunkach własności ziemi obok wolnego zarobku.

Lecz u nas powtarza się zwykle ten fenomen, że pierwej grasuje zaraza pojęć obcych, najskrajniejszych i niczem nieusprawiedliwionych — zanim powstają przyczyny, które je gdzieindziej wywołały. Więc i u nas od lat kilku wichrzy prąd socyalizmu, z Niemiec zawleczony, miota się, agituje i organizuje — a doprowadza do takich klęsk narodowych, jak rozbicie solidarności w wyborach w Poznaniu. W Galicyi lekceważyć tego ruchu nie można, bo staje on się plagą, przyspie-

szającą demoralizacyę i zrujnowanie stanu rzemieślniczego. Agitacya socyalistyczna, ekonomicznie zgubna, najbardziej dla tych, do których przemawia i których rzekomo interesa patronuje — jest jeszcze szkodliwszą moralnie, bo podkopuje obyczaje ludu i odbiera mu skarb wiary.

Jak przeciw tej epidemii oddziałać, nie pytano się w Sejmie, ani na innych zgromadzeniach; pytanie to jedno wystarcza, aby uznać potrzebę wiecu katolickiego i systematycznej dodatniej akcyi, która z niego może wypłynąć. Najlepszym środkiem przeciw szerzeniu epidemii bywa dezinfekcya — potrzeba nam dezinfekcyi moralnej, bo dużo zgnilizny, gnuśności, nałogów, szerzących zabójcze miazmaty; potrzeba zdrowego powietrza, czystszej atmosfery, zwłaszcza wśród warstw, najwięcej na zarazę wystawionych.

Niedość atoli środków moralnych i duchowych, do których niejedna pobudka wyjść może z wiecu katolickiego — równie ważną jest higiena, dbałość o to, aby wszystkie członki organizmu społecznego były odżywiane należycie, czyli, aby dobrobyt ludności pracującej się dźwignął.

Nikogo też zadziwiać nie powinno, że na wiec katolicki przygotowano cały szereg kwestyj czysto ekonomicznych w dwóch działach: przemysłowo-rękodzielniczym i rolniczym. Nietylko chodzi o pokarm duszy, ale i o chleb tu chodzi.

Byłoby przedwcześnie rozbierać szereg postawionych tez przez mężów fachowych i kompetentnych. Jest tam poruszone wszystko, co się dotyczy

produkcyi, zbytu i handlu, a w czem rażące niedostatki istnieją u nas. Bardzo to rzecz zdrowa, że program sekcyi ekonomicznej na wiec katolicki jest mniej polemiczny i obronny, a więcej afirmatywny, dodatni; że nie pomijając teoryi, idzie atoli wprost do praktyki: co podjąć, co sprostować, ułatwić, czemu zapobiedz?

Powstawały tu obawy, aby wiec katolicki nie przybrał charakteru antisemickiego. Płonna to była obawa — wręcz przeciwnie: jedynem zabezpieczeniem przeciw prądom antisemickim, które torują drogę socyalizmowi, jest właśnie podjęcie tych kwestyj, któreby walkę ekonomiczną mogły zamienić na walkę wyznaniową. Dowodem tego błogie skutki ustawy przeciw lichwie i przeciw pijaństwu. Zaszczyt to przynosi Sejmowi galicyjskiemu, że wbrew przeważającemu wówczas jeszcze systemowi liberalizmu, który wobec szynkarza i lichwiarza powtarza swoją formułę: *laisser faire, laisser aller*, Sejm podjął inicyatywę tych dwóch ograniczeń bezwzględnej wolności i że ta inicyatywa wnet w innych ciałach prawodawczych monarchii znalazła naśladownictwo. Dziś — o ile ustawa uczynić to może — lichwa zwalczona i jeden powód do odwetu w ruchu antisemickim upadł. Tą drogą należy iść dalej: w tworzeniu gospód chrześciańskich, gdyby tylko Dyrekcya propinacyjna krajowa chciała to więcej uwzględniać, niż to czyni obecnie, przyjmując targ, kto da więcej, za jedyną podstawę przy ugodach dzierżawnych bez względu na moralne i społeczne

rękojmie wydzierżawiającego. Iść dalej trzeba w zakładaniu spółek chrześciańskich handlowych, w czem już tak chwalebne podjęte zostało początkowanie.

I tak dalej i dalej, bezustannie, nie zaczepiając żydów jako takich, owszem zostawiając im miejsce w produkcyjnej pracy kraju, ale coraz więcej ograniczając pole nadużyć i wyzysku. Jedyna to droga reformy ekonomicznej, która może zażegnać starcia wyznaniowe i burze społeczne.

IV.

Osobnej sekcyi dla spraw politycznych na wiecu nie będzie — i słusznie. Politykomania, jako specyalność, to choroba czasu, a dobra polityka jest tylko rezultatem, zbiorową sumą różnych działów pracy społecznej.

Niema dziś wyraźnego rozbratu między kierunkiem polityki krajowej a zasadami wiary — mogą atoli wystąpić niektóre dezyderata pod względem zasadniczym. Na naczelnych miejscac hrządu autonomii krajowej, w szeregach reprezentantów parlamentarnych widzimy mężów, którzy się nie wahają wyznać katolikami i zatwierdzić to życiem i czynem.

Dalekim niewątpliwie od inicyatorów wiecu był zamiar inaugurowania nowego programu politycznego. Konserwatyzm nasz bywa niekiedy oportunistyczny — a przyczyny tego szukać należy, że w prądach opinii kraju nie ma równowagi —

mniejszość ruchliwsza pcha naprzód — olbrzymia większość zachowawcza i katolicka milczy w bierności. Dzisiejsi kierownicy polityki krajowej niechaj się nie lękają agitacyi, której ogniskiem i narzędziem mogą stać się wiece katolickie — ale raczej niech upatrują w nich rękojmię, że zwichnięta równowaga opinii z dołu przywróconą zostanie, gdy katolicko-zachowawcze zasady poruszą za sobą te warstwy, które dotąd powoływano tylko w imię wręcz przeciwnych haseł.

Być może, że wiec nie pierwszy, ale drugi i trzeci da poznać zdolności, które dotąd pomijano, wyprowadzi nowe dodatnie żywioły, które zagłusza dotąd wrzawa czczych frazesów. Być może, że w dalszem następstwie tego zjednoczenia znajdzie się grunt wspólny dla więcej zwartego obozu. Próbowano w Galicyi formacyi stronnictw w najrozmaitszy sposób — tworzyły się bądź koterye na osobistej oparte sympatyi, lub chwilowe kompromisy wbrew wyraźnym przeciwieństwom — nie spróbowano jeszcze nigdy oprzeć stronnictwa na gruncie zasad, stronnictwa, któreby nie łączyło tylko ludzi jednej sfery, ale wyrastało jak drzewo koroną w górę, a korzeniami w głąb warstw ludowych.

Są dwa pozornie zbliżone, a w istocie bardzo sprzeczne: oportunizm i roztropność. Oportunizm, to małoduszność i płytkość, która się zadowalnia załataniem trudności dnia dzisiejszego — to dojutrkostwo, które nie sięga myślą do pojutrza. Roztropność, to cnota chrześciańska — sięga ona

wzrokiem daleko, zna związek przyczyn i następstw, widzi cel i ogólny plan, ale liczy się z warunkami chwili, umie zachować miarę i wybierać środki. Ileż to brakiem tej cnoty roztropności, katolicy i konserwatyści francuscy, pod sztandarem legitymizmu, uronili najpomyślniejszych momentów i przygotowali zwycięstwo oportunistom lub radykałom. Niech nas Bóg chroni od wytworzenia tej kategoryi zelotzymu. Wzorem roztropności dla katolików świata całego jest wielka postać Leona XIII — gdzie większa wyrozumiałość ze stanowczością — większa cierpliwość z niestrudzoną energią, jak w jego apostolskiem działaniu?

Głównym momentem politycznym na wiecu będzie niewątpliwie uchwała adresów do Ojca św. i Monarchy. Są to akta *sine qua non* — a ich znaczenie nie na obszerności, lub sile wyrazów zawisło. Adres do Ojca św. musi dać wyraz dziękczynienia za nowe dowody ojcowskiej pieczy i miłości — a dobrze, że wiec krakowski połączy oba szczepy tego kraju, że w starej Jagiellonów stolicy usłyszymy znów na naradach mowę ruską, że legata papiezkiego, nuncyusza apostolskiego powitają tu książęta Kościoła trzech obrządków. Warunkiem *sine qua non* każdego zebrania katolickiego jest wyraz nietylko wdzięczności i wierności za doznane od Stolicy św. dobro, ale i wyraz wspólności w obronie jej praw i jej niepodległości. Wyraz tych uczuć i tych przekonań byłby spóźnionym, gdyby się zapuszczał w rozbiór faktów historycznych, naruszających te

prawa, żadne zaś względy dyplomatyczne nie stawiają przeszkody katolikom, aby wyznać, że najwyższy naczelnik Kościoła, rzecznik prawa i sprawiedliwości wobec tronów i ludów — winien być politycznie niepodległym.

Nie może być przedmiotem rozbioru i rozpraw na wiecu w Krakowie sprawa prześladowań naszych braci za kordonem. Roztropność jest tu obowiązkiem sumienia — ale obowiązkiem godności tego zebrania będzie, aby znalazł się tam krótki, pełen powagi wyraz naszego bólu i naszego udziału.

Nie znamy dotąd programu sekcyi szkolnej: będzie ona miała zadania jedno z najważniejszych, a niełatwe. Tu także musimy przypomnieć wzgląd roztropności. Religia, jako podstawa wychowania, nierozdzielność szkoły od Kościoła, jak wszędzie, więc i u nas postulatem katolickim — ale z tego jeszcze nie wypływa podległość szkoły władzy duchownej, jak było w czasach konkordatowych. Naruszenie tego stosunku wyszło najpierw z Sejmu lwowskiego i wcale nie z zamiaru antireligijnego, ale z innych ważnych względów, zanim jeszcze ustawodawstwo liberalne Rady państwa postanowienia konkordatu pogwałciło. Te same przyczyny, które w 1867 roku uchyliły nadzór wyłączny Kościoła nad szkołą w Sejmie lwowskim, były powodem niejasnego, chwiejnego stanowiska naszych reprezentantów w parlamencie wobec wniosków ks. Liechtensteina i klubu hr. Hohenwarta.

Żałować należy, że koło polskie długo kierowało się zasadą, podobno dotąd nieuchyloną, że

jego solidarność nie rozciąga się na kwestye religijne; żałować również wypada, że wobec walki stronnictw sprzymierzonych o szkołę wyznaniową, nasza delegacya nie objawiła wyraźnie, jak daleko iść chce, dlaczego z katolikami innych krajów nie łączy się stanowczo. Rezolucye wiecu katolickiego mogłyby tę niejasność uchylić, a nie biorąc jako szablonu wniosku ks. Liechtensteina, ze względu na różnice stosunków lokalnych, postawić szereg dezyderatów, czego do wychowania religijnego brakuje w szkole ludowej i w szkołach średnich, jak zabezpieczyć powagę i wpływ Kościoła i duchowieństwa w ustroju szkoły państwowej, jak zabezpieczyć przyszłe pokolenia od wpływów bezwyznaniowości i innowierstwa. Liczyć się nam w tem wypada i z granicami możności i z tem przeświadczeniem, iż kierunek dzisiejszej Rady szkolnej krajowej daje nam zupełne rękojmie najlepszej woli i dążności. Trzeba żądać: aby szkole i wychowaniu przywrócony został duch chrześciański, aby nie było dopuszczalnem, iżby innowierca mógł być nauczycielem dzieci katolickich, aby praktyki wiary były ściśle przestrzegane, a niebawem nietylko nauka katechizmu miała aprobatę kościelną, lecz także, aby książki innych przedmiotów nic przeciwnego wierze nie podawały.

Zgoła wydaje nam się, iż zamiast rezolucyi na wzór Liechtensteina lub systemu wolnej szkoły, jaką zdobyli przed 50 laty katolicy francuscy, wolnej szkoły, którąby u nas mogła zawieść, właściwszą byłoby drogą postawić szereg życzeń

specyalnych co do zmian i ulepszeń w duchu katolickim, mogącym się pogodzić z obecnym stanem, zwłaszcza, że ten stan i system zwraca się dziś ku lepszemu.

Zbyt długie nasze uwagi, a jednak ogólnych tylko dotyczą zasad, nie wchodzą w szczegółowy rozbiór mnogości postawionych tez w różnych sekcyach. W dwóch dniach wyczerpnąć całego porządku dziennego niepodobna, a trudno dziś przesądzać powodzenia i rezultatów wiecu. To pewna, że jest tylko istny *embarras de richesse*, która kwestya pilniejsza, ważniejsza, tak wszystko było zaniedbane oddawna. Istniał jakiś przedział pomiędzy działaniem duchowieństwa a świeckich katolików, przedział, który przybierał niekiedy cechę nieufności.

Nie będziemy badali jego przyczyn, czy one sięgają do starego i już, dzięki Bogu, przeżytego józefinizmu, czy też mają źródło w indyferentyzmie społeczności świeckiej. Zbiorowe zbliżenie musi być zadatkiem silniejszego zjednoczenia ku solidarnemu działaniu w obronie prawd chrześcijańskich i praw Kościoła, w uległej karności wobec władzy książąt Kościoła, którzy poparciem swojem zapewnili powodzenie wiecowi, a obecnością dodadzą mu znaczenia i powagi.

ROZBIÓR KSIĄŻKI PAMIĄTKOWEJ O WIECU.

Księga pamiątkowa, wydana przez tego, któremu przypadła lwia część trudów i zasługi około zwołania i organizacyi wiecu, ukazała się w poważnym woluminie.

Ciężko przychodziło łamać pierwsze lody, przekonywać nawet ludzi nielękliwych i w rzeczach wiary niedwuznacznych o potrzebie wiecu, o tem, że jest on dla nas obowiązkiem, skoro w całej Europie i na innych kontynentach katolicy używają tego środka zjednoczenia i wytknięcia kierunków. Naprzeciw uczt w stylu *fin de siècle*, gdzie dynamitem wypisują *Mane Tekel Fares* cywilizacyi i społeczeństwu chrześciańskiemu, pod godłem krzyża na chrześciańskie agapy gromadzą się wszędzie wierni i obficie zastawione tam stoły wszelką zdrową strawą. Niestety przy owych baltazarowych ucztach nie braknie Polaków, jak świadczą najświeższe socyalistyczno-międzynarodowe almanachy. Zkąd to ociąganie się i wątpliwości: czy wiec katolicki potrzebny, czy się powiedzie; obawy, że chybi celu, że rzuci niebezpieczne zarzewia? Powodzenie pierwszego wiecu przewyższyło nadzieje optymistów.

Nie obcy początkowaniu wiecu, nie brałem udziału w jego przebiegu. Dziś wezwany do sprawozdania z książki wiecowej, „byle prędko a nie długo,“ niemałą znajduję trudność w tej wskazówce. Z dwóch dni obrad ileż się tam nagromadziło materyału, i nie materyału tylko, ale rzeczy wykończonych, pierwszorzędnych, szeroko otwierających horyzont; ileż spraw najwyższej wagi zasadniczej i najbardziej piekącej praktyczności, a może po raz pierwszy w Polsce tak jasno sformułowanych, że mieszczą w sobie całokształt myśli katolickiej w odniesieniu do chwili i warunków obecnych, mieszczą program, który oby tylko został wypełniony. U nas tak często bywają piękne wstępy bez dalszego ciągu, wspaniałe programy niewykonane i porzucone. Tak nie będzie i nie powinno być z wiecem katolickim krakowskim. Wzięliśmy na nim obecni i nieobecni wiele zobowiązań, od których uchylić się nam nie wolno pod podwójną groźbą winy niestateczności w rzeczach wiary, tudzież niekonsekwencyi i lekkomyślności w obowiązkach narodowych i społecznych.

Gdy porównamy księgę pamiątkową krakowską ze sprawozdaniami z Wiednia lub Lincu, z Francyi lub Belgii, nawet z nad Renu, gdzie kongresy katolickie najświetniejsze, bez szowinizmu przyznać musimy, że odrazu zarównaliśmy długoletnie zaniedbanie. Prawda, przyszliśmy po nich, więc skorzystaliśmy z ich rezultatów i weszli na utartą już drogę. Potrzeby i problemata stulecia są

wspólne, ale ich stosowanie w każdym kraju odmienne. Myśmy odrazu trafili na minę złota. Gdzieindziej kruszec wiary oczyszczać trzeba z innych przymieszek, u nas jest w bryłach jednolitych. Trzeba się spuścić na dno i zrzucić wierzchni pokład źle uprawionej, często zachwaszczonej gleby. Kiedy ks. Liechtenstein czarującem krasomówstwem olśniewa w Wiedniu słuchaczy i nie waha się wezwać za sojusznika p. Luegera, czuć, że stara się sztucznym nieco manewrem zwrócić prąd opinii przez pomost antysemicki do ligi chrześciańskiej, ku hasłom i godłom oddawna odrzuconym i zapomnianym. Gdy u nas przemawia który z książąt Kościoła, lub mówi Stanisław Tarnowski o tem, czego brakuje w naszym katolicyzmie, Włodzimierz Kozłowski i O. Morawski o szkole, Henryk Jordan o socyalizmie, lub Bronisław Łoziński o stosunku prawa do religii — daleką jest od tych mowców wszelka przymieszka namiętności, wszelki sztuczny manewr, w każdem słowie prostota i szczerość, miara i spokój, bo rzeczy wiary są u nas niesporne we wszystkich warstwach społecznych, we wszystkich sferach naszego życia. Chodzi tylko o sformułowanie tego, co tkwi na dnie duszy polskiej. Wielki wódz ruchu katolickiego Windthorst, niedoścignony nigdzie i w Niemczech niestety bez następcy, jednoczył przeciw kulturkampfowi katolików wśród większości protestanckiej. W Belgii i Francyi gorzej i trudniej, bo katolicyzm stał się tam już niemal

tylko kwestyą stronnictwa wobec przewagi nie wiary i sekciarstwa.

W Polsce katolicyzm jest wyłącznym panem w domu, jest on syntezą naszej historyi i naszej literatury, warownią chwili obecnej, kotwicą przyszłości. Ta niesporność zasad, często niedostatecznie rozumianych, ten brak widomego przeciwnika nie był argumentem, jak mniemano przeciw, ale raczej racyą za wiecem i za wiecami w niedalekiej przyszłości, aby podnieść i utwierdzić sztandar, nie sztandar wojowniczy do szturmu, lecz sztandar pokojowy do zjednoczenia i wspólnej, wytrwałej pracy. Inne bowiem, wręcz przeciwne niż na zachodzie, powstaje u nas niebezpieczeństwo. Tam zdarza się często, że ludzie porządku chwytają się idei państwa lub innych podstaw, byle tylko nie ściągnąć na siebie *odium* stanowiska dogmatycznego i wyznaniowego. U nas warcholstwo, skrajny radykalizm, duch anarchii, aby odnieść skutek, chwyta świętokradzko za krzyż, przybiera się niekiedy w sutannę, zabarwia idee przewrotu i nienawiści katolicyzmem, oczywiście *sui generis*. Aby nie dopuszczać takiego szalbierstwa — tem więcej i częściej potrzeba u nas zatwierdzać te zasady, które wypływają z nauki Kościoła, a są kordyałem dla społeczeństwa; potrzeba jednoczyć świeckich, a zbliżać ich do duchowieństwa w jego hierarchicznym porządku.

Jednym z najważniejszych, może głównym rezultatem wiecu, było właśnie to zbliżenie ludzi

różnych stanowisk i zawodów z klerem, tem zaś pożądańsze, że bywały chwile i objawy jakiegoś, nie powiemy, nieporozumienia, ale wzajemnego chłodu. Przyznajmy, że nasz konserwatyzm polityczno-społeczny niezawsze bywał dość jasny, stanowczy i konsekwentny w kwestyi religijnej — z drugiej strony zdarzały się jakieś objawy nieufności niezawsze usprawiedliwione i jakby jakiś separatyzm duchowieństwa od świeckich katolików. Objawy te zaliczamy stanowczo do przeszłości, a wiec katolicki był, i wiece katolickie będą, najdzielniejszym środkiem zbliżenia i porozumienia w wspólnej obronie, solidarnem działaniu księży i katolików świeckich, którego, jeżeli kiedy, to dziś potrzeba.

Nie natrafiono na żadne Scylle i Charybdy. Błędna żarliwość, tak często szkodliwa, nie popychała mowców i referentów po za granice tego, co w danych warunkach możliwe do osiągnięcia. Żadna rezolucya nie skrzyżowała się z torem, jakim idzie legalna polityka kraju i jego reprezentacyi, choć w niejednej zasadniczej i żywotnej kwestyi stawiano żądania i życzenia słuszne a śmiałe, jak zwłaszcza w kwestyi szkolnej, święcenia niedzieli i wielu innych. Nie stoją one w sprzeczności z zamiarami tych, co sterują sprawami publicznemi, ale dotąd opierać się oni musieli wiatrom sztucznej liberalnej opinii, fabrykowanej w dziennikach; po raz pierwszy poparł ich zbiorowy objaw opinii katolickiej. Wiec nie segregował katolików na różne stopnie ciepłomierza zasad i uczuć reli-

gijnych, nie dążył do wytworzenia stronnictwa z jakąś wyłącznością. Gdy stronnictwa polityczne się zużywają, gdy przybywa uprzedzeń, atmosfera chłodnie, a chaos lub obojętność wzrasta, wtedy bodźcem, magnesem i kitem, owym ewangelicznym kwasem, którego potrzeba do dzieży, aby zdrowy wyrósł chleb, jest tylko ta jedność duchowa, którąśmy z rozbiorów, pogromów i wewnętrznych rozdziałów wynieśli nienaruszoną: jednolitość katolickiej Polski. Nie było na nim wycieczek nietolerancyi wyznaniowej, niema jednego ustępu w mowach, zaprawionego tak zgubnym dziś wszędzie, a u nas niebezpieczniejszym niż gdziekolwiek antysemityzmem, choć znów w wielu rezolucyach, zwłaszcza sekcyi ekonomicznej, wskazano skuteczne środki zaradcze przeciw demoralizującej i ubożącej kraj przewadze materyalnej żydostwa.

Żadne tam słowo nie padło, któreby mogło ściągnąć pomstę na braci naszych, znoszących prześladowanie, choć ich cierpienia i krzywdy znalazły wyraz udziału boleści i wiary.

Najsilniej piętnował prześladowania Kościoła pod rządem rosyjskim głos najwyższego zwierzchnika Cerkwi unickiej, najwyższego dostojnika Rusi. Mowa metropolity Sembratowicza miała znaczenie zdarzenia historycznego. Niech się tworzą, rozbijają i znów nawiązują kompromisy z tą lub inną partyą ruską na sejmie, wszystko to ma znaczenie podrzędne i chwilowe. Lecz nie przebrzmi fakt, że głowa Cerkwi i narodu ruskiego w stolicy Jagiellonów stwierdza po raz pierwszy podobno

od stu lat, że Ruś przyjęła chrześciaństwo pierwotnie z Rzymu, że w Brześciu odnowiono tylko przerwane dzieło unii florenckiej, że Cerkiew ma swych męczenników od Jozafata zacząwszy aż do tych wyznawców, co ich na Ukrainie za Katarzyny, na Białorusi za Mikołaja, na Podlasiu w ostatnim okresie mnożyła schizma; gdy głos ten zaznacza przepaść, dzielącą nas od schizmy, a jedność nietylko z Kościołem rzymskim, ale z rzymską zachodnią cywilizacyą. W Petersburgu głucha zapanowała cisza o mowie Metropolity, który przybył do Krakowa w licznym orszaku duchownych i świeckich Rusinów. Odgłos tej mowy doszedł do Rzymu; ale czy był zasłyszany w Diakowarze, w Pradze i wszędzie tam, gdzie sympatye słowiańskie wiodą na bezdroża?

Gdyby zupełnem *fiasco* zakończył się był wiec, a tylko ten jeden fakt, ta jedna została mowa, już wynik byłby niezmiernej doniosłości.

W rozbiorze książki trzebaby oceniać mowy i zastanawiać się nad uchwałami. Naznaczać nam tylko w pośpiechu jedne i drugie.

Znane są czytelnikom *Czasu* przemowy prezesa komitetu urządzającego, który tak piękny miał wstęp na pole życia publicznego, że mu tego serdecznie powinszować i za dobrą warto wziąć wróżbę; mowy Kardynała Dunajewskiego, Arcybiskupa Issakowicza, obie gorącem uczuciem polskiem natchnione, wreszcie mowa marszałka wiecu p. Augusta Gorayskiego.

Na kilku walnych posiedzeniach, nie wiem, czy z układu, czy z przypadku, złożyła się całość dziwnie dobrana i podniosła. Dwaj profesorowie, zwracając się w przeszłość, dali niejako wstęp do zagadnień teraźniejszych: profesor p. Dembiński w krótkim szkicu historycznym przedstawił stanowisko Stolicy św. wobec rozbiorów Polski, a niejedno tam było nowe, świeżo z archiwów watykańskich wydobyte; p. Kazimierz Morawski sięgnął dalej do pierwszych wieków chrześciaństwa, gdzie wyśledził zaród ducha stowarzyszeń, nieznanych w klasycznym pogańskim świecie.

Te dwie wycieczki w przeszłość były jakby przegrywką do kwestyj narodowych i kwestyj społecznych, w odniesieniu do Kościoła, jakie stały na porządku dziennym obrad. Dr Henryk Jordan z właściwym sobie zapałem i miłością podjął zagadnienia społeczne, jak się one u nas przedstawiają, a X. Gnatowski dał na nie pogląd z punktu ogólno-europejskiego i z wyżyny zasad Encykliką *Rerum novarum* wskazanych.

Zamknąć oczy na burzę socyalizmu, która nas ze wszystkich stron okrąża, było niepodobna; bardzo słusznie i trafnie w mowach i uchwałach wiecu nie dzwoniono na alarm, nie zapuszczano się w bezcelową krytykę szalonych utopij i zbrodniczych instynktów, ale poruszano zagadnienia społeczne ze strony dodatniej, afirmatywnej. — Takim duchem tchnęły obie mowy Dra Jordana i X. Gnatowskiego, a rezolucye działu ekonomicznego rolniczego i działu życia katolickiego nie

nawoływały do walki z widmem czerwonem, ale do pracy i zarady przeciw różnym moralnym i materyalnym biedom, trapiącym nasze społeczeństwo. Zatrzymywać nam się niepodobna szczegółowo nad każdem życzeniem, radą, wskazówką, jakie zawierają w sobie te rezolucye. Wiele z nich przechodzi ze sfery ekonomicznej w sferę prawodawczą, jak n. p. kwestya spadków włościańskich i ograniczenia podzielności gruntów.

W sferę prawa wstąpił p. Bronisław Łoziński i stanął na wyżynie filozofii prawa, gdy mówił o jego stosunku do religii i wskazał owe dwa wielkie źródła nowożytnej cywilizacyi, jakie z jednej strony płyną z Ewangelii, z drugiej z prawa rzymskiego. Mowa ta czyni wrażenie, jak gdyby się czytało reasumcyę i konkluzyę wielkiego dzieła. Znać, że każdy ustęp jest tu oparty na długoletniem badaniu i myśleniu. Zaliczyć ją też należy do najwyższych, najznakomitszych rzeczy, jakie mieści księga pamiątkowa, do tych prac, któremi ta księga równoważy, jeśli nie przewyższa sprawozdania z kongresów katolickich innych krajów.

O szkole obszerny wywód p. Włodzimierza Kozłowskiego, referat O. M. Morawskiego i X. profesora Bartoszewskiego mają także ten głębszy, zasadniczy charakter. Sformułowanie rezolucyi o szkole chrześciańskiej, jasne, stanowcze, a pełne miary, stawia tę doniosłą sprawę na nowem polu, bardzo odmiennem od wniosków ks. Liechtensteina. Gdyby nasza delegacya chciała tę formułę

i definicyę za program przyjąć, kto wie, czyby nie znalazła w niej rozwiązania wielkiej reformy, bez wielkich konstytucyjnych trudności.

Z zakresu ogólnych zasad i myśli programowych przeszedł wiec w szczegóły w licznych uchwałach i referatach. Obfitość tu tak wielka, a ważność i znaczenie każdego taka, że trzebaby szeregu artykułów, aby każdą z tych spraw streścić i przypomnieć.

Jest komitet, który wziął na siebie zadanie prowadzenia dalej zapoczątkowanego tak świetnie dzieła — zadanie wielkie i niełatwe, ale bardzo zaszczytne i wdzięczne, a nadto obowiązujące.

Spis członków na końcu księgi pamiątkowej świadczy, że jak pierwsze żądanie wiecu wyszło od rzemieślników krakowskich, tak przeważny w nim udział wzięły niższe i średnie warstwy. Obok licznego zastępu duchowieństwa mieliśmy tam włościan, przybyłych na zebranie Kółek rolniczych, dalej majstrów, kupców, nauczycieli szkół ludowych, których głosy świadczyły o najlepszem usposobieniu; następnie znaczny zastęp inteligencyi miast i miasteczek, zwłaszcza profesorów gimnazyalnych. Skład ten budzi otuchę i nadzieję, bo wskazuje, po której stronie stoi demokracya polska, wbrew temu, co jej chciałoby podsuwać dziennikarstwo. Skład ten uzupełnia i wieńczy kilkunastu profesorów obu uniwersytetów i kilku wybitnych posłów. W ten sposób zsolidaryzowała się z programem katolickim polska nauka i poli-

tyka, że tak powiemy zawodowa, bo mandatem opatrzona.

Zadziwia w tym spisie i niepokoi abstencya obywateli wiejskich, z wyjątkiem okolic, gdzie się rozkrzewiła na nowo stara szlachecka *Sodalitas Mariae* i kilka imion historycznych. Nikt nas nie posądzi, że chcemy rzucać kamień do własnego ogrodu. Chcemy wierzyć, że to nie obojętność, ale stare szlacheckie domatorstwo, które ma już do zbytku autonomiczno-rolniczych obowiązkowych zebrań. Baczyć jednak należy, aby dwór nie został po za tym ruchem, gdy z plebanii, ze szkółki, od warsztatów miejskich i włościańskich chat śpieszą, aby się jednoczyć na gruncie wiary przeciw wspólnej biedzie. Budzące się we wszystkich warstwach życie i mnożące się potrzeby oraz niebezpieczeństwa wymagają dziś nowych punktów zbornych i środków zjednoczenia, otwierają nowe pola działania. U góry Sejm — przed jego powagą uchylić czoła, ale tam rzadko zdarza się sposobność zatwierdzenia przewodnich zasad i rozwinięcia programu pracy po za ramami budżetu krajowego i granicami kompetencyj, statutem określonych. Podobnie i w Radach powiatowych. Swobodne zjednoczenie możliwe jest tylko tam, gdzie się nie równoważą sprzeczne prądy, gdzie ze wszystkich warstw stają ludzie pod jednym znakiem krzyża.

Odczytując sprawozdania wiecu, znajdujemy cały szereg spraw i rzeczy, najbardziej żywotnych, dla których poruszenia nie było dotąd czasu i

miejsca gdzieindziej. Pożytek ztąd może być wielki i dla naszych autonomicznych i konstytucyjny chciał, zwłaszcza że we wszystkiem, choć punkt wyjścia był zasadniczy, wynik był praktyczny.

Czy nowy wiec ogólny krajowy po krakowskim w niedalekim odstępie potrzebny? Sądzę, że przerabiać te same kwestye, tak gruntownie wyjaśnione i tak niemal wyczerpujący odnawiać program byłoby trudno i zbytecznie. Lecz po wiecu programowym i krajowym w najbliższej przyszłości konieczne są wiece w mniejszych miastach, bo od nich zawisło, aby te piękne słowa i myśli nie przebrzmiały bez następstw.

Zaledwie upłynęło pół roku, a już wystąpiły groźne objawy i nastąpiły fakta, wymagające czujności i działania na szeroką skalę. Złe z najmniej spodziewanej wystąpiło strony. Zużyty liberalizm dziennikarski przymilkł i był mocno skłopotany, co zrobić, co powiedzieć o wiecu katolickim, który inicyatywą i swym składem miał charakter demokratyczny bez demokratycznego kwasu. Socyalizm, ten obcy wśród nas zawłoka hałasuje po trochu, ale tłómaczyć musi w swych pismach i zebraniach to, co szablon międzynarodowy podaje. Lecz duch niekarności kościelnej rzuca się na pole ludu wiejskiego. Zbliża się półwiekowa rocznica od usamowolnienia włościan. Zatarły się złowrogie tradycye krwawych wspomnień, wiele dokonano i wiele ofiar podjął kraj,

podjęły wyższe warstwy, aby lud wiejski oświecić, aby go zbudzić z uśpienia i powołać do wspólnych zadań. Wiemy, ile skarbów wiary, ile zdrowego rozumu, ile nieświadomego często konserwatyzmu narodowego i konserwatyzmu zasad i praw społecznych spoczywa w piersi tego ludu. Ufamy, że na tej podstawie, jak na granitowej podwalinie, gmachy przyszłości budować można. Lecz zjawia się duch kusiciel w tej chwili przebudzenia. Przemawia rzekomo głosem wiary, a już wiedzie na drogę niekarności i odszczepieństwa, głosi miłość ludu, a rozdmuchuje przygasłe iskry nienawiści stanowej. Wiele złego zagraża dziś narodowi polskiemu od tych, co go pogrzebać czemprędzej pragną, ale żaden plan rusyfikatorów czy germanizatorów nie niesie takiego niebezpieczeństwa, jak ta próba schizmy wewnętrznej na schwycenie ludu zastawionej, w imię niekarności kościelnej, a społecznego rozdarcia w imię separatyzmu chłopskich interesów. Zbiorowy list biskupów wielkiej doniosłości winien stać się hasłem do wspólnej, solidarnej akcyi świeckich ludzi, dbałych o narodową i kościelną jedność, łącznie z duchowieństwem i jego hierarchią. Dotąd o tym liście pasterskim panuje milczenie, jak wspaniały list Biskupa tarnowskiego do przewodniczącego klubu włościańskiego minął bez echa. Te dwa akta, to nowa pobudka do zjednoczenia i działania systematycznego a spiesznego.

Zatem drogą, wytkniętą przez wiec, idźmy dalej w zwartych szeregach, z tą księgą pamiątkową

w ręku. Tę księgę znać powinni wszyscy, bez względu, w jakim stopniu poczuwają się do zasad katolickich, jeśli tylko zajmują ich sprawy przyszłości naszego społeczeństwa. Ona powinna się znajdować na stole każdego katolickiego domu w kraju naszym.

Z PIELGRZYMKI RZYMSKIEJ.

I.

Anch'io sono pittore, powtarza każdy, powracający z Rzymu. Nie o murach chcę mówić, nie o obrazach, posągach, świątyniach i zwaliskach. Wrażenia tegorocznej drużyny gości polskich barwnie i miło przedstawiono w fejletonach *Czasu*. Każda droga wiedzie do Rzymu — mówi przysłowie — ale z Rzymu rozchodzą się drogi na wszystkie strony świata. Kolumnada Berniniego, jak dwa ramiona watykańskiej bazyliki, wyciągnięte do wszystkich narodów ziemi, a historya chrześciaństwa — to jeden uścisk tych ramion, uścisk Bożej miłości, to dopełniające się zwolna dzieło Chrystusowego odkupienia ludzkości.

Zewsząd tu nadchodzą jakieś echa i warto z tych siedmiu wzgórzy spojrzeć: czy tam, gdzie wre odwiecznie duch przeczenia w zapasach z duchem wiary, jak we Francyi, czy tam, gdzie katolicyzm odradza się z pod reformacyi, czy w stronę północnej schizmy, zagadkowego zawsze Wschodu lub do tego najdalszego Wschodu, gdzie nauka

Chrystusa niebawem zetknie się z Buddhą i Brahmą, czy za Atlantyk, gdzie nowe życie, czy na północ do krainy mogił i krzyżów? Jak bije w którym narodzie tętno wiary, gdzie ustaje, gdzie się budzi, gdzie przyszłość Kościoła?

W wiecznem mieście jest miara dla każdej duszy, dla duszy narodów i duszy ludzkości, jeśli się tak wyrazić wolno. Powróciwszy po dwudziestu latach do Rzymu, najpierw w skrusze przyłożyć pragnąłem taką miarę do własnej duszy, a potem do losów własnego narodu, do tej drogi, jaką przez ostatnie dziesiątki lat przebieżała myśl i praca ludzkości: czy idziemy w górę, czy spadamy na dół — nie ku Kapitolowi lub ze skały Tarpejskiej, lecz po nad ruiny i zwaliska pogańskiej Romy Cezarów, przez podziemia katakumb, więzienia mamertyńskie ku szczytom kopuły Piotrowej?

Nie są to tylko, jakby kto mniemał, dumania mistyczne, jakie się budzą w noc księżycową wśród Colosseum, gdzie lubił dumać Krasiński — to są pytania konkretne, pełne aktualności, pytania chwili obecnej i najbliższej przyszłości, na które polityk czy myśliciel, wierzący czy niedowiarek, szukać winien odpowiedzi w tem wiecznem mieście, gdzie stare leżą w gruzach pomniki potęgi i cywilizacyi pogańskiej i gdzie nad nimi wzbił się krzyż zwycięski. Zaledwie możebnem jest potrącić niektóre z tych pytań, a najpierw te, które nas dotyczą.

Licznie, przypadkowo, niemal przeczuciowo zgromadzili się w tym roku pielgrzymi polscy u grobu Apostołów na Wielkanocne święta. I zdarzyło się

tak, że podążyły tu przeważnie rodziny, jakimś gromem dotknięte. Nie osobiste tu tylko zapisuję uczucia... Widziano tam dostojnego i najzacniejszego przedstawiciela polskich historycznych tradycyj i polskich nieszczęść, zgiętego ku ziemi świeżą stratą małżonki i syna, który zakonnemu poświęcił się życiu, a poszedł między orędowników Polski. Inna gałęź tego rodu, strzaskana stratą jedynej córki w kwiecie wieku, bodajby się przyjęła i odrodziła na rzymskim gruncie. I ciągle takie spotkania rozkrwawionych serc. Każdy ze swym krzyżem na plecach i raną w piersi wlókł się do bronzowego posągu księcia Apostołów w bazylice watykańskiej i po innych miejscach, gdzie się lała krew męczenników, aby złożyć tam swe łzawe brzemię i wyjęknąć: *Miserere mei Domine!*

A po nad temi żałobami boleść wspólna, taka ciężka, taka niemal beznadziejna! Tam nieznane imiona nowych męczenników w Krożach, nie zapisze ich nawet żadne martirologium — a ile ich przybędzie jeszcze, co dziać się będzie dalej, gdy wzmaga się złość i przemoc, a znikąd ratunku? Coś Hiobowego było w tych polskich obchodach wielkotygodniowych, a i tu niejedna witała boleść, bo i tu wiele znaków powracającego pogaństwa: krzyż wyrzucony z Colosseum, na afiszach ogłaszane przedstawienia wyuzdanych widowisk w teatrach naprzemian z teatralną parodyą misteryów Męki Pańskiej [1]), w Wielką Niedzielę nie zabrzmi

[1]) W Wielką środę i Wielki czwartek przedstawiano w jednym z teatrów rzymskich *Nanę* i *Bête Humaine*

z krużganku św. Piotra błogosławieństwo *urbi et orbi*.

Wkoło twarze cudzoziemców odwracają się na imię Polski. Francuz ucieka jakby przed złowróżbnem wspomnieniem dawno zapomnianych, a dziś kompromitujących sympatyj. Niemiec zwykle niechętny. Anglik i Amerykanin pyta z zadziwieniem: że jest osobny język polski, że są Polacy, co się niepogodzili ze swym losem — Sybir niedawno odkrył Kennan, ale o Polakach tam nie wspomina. Prześladowania religijne w XIX wieku — to rzecz ciekawa, to zabytek niezwykły, więc słucha i pyta ze zwykłą flegmą, wolną od współczucia...

W takiem *Cosmopolis* hotelowem i wagonowem, poznaje się dopiero całą głębię przepaści, w jaką zapadliśmy pod koniec stulecia, całą pustynię, w jakiej błąkamy się zapomniani od świata, nieznani, budzący nie litość, lecz jakby przestrach i wstręt.

Nagle nad tą drużyną polską, tak żałobną zabrzmiał głos, jakby trąby Archanioła, wzywającej na sąd. Byłto dzień wielkopiątkowy, dzień Męki Chrystusa, kiedy się groby otwierały i skały rozpadały. Zdawało nam się, że i nasz grób odchyłony, bo Namiestnik Chrystusowy zawołał na nas po imieniu, wyrzekł „to imię, co wypadło z lutni życia.“ Kto dziś czy z gabinetów, czy w parlamentach, czy

Zoli, a w tymsamym teatrze w Wielki piątek *Stabat Mater* i inne produkcye muzyki religijnej dla odciągnięcia od kościołów.

z trybun klubowych i rewolucyjnych mówi o narodzie polskim, jako o całości i jedności duchowej? Kto dziś jeszcze przypomina Polski starą chwałę i zasługi rycerskich ojców naszych w obronie cywilizacyi i chrześciaństwa?

O encyklice Leona XIII do biskupów polskich, pisać szczegółowo i kommentować, zapóźno i zawcześnie. Zapóźno, bo o niej już tak wiele pisano; zawcześnie, bo są akta, które oceniać należycie można tylko po skutkach i dalszych następstwach — są czyny i wypadki, które uchylają się z pod doraźnego sądu publicystyki, bo należą do dziedziny historyi.

Komentarze dobre, jasno i wiernie wykładające ojcowskie intencye Leona XIII, były, zdaniem mojem, przedwczesne. Lepiej byłoby poczekać, co powiedzą w Petersburgu, czy encyklika dojdzie — czego się w Watykanie spodziewano, a my mniemaliśmy, że się tam łudzono — do rąk biskupów i do uszu wiernych. Ale czekać trudno było wobec opinii polskiej. Jest ona tak małoletnią, że czeka komentarza, że w braku dobrego i prawdziwego chwyta przewrotny i kłamliwy — a tych nie brakło. Podobno telegram wiedeński wprowadził w błąd co do osnowy encykliki, ale czyliż godziło się spieszyć ze skargą, nie poczekać na sam tekst, a zwłaszcza, cóż wytłómaczyć zdoła ten potworny pomysł: że skoro Papież nie rzucił gromów na Rosyę, Polacy w Warszawie przechodzą na protestantyzm?

W chwili, kiedy *sursum corda* wyrywa się z piersi, w chwili tak doniosłej i budzącej otuchę dla sprawy Kościoła i narodu, rozpacz bierze na takie bezsensowne groźby, szmery i koncepta dziennikarstwa naszego.

Przysłowie: „Boże broń mnie od naszych przyjaciół, bo z nieprzyjaciołmi sam sobie poradzę,“ rozszerzyć i zmienić należy co do Polaków: „Boże broń nas od nas samych.“ Do tego już doszło, że ktoby chciał nas ratować, winien się nas chronić i przed nami ukrywać. W Watykanie, gdzie jednym z pierwiastków mądrości dyplomatycznej jest psychologiczna znajomość narodów, znają nas Polaków pod tym względem, i spostrzedz łatwo u najżyczliwszych obawę, aby najlepszych ku nam zamiarów myśmy sami nie popsuli.

Tym razem podobno złej wiary w tych komentarzach nie było, lecz bezmyślność, nieznajomość nietylko Rzymu, ale nadto położenia braci naszych, cierpiących prześladowanie. Czekano z Watykanu gromów chyba na to, aby to prześladowanie do ostatnich doszło krańców.

Dziwny jest ten stosunek Polski, prześladowanej za wiarę, do Stolicy św. za trzech ostatnich pontyfikatów. My idziemy tam ciągle ze skargą i jękiem aż nadto słusznym i usprawiedliwionym, ale rzadko z objawami wspólności w tem, co zagraża niepodległości Ojca św. i ogólnych praw Kościoła; idziemy, co gorsza, z nieufnością, podejrzeniem, i jakby wyrzutem i groźbą. Nieraz zbliżając się do Watykanu, szukamy

sympatyi i adwokatury jawnych nieprzyjaciół papiestwa, od nich też często nabywamy uprzedzeń. Tak już było za Grzegorza XVI; pamiętano tylko na emigracyi i w kraju bullę papiezką, ostrzegającą przeciw powstaniu 1831 r., ale dotąd nikt nie chce wiedzieć i pamiętać, że ten Papież-zakonnik zgromił wszechwładzcę Rosyi, co przybywał jako aliant, że ogłosił cały tom listów i aktów w obronie Kościoła polskiego.

Pius IX nie szczędził nam głośnych objawów ojcowskiej swej miłości, wzywał całe chrześciaństwo do modłów za Polskę — a ileż to razy, owszem ustawicznie zapełniano szpalty dziennikarskie korespondencyami rzymskiemi, że Papież nas opuszcza, że nas zdradza w widokach obrony władzy doczesnej, a do tego popychają go ci najzacniejsi synowie narodu, jak Czacki i starzy Zmartwychwstańcy, co tam stali wiernie i czujnie na straży interesów katolickich narodu, co mu przynosili zaszczyt i chwałę.

Leon XIII nie zwykł folgować uczuciom, gdy chodzi o sprostowanie drogi i ratunek sprawy, owszem często żąda i wymaga ciężkich i bolesnych ofiar od najwierniejszych synów Kościoła. Tak wbrew życzeniom i dążeniom dzielnych szermierzy ze stronnictwa centrum, zawiera ugodę po Kulturkampfie, odznacza nawet jego twórcę orderem, aby tem spieszniej doprowadzić go do odwołania ustaw majowych, i w ten sposób przywraca pokój religijny w Niemczech. Tak katolikom francuskim każe opuścić sztandary królewskie, choć z niemi

się zrośli, i pogodzić się z wstrętną im republiką, dla dobra Kościoła i dobra narodu. I wszędzie katolicy uchylają czoła, choć nie bez wewnętrznego bólu, bo *Romo locuta causa finita,* Papieża podejrzywać nie można, a słuchać go trzeba.

Jak to się dzieje, że w Polsce, co sama jedna wydaje męczenników za wiarę i tem też zjednywa sobie szczególniejszą miłość ojcowską Papieży, że u nas najmniej ufności i karności synowskiej. Czyliżby to było historycznym nałogiem, i do papieży mielibyśmy się taksamo, jak niegdyś do naszych własnych królów, zawsze z podejrzeniem i nieufnością? Gdy raz biskupom naszym, zgromadzonym około tronu papiezkiego, Leon XIII tę nieufność i podejrzenia ostro wyrzucał, bo ona go bardzo boli i dotyka, owszem pełen o nas troski, czuje pod tym względem pewną drażliwość, jeden z pasterzy odrzekł: „Ojcze św.! pomnij, żeśmy najnieszczęśliwsi z wszystkich narodów.“ Piękne i prawdziwe słowo, ale nader smutne, bo niewola wsącza jad...

Dość o tem. Oby ten wybryk dziennikarski o przechodzeniu Polaków w Warszawie na protestantyzm pod wrażeniem jakoby encykliki, był ostatnim, obyśmy się raz na zawsze z tej nieufności wyleczyli! Doszedł ten wymysł do Rzymu za pośrednictwem dzienników francuskich; w Watykanie nie uczynił wrażenia, bo go zagłuszyły powtórzone przez *Osservatore Romano* artykuły *Czasu;* lecz uradował mocno p. Izwolskiego, który sądził, że kiedy Polacy tak źle przyjmują encyklikę, on

nie otrzyma nagany z Petersburga i nie zostanie odwołany. Biegał wciąż z tem doniesieniem po znajomych, pytając, czy warto ujmować się za Polakami, którzy katolicyzmu używają tylko do celów politycznych, a o samą wiarę tak mało dbają, że gotowi ją zmienić dobrowolnie. Ci, co trzymają lekkomyślnie pióro dziennikarskie, nie zdają sobie sprawy, ile szkody wyrządzić mogą.

Polacy, obecni w Rzymie, odczuli i zrozumieli doniosłość wielkiego aktu Papieża. Otucha wstąpiła w serca. Nie czuliśmy się już sami na świecie, gdy Ojciec narodów, namiestnik Chrystusowy tak miłośnie do nas, tak mądrze za nas przemawia. Jedni w dziękczynieniu szli do kościoła *Scala Santa* i wychodzili na klęczkach na schody, któremi Chrystus szedł do Piłata, broczące je krwią swoją. Inni inne jeszcze czynili akta dziękczynienia, wszyscy witali się radośnie słowem: *Alleluja!* Nawet cudzoziemcy, tak obojętni wczoraj jeszcze, winszowali Polakom encykliki papiezkiej i rozpytywali o los naszych współbraci. W niepokoju niemałem p. Izwolski oczekiwał telegramu z Petersburga, a telegram ten podobno nie był złowróżbnym.

Na mszę papiezką w kaplicy Paolińskiej w niedzielę Wielkanocną wielu Polaków otrzymało kartę wstępu i łączyły się nasze modły z ofiarą krwi Chrystusowej, którą sprawował Chrystusowy Namiestnik za ludzkość całą, cały Kościół, a w dniu tym niewątpliwie za Polskę w szczególności, do której wczoraj tak miłośnie przemówił.

Podczas święconego u OO. Zmartwychwstańców, poruszono myśl, aby złożyć hołd wdzięczności i uległości obecnych w Rzymie Polaków w ręce sekretarza stanu, kardynała Rampolli. W sześciu otrzymaliśmy posłuchanie wieczorem w poniedziałek Wielkanocny i najłaskawszego doznaliśmy przyjęcia. Składano także wyraz tych uczuć otuchy i wdzięczności w pałacu Propagandy kardynałowi Ledóchowskiemu.

Do zbiorowej audyencyi polskiej u Ojca św. nie przyszło. I może słusznie; cóż Ojciec św. mógłby nam powiedzieć zbiorowo po świeżej encyklice, a zbyt głośne dziękczynienia Polaków, mogły źle oddziałać na jej skutek w Petersburgu. Natomiast wielu z nas miało szczęście przyjmować Komunię św. z rąk Ojca św., a kilka rodzin dostąpiło rzadkiego i trudnego dziś zaszczytu prywatnej audyencyi. Ile było miłości i ile siły w słowach Papieża, gdy do stóp jego zbliżali się Polacy — nie śmiałbym powtarzać, choć słowa te na zawsze wyryły się w duszy. To jedno tylko zaznaczyć mogę, że znajomość naszych stosunków i naszych cierpień jest zadziwiającą, i że Leon XIII, który umysłem bada wszystkie wielkie zagadnienia świata, sprawę katolickiej Polski gorącem obejmuje sercem, że nie szczędzi słów otuchy i ufności w polepszenie naszej doli i kres naszych cierpień!

Piękną, przejmującą była uroczystość w kościele polskim OO. Zmartwychwstańców, gdzie wszyscy zgromadzili się zamieszkali w Rzymie i świeżo przybyli Polacy, oraz grono wiernych nam przy-

jaciół. Kardynał Biskup krakowski celebrował nabożeństwo dziękczynne i intonował *Te Deum* oraz suplikacye.

Wróćmy do encykliki. Jaka jej geneza, jaki jej stosunek do innych aktów wielkiego pontyfikatu? Leon XIII jest wielkim rozjemcą w walkach i antagonizmach stulecia; z różczką pokoju staje wśród wojny wszystkich przeciwko wszystkim. Pius IX zbroił wiernych do szturmu i odporu, ścieśniał szeregi, wybierał rycerstwo, jak ongi Gedeon. Leon XIII głosi rozejm, nieraz każe odrzucać najwaleczniejszym w obozie katolickim puklerze i zbroje; wszędzie szuka miru i białą powiewa chorągwią. W tem ci dwaj wielcy papieże się różnią, w tem również uzupełniają. Dla ocknięcia z indyferentyzmu, dla oznaczenia linij demarkacyjnych, niezbędną była epoka Kościoła wojującego; przyniosła ona wielkie rezultaty, ale i wielkie niebezpieczeństwa. Leon XIII idzie naprzeciw tych gróźb i niebezpieczeństw, podobny do św. Leona, co wyszedł z krzyżem naprzeciw hord Attyli, aby je zatrzymać przed bramami Rzymu, tak wielki jego imiennik i następca idzie z krzyżem naprzeciw nowej dziczy, co, jak tamta, grozi zagładą cywilizacyi.

Dwa antagonizmy rozdzielają dziś świat najgłębiej: kilkowiekowy już rozłam w dziedzinie myśli, zrywającej pęta dogmatu, w dziedzinie nowożytnej umiejętności, systematycznie przeczącej pierwiastkom duchowym, oraz otwierająca się bezdeń społecznych nienawiści i dążeń rozkładu i zni-

szczenia. Dla pojednania wiedzy z wiarą ten filozof, poeta, uczony, na tronie Piotrowym usuwa zapory, daje hasło odrodzenia filozofii chrześciańskiej, pogłębienia i rozszerzenia studyów teologicznych, otwiera naoscież archiwa watykańskie historykom. Nie chce, aby nauka Chrystusa broniła się od licznych przeciwników w zamkniętej fortecy, ale wyprowadza jej obrońców na otwarte pole, gdzie zwyciężyć muszą. Encyklika *Rerum novarum* stwarza również nową szkołę i nową epokę w rzeczach, dotyczących bytu ekonomicznego i harmonii społecznej, stwarza system nauk społecznych z dekalogu i katechizmu płynący, i znów nie żąda powrotu do zużytych form, ale prowadzi do jednoczenia i uśmierzenia na nowych drogach.

I tak dalej, i dalej. Niema przepaści tak głębokiej, na której nie rzuciłby pomostu ten duchowy wódz, co ma przeprowadzić świat do nowego stulecia; niema nienawiści, którejby nie rozbrajał, namiętności, którejby nie łagodził, przeciwieństwa, któregoby nie starał się zarównać.

Jest jednolitość w tem wszechstronnem działaniu, w tem stósowaniu prawd odwiecznych i niezmiennych do wartkiego prądu historyi, w tej metodzie zawsze affirmatywnej, dodatniej, która znamionuje każdy akt Leona XIII. Znać tu geniusz, który zarówno zrozumiał przeszłość, jak przenika przyszłość. Wszędzie rozejm, nigdzie kapitulacyi, wszędzie rozbrat z dawną zużytą rutyną lub przesądem, a zakładanie podwalin z ciosów prawd ewangelicznych pod gmach przyszłego stulecia.

Myśliciel, krzewiciel odrodzenia filozofii i nauk w duchu chrześciańskim, reformator społeczny, z tąsamą myślą przewodnią wstępuje w sferę polityczną, gdzie nie mniej dziś nienawiści, chaosu, antagonizmów w ustroju państw, stosunkach stronnictw, narodowości i ras. Wszędzie łączy wyrozumiałość dla stanu obecnego, roztropność w środkach i ducha pojednawczego, z odwagą i stanowczością w obronie praw Bożych i kościelnych, oraz tych praw historycznych i społecznych, które z tamtych płyną. Przez te dwa ostatnie dziesięciolecia, jakby niemoc dotknęła dyplomacyę europejską, w miarę wzrastającego ogromu sił zbrojnych, jakiemi ona rozporządza. Ileż kwestyj zawieszonych, interesów i antagonizmów wzmagających się, a choć świat zdaje się pędzić ku przewrotom rewolucyjnym, lub militarnym kataklizmom — nikt już tego pędu nie wstrzymuje, nikt w Europie nie zdołał jakiejkolwiek kwestyi spornej rozstrzygnąć i postawić tamy. Jeden tylko w tym okresie ukończony spór — to Kulturkampf w Niemczech; jeden tylko pokonany przeciwnik — to żelazny kanclerz i ten posługujący mu liberalizm europejski, który głosił zagładę Kościoła. Nieskończona dotąd walka z sekciarstwem we Francyi, lecz z Republiką wskazane z Watykanu podstawy kompromisu.

Oto są tryumfy polityki Leona XIII. Z cierpliwością, właściwą rzymskiej dyplomacyi, rozwiązuje on jeden za drugim węzeł gordyjski, których miecz już dziś rozcinać nie chce, czy nie może.

Z kolei Leon XIII przemawiał kilkakrotnie do Włoch, Francyi, Niemiec, Irlandyi, Ameryki, świeżo do Węgrów; oddawna zamierzał przemówić do narodu polskiego. Głos ten nie mógł być jednostronnym, nie mógł być tylko wyrazem ojcowskiego współczucia, litości lub grozy, bo jeśli miał zwiastować ulgę, nie zaś nowe klęski, musiał być aktem interwencyi. I tak też należy pojmować encyklikę Leona XIII — jestto najśmielsza i najtrudniejsza interwencya, jaką zna historya w XIX stuleciu.

Przed trzydziestu laty krwią zalaliśmy kraj, aby uzyskać kilka not dyplomatycznych z platoniczną interwencyą mocarstw. Odrzucono ją z pychą i oburzeniem, pomnożyła ona tylko repressyę, bo z praw międzynarodowych usunięto dawno zasadę interwencyi. Niedarmo Pius IX tę zasadę i to prawo interwencyi w Syllabusie zatwierdził, bo wynika ona z ducha chrześciańskiego, a była odwiecznie przywilejem następców Piotrowych, tak wobec mocarzy, jak wobec ludów. To też ta jedna tylko interwencya Papieża ma podstawę etyczną i historyczną, której nawet innowiercy zaprzeczyć nie mogą. Ktoby śmiał stanąć między najpotężniejszem mocarstwem a zakrwawioną i na ziemi leżącą ofiarą? Ten jeden, który nie w imię praw ludzkich, ale praw Boskich przemawia — ten, który na poparcie swych słów, nie ma armii, ale ma powagę i majestat duchowy.

Rząd rosyjski, od stu lat dążąc do assymilacyi podstępem lub przemocą katolików polskich w schi-

zmie państwowej, uznawał i szanował w polityce zewnętrznej powagę Papieży rzymskich. Licznych przykładów tego, zbyteczna przytaczać. Dziś, system autokratyzmu, podwójnej połączonej w caracie władzy, władzy rządowej i kościelnej, wrodził fanatyzm i teokracyę, która zaciężyła nad katolickimi poddanymi, ale która ma być zarazem wałem ochronnym przed bezwyznaniowością i duchem rewolucyjnym Zachodu. Zaprzeczyć się nie da, że jedynem dziś państwem w Europie, które manifestuje swoją wyznaniowość na każdym kroku, jest Rosya, jakkolwiek wiara ta państwowa, z Bizancyum na północ przeniesiona i w duchu rządowym przerobiona, stała się tylko jednem z instrumentów *regni*. W tym systemie, który ze stanowiska rosyjskiego, może być bardzo logicznym i patryotycznym nawet, stanąć winno raz to pytanie: czy rząd rosyjski, tępiąc katolicyzm, chce otworzyć wrota bezwyznaniowości, w jaką już wepchnął wszystkich Unitów niechcących schizmy, a pozbawionych wolności swej wiary, czy też przyznać tolerancyę katolikom? Czy to pytanie zrozumie kiedy jaki mąż stanu w Rosyi — czy je odczuje sumienie monarchy? Odpowiedź w słowach Leona XIII? *corda regum in manu Dei.*

Ktoś znający Petersburg, twierdził przy *table d'hôte*, że jest tam jeden tylko człowiek surowych obyczajów i moralnego w rodzinie życia, oraz oburzający się na niemoralność w rządzie, o ile się o niej dowié. Do tego uczucia moralnego w duszy cara, zagłuszonego wpływami otoczenia, odzywa

się encyklika. Czy obudzi iskrę sumienia i iskrę rozwagi — czy jej nie zagłuszą wpływy i otoczenie?

Encyklika polska, bo taką nosi ona nazwę, jest pierwszym jawnym objawem na korzyść katolików polskich, ale jest ona tylko jednem ogniwem w łańcuchu starań i zachodów dla ulgi ich losu i zapewnienia ich praw, od lat ośmnastu bez przerwy podejmowanych.

Układy z Rosyą nawiązał Leon XIII od chwili swego wstąpienia na tron Piotrowy — a choć szły one zwolna, otrzymał przyrzeczenie Aleksandra II-go daleko sięgające. Bomba na ulicy Sadowej wybuchła, gdy mówiono o projektach konstytucyi, ustępstwach dla Polaków i gdy układano się z Rzymem. Fatalizm dziejowy, czy fanatyzm polityczny, wstrzymał reformy. Układów, będących na ukończeniu, nie zerwano za nowego panowania, ale je ścieśniono — i podpisano w kilka miesięcy po śmierci Aleksandra II częściową ugodę.

Przed dwunastu laty, zachody te i starania Stolicy św. osiągnęły doniosły skutek. Uzyskano powrót z wygnania pasterzy i znacznej części zesłanych kapłanów, uchylono odstępców z zarządu dyecezyi wileńskiej, uzyskano nominacyę kilkunastu dzielnych biskupów na opróżnione dyecezye i otwarcie seminaryów. Działo się to za pontyfikatu Leona XIII i na początku rządów Aleksandra III. Z 14 punktów, będących przedmiotem rokowań, załatwiono tylko trzy — równy był opór z jednej, jak z drugiej strony — pp. Buteniew i Masołow wykluczali stanowczo wszelką wzmiankę o Unitach,

gdyż Unii rząd rosyjski nie uznaje, ona dla niego nie istniała i nie istnieje; nuncyusz Jacobini, przeprowadzający układy w Wiedniu, nawzajem wykluczył wówczas z dyskusyi sprawę języka rosyjskiego z liturgii, bo Rosyan katolików w Rosyi niema. Kompromis był tedy chwilowy, ograniczył się na unormowaniu hierarchii, ale nie zapewnił jej swobody i pierwszego jej warunku, jakim jest wolność znoszenia się biskupów bezpośrednio z Rzymem.

Przedzgonne przyrzeczenia Aleksandra II, nietylko poszły w zapomnienie, ale system nowych rządów rozwiną się w wręcz przeciwnym kierunku. O tych przyrzeczeniach wzmiankuje Leon XIII w encyklice, dodając, że te obietnice przypomniał i przypominać będzie, a więc nie zostały spełnione.

Tymczasem wzmagał się prąd fanatyczny, narodowo-religijny, prąd assymilacyi i prozelityzmu, oraz wzmagała się samowola biórokracyi. Ucisk, trwający bez przerwy — w dwóch faktach wystąpił gwałtownie: w zamknięciu seminaryum w Kielcach, i w rzezi w Krożach.

Bezprawie w Rosyi, bywa zapowiedzią systemu. Dwa te wypadki znamionowały więc zamiar, zapowiadały nowy okres prześladowań na całej linii. Dotąd obcinano pojedyńcze gałęzie Kościoła, teraz do korzenia przyłożono siekierę.

Encyklika do biskupów polskich, odezwa do narodu polskiego za pośrednictwem ich pasterzy, oddawna postanowiona w umyśle Leona XIII, od

roku, jak zapewniają w Watykanie, wyszła z pod ręki i pióra Papieża, który referat spraw Kościoła polskiego sobie samemu zachował.

Zkąd opóźnienie w jej ogłoszeniu? Nie było ono skutkiem nieprzyjaznych nam wpływów — nie chcę twierdzić, czy takich wpływów nie bywało w Rzymie, zwłaszcza od czasu przymierza francusko-rosyjskiego. Leon XIII szuka informacyi, wyrozumiewa opinie, bada kwestye — ale żadnym wpływom nie zwykł ulegać, rozstrzyga i postanawia samodzielnie. Mogę także z osobistego przeświadczenia zapewnić, że te wpływy, jakoby nam nieprzyjazne, nie oddziałały na najwyższych dostojników kuryi rzymskiej, jak o tem błędnie wiele pisano. Ważyły się niewątpliwie względy *opportunitatis* co do chwili ogłoszenia encykliki polskiej i co do siły jej tonu. Lecz te względy, tak w sekretaryacie stanu, w kongregacyi spraw zagranicznych, jak w umyśle Leona XIII, nie odnosiły się, jak złośliwie podsuwano, do jakichś dyplomatycznych kombinacyj na szkodę naszą, lub ujmę sprawy, lecz właśnie brały wyłącznie w rachubę skuteczność tego aktu i pomoc dla cierpiących prześladowanie. Nie ulega już wątpliwości, że ogłoszenie encykliki poprzedziła wymiana listów osobistych między Papieżem a carem, i to na tle wypadków w Krożach. Usunięcie gubernatora kowieńskiego, krwią męczenników w Krożach zbryzganego, niełaska i nagły zgon ministra obcych wyznań, nie są bez związku z tą ciągłą interwencyą — że nie zapuścimy się w pogłoski, dotąd

niesprawdzone, o zamierzonej dymisyi jenerał-gubernatora wileńskiego, a nawet samego oberprokuratora synodu. Nie należy oddawać się złudzeniom, gdy się wie, jakie prądy dziś w Rosyi przeważają. Czekajmy na wypadki. Karta historyi czasem nagle się odwraca, zwłaszcza, gdy miara niesprawiedliwości i cierpień się dopełni, a Bóg przez swego na ziemi następcę zbliży dzień zmiłowania.

Głoszono wielokrotnie w dziennikach, że w przeciwieństwie do trójprzymierza, tworzyć się miał potrójny związek Francyi, Rosyi i Stolicy św. Wstrętnemu przypuszczeniu zadaje wymowny kłam osnowa encykliki, gdy tak wysoko wynosi, niemal stawia za wzór katolickie uczucia cesarza Franciszka Józefa i również oddaje uznanie szlachetności cesarza Wilhelma II. Ta skala trzech monarchów rządzących Polską, ważna ze względu na ich porównanie, nie zdaje się wcale potwierdzać domysłów, że Papież przez antagonizm do Królestwa włoskiego zaciąga się w związek z carem i Republiką przeciw trójprzymierzu. Leon XIII nie staje w tym lub innym obozie monarchów i państw; on staje ponad nimi sędzią i rozjemcą. Staje on między monarchami a ludami — przypomina narodom obowiązki powolności i uległości dla władzy, ale przypomina przedewszystkiem ich historyczną przeszłość i ich prawa. Ujmując się za Polską, obejmując miłośnie cały naród w trzech podziałach, wielbiąc zasługi i chwałę naszych ojców, Leon XIII ojcowskiem sercem i najwyższą powagą, daje nam nauki i napomnienia. Kto odczyta z roz-

wagą część pierwszą encykliki, znajdzie w niej program naszej przyszłości. Ognisko rodzinne, które nam wskazuje jako przystań i warownię, czyliż nie jest ono dla nas zniczem uczuć religijnych i narodowych? Wychowanie młodych pokoleń — czyliż to nie jest główne zadanie i nadzieja naszej przyszłości? Czyliż może obudzić jakąś drażliwość, wezwanie Papieża do uległości dla władzy, abyśmy usuwali nawet podejrzenia i zadawali kłam naszym oszczercom — wezwanie, poparte zachętą do wytrwania w wierze i zapewnieniem, że Papież nas nie opuści?

Wszystkie te nauki ojcowskie zgodne z tem, do czego społeczność polska sama dochodzi i w czem utwierdza się, gdy duch buntu jest nam obcym, a praw obrona na drogach legalnych, świętą. Z swobodnem sumieniem a kornem uczuciem przyjmijmy te nauki, niech one przesiąkną nas do głębi. Nauki te i program dla narodu, rozwija Leon XIII miłośnie, gdy wskazuje z pociechą na starą naszą Jagiellońską szkołę, chwaląc jej ducha i zasługi w nauce — gdy zwraca się do zgody dwóch obrządków i dwóch narodowości, ubezpieczonej reformą Zakonu św. Bazylego.

W drugiej części Encykliki, zwróconej do trzech mocarstw i trzech rządów, widzimy istne arcydzieło chrześciańskiej dyplomacyi. I tam ta skala porównawcza, i tam również wiele spraw będących w toku, zapisanych między wierszami, może przypomnienie obietnic danych a niedotrzymanych, jak wychowanie religijne w szkołach, jak kwestya

organizacyi seminaryów. Dzieło interwencyi nie skończone, to pierwszy do niego wstęp, skoro, jak donoszą dzienniki, stosunki dyplomatyczne niezerwane, a p. Izwolski ma powrócić do Rzymu z tytułem ambasadora. Mniejsza o osobę—wystarcza doniosły a niespodziewany fakt, że encyklika, przemawiająca do Polski całej, wzywająca do uległości władzy, ale bardziej jeszcze do wytrwania w obronie wiary, rozesłaną została arcybiskupom i biskupom w pełnej osnowie, bez zmian i opuszczeń. Ileż pociechy i pokrzepienia spłynie na wiernych, do których nie dochodził nigdy ojcowski głos Namiestników Chrystusowych!

Gdy się patrzy na tego starca, który z ciała zachował tyle tylko, aby ducha osłoniło — na starca zgiętego wiekiem, drżącą ręką wznoszącego kielich ofiarny w górę lub kreślącego znak krzyża z błogosławieństwem, gdy się pomyśli, że od tej postaci podobnej do cienia, od tej dłoni zawisł rząd moralny świata, że ona rozstrzyga tam, gdzie milkł głos zbiorowej opinii, gdzie spiże i działa dosięgnąć nie mogą — ugina się kolano w pokorze i uwielbieniu, bo patrzymy na trwający cud, który jawnie się spełnia w historyi Kościoła i ludzkości.

II.

Kilka tygodni w Rzymie, w smutku, czy w uniesieniu i modlitwie, spływa jak jedna chwilka. Na każdym kroku, gdzie rzucić okiem, napełniają

duszę takie nadmiary wrażeń i myśli, takie się wszędzie bezbrzeżne otwierają horyzonty w przeszłość prastarą, w świat piękna i najwyższych natchnień — w pozaświat wiary, że na ludzi brak i szkoda czasu.

Za młodu w pierwszej podróży inne było usposobienie i inne znalazły się warunki. Umieszczony niedawno w *Przeglądzie Polskim* artykuł księcia Baltazara Odescalchiego był barwnem i wdzięcznem przypomnieniem tych czasów, gdy tu wkoło pałacu na *Piazza dei Apostoli* i wkoło klasztorku św. Klaudyusza skupiało się świetne grono polskich Rzymian czy rzymskich Polaków. O poselstwie Jerzego Ossolińskiego opowiadają dyaryusze i świadczy stara rycina, jak olśniewało ongi Rzymian wspaniałością, bogactwem i wysoką kulturą. Posępnym był orszak starych polskich weteranów, co w Rzymie na dewocyi kończyli rycerski żywot, i tych zakonników także rycerskich, i kilka Polek wysokiego ducha — lecz to poselstwo ziemi niedoli i czasów niewoli miało także swój, lubo odmienny, blask smutku, wierności, wyznawstwa. Wyjątkowe też bywały dla przybywających z kraju ogniska i ogniwa, łączące Polskę z samem wnętrzem świata rzymskiego. Nie było zaś dworu bardziej przystępnego, jak dwór papiezki za Piusa IX. I dziś owo poselstwo nieskończone. Niemałym dla narodu zaszczytem, jedno z najwyższych miejsc w hierarchii i w św. Kollegium, które zajmuje purpurat Polski, sprawując ku chwale naszej jeden z najwyższych urzędów. Kwiat opadł, co tak upajał

w zawiązku Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, ale w tym nowym zakątku wielce malowniczym, gdy się przechodzi z Placu Hiszpańskiego na Pincio, znać, że żyją duchy Kajsiewicza, Semenenki, w ich następcy, i owoc już nie w zawiązku, ale dojrzały — z tej latorośli już rozrastają się szczepy w różnych krajach na obu półkulach. Stałych atoli ognisk polskich brak, a życzenie, które na tem miejscu przed miesiącem zapisałem, aby tem ogniskiem stał się jeden z domów krakowskich, przeniesiony z nad Wisły nad Tyber — dziś już niestety jest tylko żałobnem wspomnieniem.

Mimo braku chęci szukania ludzi i świata, nie zabrakło sposobności do zaczerpnięcia wskazówek, jak rzeczy stoją w Rzymie, a jak po za Rzymem. Rzymianie mają dobrą pamięć. Dawny monsignor, dziś kardynałem, po dwudziestu latach poznaje cudzoziemca i wita jak przyjaciela. Nigdzie też łatwiejsze nie są nowe znajomości. U Rzymian zadziwia połączenie tej świadomości czy w wyższych sferach, czy w klasach ludowych, wyjątkowego stanowiska, starej tradycyi, która na wszystkich, co z po za Rzymu, z „po za gór“ przybywają, spogląda jak na barbarzyńców — z wielką łatwością stosunków; połączenie najwyższej kultury, w której czuć, że od naszej jest co najmniej o dziesięć wieków starszą, z wielką prostotą w obcowaniu; połączenie wreszcie pewnego majestatu rzymskiego, z uprzejmością, jakiej się nigdzie w tym stopniu nie spotyka.

A fala cudzoziemców, przepływająca przez wieczne miasto. W hotelu, właściwie w pensyonacie francuskim pani Lavigne na ulicy *del Tritone*, czternaście przez parę tygodni naszego pobytu przesunęło się narodowości. Gospodyni, urodzona i wychowana na Litwie, dla Polski i Polaków pełna uczucia, gdy litewskie usłyszała nazwisko, które zapamiętała zamłodu, zalała się łzami — do domu swego nie przyjmuje, tylko dobrze polecone rodziny katolickie. Przy stole i wieczorem rozmowa i zamiana poglądów o stosunkach różnych krajów, a choć te stosunki tak odmienne, rozmowa różnojęzyczna, tło jej wspólne i zrozumienie łatwe, bo wspólne w takim falansterze uczucia katolickie.

Z tych zetknięć i pogadanek i z kilku książek warto zrobić kilka wycieczek po za Rzym, w dalekie kraje, rzucić okiem z wyżyny watykańskiej, gdzie się rozchodzą ztąd promienie, gdzie się łamią wśród ciemności obłędów, gdzie wywołują jutrzenkę i budzą nowe życie.

Najtrudniejsze porozumienie z Francuzami, z którymi przed dwudziestu laty tak było łatwo, że nas „Francuzami północy“ zwano. Entuzyazm rosyjskiego przymierza, od którego nawet znaczna część katolików francuskich nie była wolną, wzbudza już rozczarowanie i czekać tylko, gdy spłonie jak słoma. Zawsze jednak w zetknięciu z Polakami, z tego popędu ku północy, że francuskiego użyję słowa, zostaje pewna *żenada*. Przymierze rosyjskie i Panama, a sankcya, dana skandalom i korrupcyi

przez ostatni rezultat powszechnych wyborów, wywołuje pewien rumieniec.

Patryotyczny liryzm pewnej starej panny, przypominającej klęski 1870 r., przerwałem przy *table d'hote*, tłómaczeniem wiersza Krasińskiego:

Zmartwychwstaje się z pod gromu,
Nie zmartwychwstaje z pod sromu.

To wystarczyło, aby rozmowa z sąsiadką na resztę dni była przerwaną.

Niemniejsze trudności przedstawia porozumienie na gruncie kościelno-politycznym, w kwestyi polityki Leona XIII wobec Francyi.

Zaprzeczyć się nie da, że jest wielka tragiczność w położeniu wewnętrznem Francyi. Z natury swej i z historyi nawskróś monarchiczna, gdy przed stu laty dopełniła królobójstwa, zatwierdzonego przez reprezentacyę narodu — nie może się pogodzić z następstwem tego czynu. Królewskość jest ojcowstwem, a gdy własnego zabije się ojca, już się go więcej nie odzyska. Toteż z kolei kilka stawiano naprędce i równie prędko obalano tronów. Jest garstka legitymistów, co chce umierać na sztandarze białym, choć go już przyczepia do drzewca z linii hiszpańskiej Burbonów. O tych nie mówimy, choć w zasadzie prawowitości są najwięcej konsekwentni. Orleanizm i bonapartyzm niczem się już nie zatwierdza. A więc niema innej drogi, tylko ta, jaką wskazuje Leon XIII: uznania stanu faktycznego, pojednania z Republiką, a zjedno-

czenia wszystkich zdrowych katolickich żywiołów w obronie prawa, wolności, religii, własności. Myśl daleko w przyszłość sięgająca, jest równie zgodną z interesami Kościoła, jak ze sprawą ojczyzny, o której stronnictwa we Francyi tak często zapominają; jest katolicką, bo Kościół każe uznawać władzę, jaka jest, bez względu na jej formę i źródło, byle w granicach prawem Bożem wskazanych, jest również jedynie patryotyczną, bo prawdziwy patryotyzm każe służyć krajowi, w jakichkolwiek on się warunkach znajduje.

Posłuchajmy objekcyj — jedna z nich jest ważną. Papież każe nam się pojednać z Republiką — mówi Francuz katolik, ależ kiedy rządy republikańskie u nas są synonimem masoneryi!

Nikt nie może w Republice otrzymać nietylko teki ministra, ale posady mera, a nawet urzędnika niższego stopnia, ktoby nie należał oddawna lub świeżo przynajmniej się nie zapisał do loży. Ostracyzm ten idzie tak daleko, że gdy chłop przyprowadzi do jatek paryskich woły na sprzedaż, nie pozbędzie ich, dopokąd nieda się inicyować między braci Wielkiego Wschodu. Cóż dopiero kandydat na deputowanego republikańskiego! — Pierwsze wyznanie wiary wypowiada wśród zebrania loży, afisze wyborcze opatruje literą *F* i trzema gwiazdkami — a potem wobec ludności katolickiej tensam kandydat masoneryi odwołuje się, że Rzym przyjmuje zgodę i popiera Republikę.

Nasz interlokutor twierdził dalej, że mniejszości katolicko-monarchiczne były w wielu okręgach

nietylko w Bretanii, ale i na południu, bardzo znaczne i obiecywały bliską przewagę, lecz że teraz się rozbiły, gdy ludność francuska, jak lud we wszystkich krajach, nie umie rozróżnić kwestyi politycznej od kwestyi religijnej.

Nie znając stosunków prowincyj francuskich, nie miałem odpowiedzi na te zarzuty. Z dziennika *La libre parole* p. Drummond przekonać się łatwo, że krańcowe stanowisko świetnego publicysty antisemickiego najwięcej odpowiada obecnie żywiołom opornym i nieprzejednanym. P. Drummond, jak niegdyś Ludwik Veuillot, uderza częstokroć na niektórych biskupów, jakoby zbyt byli powolnymi wobec rządu, a te ataki i polemiki odznaczają się równą zuchwałością, jak niedającym się zaprzeczyć talentem i świetnością pióra.

Z tych rozmów wyniosłem wrażenie, że Francya zawsze niezmiernie bogata, mimo kontrybucyi miliardów, mimo gospodarstwa republikańskiego, które każdy mandat opłaca ofiarami ze skarbu na popieranie interesów czysto lokalnych, jeśli nie na korzyść osób, co się często zdarza, mimo Panamy — że Francya, wzmocniona podobno wyborną organizacyą armii, nie przestała być potęgą materyalną, owszem odzyskuje siłę, ale jest ciężko chorą na duszy, zhipnotyzowana przez sekciarstwo, ulega głębokiej newrozie lub wpada w stan katalepsyi.

O tej chorobie zdala przekonywać mogą ostatnie ewolucye w literaturze, ów cyniczny naturalizm i gorszy od niego symbolizm, będący ciągłem już

tylko gorączkowaniem — najświeższe produkta fantazyi francuskiej piórem czy pendzlem.

Najnowsza literatura, zasadzająca się na tem, aby mówić rzeczy bez sensu, podniecające tylko władze zmysłowe tonem ponurym i kolorytem jaskrawym, jest odbiciem tej newrozy społecznej. Kryminalistyce ona dostarcza nowe gatunki zbrodni skomplikowanych i wyrafinowanych, zaznacza się bombami anarchistów, manią samobójczą, a ogarnia opinię jakimś całunem mistycyzmu, zwróconego nie ku niebu, lecz w czeluście piekła.

Może się to wyda niejednemu u nas czytelnikowi fantazyą, wymysłem, baśnią o żelaznym wilku. Najpierw panuje u nas ogólne niedowierzanie co do potęgi i co do ostatecznych misteryj wolnomularstwa. Nasi farmazoni z przed stu lat, lubo niewiarę i zle szerzyli obyczaje, byli ludźmi wielkiego świata, pięknych form a lekkiego życia; gdy przyszedł potem chrzest krwi w legionach, wszystkie te fanaberye sekciarskie wywietrzały zwolna i zostało po nich tylko sporo zabawnych anegdot. Później, aż do dzisiejszych czasów, zdarza się czasem spotkać jakiegoś masona polskiego, zwykle odosobniony; choć będzie żywił jad przeciw Kościołowi, zachowa on zawsze jakiś talizman z Matką Boską Częstochowską lub inną oznakę narodowej religijności.

Zaprzeczyć się nie da, że wolnomularstwo było czynnikiem historycznym na Zachodzie, że w znacznej części jego dziełem była wielka Rewolucya francuska, że dziś we Francyi, Belgii, Szwajcaryi,

we Włoszech, stoją dwa Kościoły naprzeciw siebie: Kościół katolicki i Wielki Wschód masoński. Zbyt rozwodzić się nad tym przedmiotem nie będę.

Antichrześciańska sekta daje kadry i organizacyę — tło, popęd, dają nowe prądy hipnotyzmu, spirytyzmu, okkultyzmu, ogarniające coraz to szersze koła.

Od stołów wirujących i kół spirytystycznych się to zaczęło, a dziś dochodzi do inwokacyi szatana, jego adoracyi i do mszy „białą“ przez jednych, „czarną“ przez drugich zwanej. Reakcya spirytyzmu po materyalizmie, zabobonu, czarnoksięskich zaklęć po zupełnej niewierze, to fenomen, który nie po raz pierwszy się pojawia. Wiek Voltaire'a i Encyklopedystów zakończył Cagliostro z całym orszakiem szarlatanów. August Comte skrajny ateizm udogmatyzował w religię humanitaryzmu, a ten kult religii pozytywistów, z całą dekoracyą mistyczną utrzymuje się do dziśdnia i ma swych proroków i adeptów. Sceptycyzm Renana miał tę właściwość że bardziej jeszcze zachwiał wiarę w naukę, niż w samą religię. Wątpiący uczniowie szukają dróg idealnych po omacku, ale Renan stworzył naukę niebezpieczną, która się nazywa „historyą porównawczą religii.“ Nauka ta, której przychodzi w pomoc chorobliwy mistycyzm, bada ewolucye mitów i kultów od Egipcyan do greckiego Olimpu, sięga w ruiny Babilonu, wertuje księgi braminów, z pustelni w Tybecie wydobywa tajemnice, chce ożywić i wskrzesić wszelkie bałwochwalstwo, od Buddhy przeskakuje do Chrystusa

i naodwrót, nie gardzi czarną magią średniowieczną, wywołuje prawdziwe pandemonium, aby połączonemi siłami pogańskich bałwanów i potęgą piekieł uderzyć na Kościół Chrystusa.

Publikacyj stosy, prawdziwa już biblioteka istnieje o tak zwanych naukach okkulistycznych i nowych czy wznowionych kultach. Dawniej tylko pisarze katoliccy od Brescianiego *(Juif de Verone)* do X. Deschamp i tylu innych ostrzegali, że jest pewna gałęź masoneryi, w najwyższych szczeblach dochodząca do kultu szatana. Niedowierzano im, posądzano o przesadę, mówiono, nie taki dyabeł czarny, jak go malują. Dziś wychodzi zeszytami pismo: *Le Diable au XIX siècle,* z nazwiskami osób, z opisem obrzędów. Oskarżani nie bronią się, ale przyznają, w almanachach masońskich i dziennikach, propagujących różne nowe religie antichrześciańskie. Wreszcie dziennikarze chodzą po zborach, bóżnicach i świątyniach, miewają *interviews* z prorokami i kapłanami, i opisują je jak każdą nowość i każdą modę [1]).

Milej byłoby prowadzić do miejsc pobożnych w Rzymie, lecz one znane, a u nas nigdy dotąd nie było wzmianki o tej szatańskiej zarazie. Nad szczegółami rozwodzić się nie będę, wystarczy nazwa nowych sekt, szerzących się we Francyi, w Ameryce, poniekąd we Włoszech.

Zacznijmy przegląd od rzeczy niewinnych, niemal dziecinnych herezyj. W Paryżu istnieje na ulicy

[1]) Jules Bois: *Les petites religions de Paris.*

Sorbonne świątynia dla bogów greckich, jej arcykapłanem p. Louis Ménard, wielką zwolenniczką i propagatorką dawna przyjaciółka Gambetty, słynna autorka, pani Adam.

Nowa Jerozolima przy ulicy Thonin: tam odnowiono naukę Swedenborga, jej mistrzem uczony Juliusz Soury, adeptów swedenborgizm ma w Paryżu 200, a chwali się, że w całym świecie około miliona. Wygrzebano po tylu wiekach stary gnostycyzm, pod wezwaniem św. Jana, a jego zwolennicy od Danta do Lamartina szukają tekstów na poparcie starej herezyi, z godłem nader zachęcającem i wygodnem: *Ama et fac quod vis.*

Religią bardzo arystokratyczną młodego Paryża, bo też z najodleglejszej wyprowadzoną starożytności, jest cześć *Izis.* Wygrzebana w Rzymie statua, którą miano za Matkę Boską, według studyów archeologicznych okazała się boginią egipską; toteż niebawem postawiono jej ołtarz i świątynię. Rzekomo religia to miłości, obiecuje metampsychozę po śmierci, przez co ze spirytyzmem zgodna, w stosunkach zaś doczesnych przyrzeka ustalenie porządku i władzy na wzór najtrwalszego państwa Faraonów o licznych dynastyach. Z tych może względów konserwatyzmu politycznego, kult Izydy liczy w szeregach swych wyznawców kilka nazwisk tytułowanych, jak księżna Pomar, hr. la Rochefoucauld i cały zastęp arystokratów pióra, jak poeta Villiers de l'Isle-Adam, oraz powieściopisarz Gilbert Augustin-Thierry, a obu autorów *Revue des*

deux Mondes umieszcza niekiedy utwory, na kulcie kwiatu lotosu i Izydy osnute.

Są to zabawki i zboczenia umysłowe, które nie przybierają szerszych rozmiarów, świadczą tylko o ogólnej newrozie i szukaniu mitów, byle po za chrześciaństwem.

Przed trzydziestu laty wprost z Tybetu przybyła do Paryża Rosyanka, pani Blawatski, ztąd udała się do Londynu i Nowego Yorku. Wszystko, co o niej opisują i opowiadają, wskazuje, że umiała połączyć tajemnice i praktyki szabasu średniowiecznych naszych czarownic z Łysej góry z misteryami indyjskich brahminów, tybetańskich fakirów i bonzów, z którymi w ciągłej zostawała komunikacyi. W tej sztuce znalazła Rosyanka wiele współzawodniczek, z których niektóre, jak Diana Voghan i Zofia Waldeck, ją prześcignęły, ta ostatnia z buddhyzmu przeszła do satanizmu i mieni się prababką przyszłego Antychrysta, który ma z pewnością z jej rodu przyjść po trzech generacyach, aby obalić Kościół Chrystusa.

Pani Blawatski utworzyła sektę teosofanów, szerzącą się przeważnie w Ameryce, a opartą na religii Brahmy. O imporcie buddhyzmu na Zachód i do Ameryki, byłoby wiele do pisania — i mimochodem tej sprawy traktować nie łatwo. Przeczuwała już to niebezpieczeństwo nasza rodaczka, Karolina z Iwanowskich księżna Wittgenstein, gdy studyom buddhyzmu poświęciła trzy tomy. Dwadzieścia tomów napisał uczony sanskrytu profesor

berliński Max Müller. Świat to więc, naukowo znany i wyjaśniony.

Religia buddhystów ma dziś w Paryżu arcykapłanem p. Milloué, posiada tam kilka świątyń i kilka dzienników; niedziw, bo zapisanych wyznawców tej religii jest w stolicy Francyi dziesięć tysięcy osób, a jeśli prawda, co piszą, około 100.000 przyjaciół i ciekawych, uczęszczających na zebrania i obrzędy.

To już nie zabawka, nie ekscentryczność grona osób. Kiedy dzienniki co chwila donoszą o śmierci męczeńskiej missyonarzy, przeważnie Francuzów, i o rzeziach całych kolonij katolickich w Chinach i Tybecie, Brahma i Buddha biorą inny jeszcze odwet w stolicy Francyi, gdy tu swój kult szerzą. Co może wytłómaczyć ten obłęd i tę potworność, nietylko religijną, ale i cywilizacyjną? Pozorne podobieństwo z dogmatem chrześciańskim przez tajemnicę Trójcy św. i tajemnicę wcielenia Syna Bożego, raczej kilkakrotnych Buddhy inkorporacyj, mniej może przyciąga adherentów, niż bliskie pokrewieństwo rozpaczliwej doktryny z Schopenhauerem i Hartmannem, a nadto dla dzisiejszych, newrozą dotkniętych pokoleń, upajający jak opium urok nirwany. Wszak do nicości świat pędzi i radby się zanurzyć w ponurej przepaści, nad którą się pochylił. Niemasz już ikarowych polotów w górę, aby dosięgnąć słońc, ale ta przepaść nicości pociąga ku sobie roje samobójców i zastępy anarchistów, rzucających bezmyślnie bomby przez manię szerzenia śmierci wśród ludzi. Prąd buddhystyczny

idzie z najdalszego Wschodu, ma z rosyjskim nihilizmem bliskie pobratymstwo i wspólne źródło; wszak ta religia panteistyczna była podwaliną wszystkich wielkich autokratyzmów Azyi, od Niniwy, Babilonu, Samarkandy, aż tam, gdzie cześć cara równa się czci Bożej, a poniżej naturalna turańskim szczepom niwelacya i komunizm, nieznający praw i swobód jednostki.

Religia to najbardziej filozoficzna, mówią zachodni propagatorowie buddhyzmu, bo obywa się bez indywidualnego Boga, dla etyki zostawia nader luźne ramy, a nieśmiertelność duszy okrywa zasłoną nirwany.

Rosyanka, pani Blawatski, dała początek tej innowacyi, a świeżo Rosyanin, Mikołaj Notowicz, podobno brat redaktora panslawistycznych *Nowosti,* przywiózł z Tybetu jakoby przez siebie w klasztorze brahminów odkryty stary rękopis, mówiący o Chrystusie. Według tego Chrystus Pan w tych latach młodzieńczych, o których nie mamy z jego życia żadnych wiadomości z ewangelii, między 14 a 29 rokiem wieku swego, odbył podróż do Indyj, Tybetu i Persyi. Tam miał nauczać miłości bliźniego i czci prawdziwego Boga, stawał w obronie Sudrasów i Pariasów przeciw kastom panującym i niewolniczącym, następnie w Persyi walczył z czcią słońca i z nauką Zoroastra. Jestże-li to świeży apokryf rosyjskiego turysty, czy stara baśń brahminów, któraby świadczyła tylko, że aż o Indye odbił się fakt przyjścia na świat Zbawiciela, jego nauki Boskiej, jego dzieła odkupienia ludzkości?

Rozstrzygną o tem dalsze badania, ale i ta publikacya wskazuje, że zbliża się epoka, kiedy nauka Chrystusa, Ewangelia zmierzy się z Zendawestą, księgami Brahmy, nauką Konfucyusza i Zoroastra.

Chrystus zstąpił na świat, aby całą ludzkość ująć w objęcia i dźwignąć do Boga, aby wycisnąć prawdę, gdzie ona choć w cząstce z pierwotnego przechowała się objawienia, aby uświęcić to, co ludzkość z siebie dobrego i pięknego wydała, aby roztrącić fałsz, gdziekolwiek on powstał i jakąkolwiek przybrał formę nauki, filozofii czy religii. Dotąd po tylu wiekach żyjemy jeszcze w okresie zapasów nauki Chrystusa z cywilizacyą, ideałami, pojęciami grecko-rzymskiego pogaństwa. Walka ta, wznowiona w epoce odrodzenia, choć wydała nowe, świetne życie, choć z próchna klassycznego świata nowe w zetknięciu z chrześciaństwem zajaśniały natchnienia i zdobycze ducha, walka ta wytworzyła proces dziejowy, którego etapami reformacya Lutra i wiek Rewolucyi.

Teraz zbliżamy się do nowych, mało znanych światów, o odrębnej kulturze, jęczących pod jarzmem religii niewoli, do panteistycznej Azyi. Zanim tam dojdzie i swój posiew rzuci missyonarz, wyprzedza go inżynier. Żadna krucyata nie zwraca się w tę stronę, ale karawany i okręty z towarami znają tę drogę i zna ją już oręż potęg europejskich Anglii i Rosyi. Panteistyczna filozofia Zachodu podaje rękę panteistycznej religii Azyi, a w Japonii panuje podobna bezwyznaniowość, jak w wielu krajach zachodniej Europy. Przy wolności

konstytucyjnej i wolności wyznań, ogłoszonej w Japonii, chrześciaństwo czyni tam postępy, równomierne z znaną tam oddawna masoneryą. W Indyach wstrzymuje missye katolickie niedołężna działalność biblijnych towarzystw angielskich. — Ważną też tam missyę ma do spełnienia nasz rodak, arcybiskup Zaleski, i Leon XIII wielką przywiązuje wagę do powierzonych mu dyplomatyczno-apostolskich zadań. Rosya tworzy zaporę od strony Afganistanu i Tybetu. W Chinach rzezie chrześcian są skutkiem sporu francuskiej masońskiej Republiki z protestanckimi Niemcami o protektorat nad chrześcianami; wiadomo, że Stolica św. przechyla szalę raczej na stronę Niemiec, w przekonaniu, jak protektorat francuski mało i niechętnie popiera interesa religijne.

Lecz gdzieżeśmy to zaszli. Zanim wrócimy do Rzymu, aby pokrzepić ducha i wznieść go do Boga tam, gdzie tak obficie lała się krew chrześcian, jeszcze zatrzymać się musimy przed najohydniejszą świątynią pogan paryskich i amerykańskich.

Pióro się wstrzymuje, gdy ma zdać sprawę z tego, o czem szeroko rozpisują się i rozprawiają.

Nienawiść Boga prowadzi do czci szatana — to bardzo prosty syllogizm. — Pogaństwo stare i wszelkie bałwochwalstwo nie było czem innem, według teologów, tylko bezwiedną czcią szatana, który zniszczył objawienie Boże i swoje postawił ołtarze. Dziś chodzi o świadomą i dobrowolną cześć strąconego Archanioła! Zacięta nienawiść

Kościoła w sekcie masońskiej oddawna do tego prowadziła; dość wspomnieć owych *solidarystów*, znanych niestety i wśród emigracyi polskiej, których zadaniem było, nie dopuszczać księży do umierających. A wiemy o kilku takich faktach. Znieważanie krzyża bywało na porządku dziennym; następnie przyszły głośne obiady wielkopiątkowe, które bywały w modzie wśród wysokich sfer lóż. Dziś częste są wypadki wykradania hostyj, celem ich znieważania w świętokradzkich obrzędach. Spirytyzm, nauki okkulistyczne, czarna magia i t. p. dały nowy popęd. Najpierw w amerykańskiem mieście, Charlestone, wyrósł t. zw. palladyzm. Aby być do niego przypuszczonym, trzeba należeć do lóż rytu Misraim lub Memfis i mieć tytuł kawalera Kadosz, trzydziestego trzeciego stopnia bez pierścienia. A więc te tajemnice nie są wszystkim wolnomularzom znane i dostępne. Na czele palladystów w Charlestonie, jako papież religii Lucypera, stał Albert Pick, który niezmierną miał okazać zdolność w ustanowieniu hierarchii i rozszerzeniu kultu; obecnie zastępuje go p. Lemmi w Rzymie.

Bóg chrześciański jest złem, jego moralność przeciwna naturze, jego rządy niesprawiedliwością — mówią palladyści — odwieczny wróg Boga da ludzkości wszelkie szczęście i pomyślność. A więc wznoszą się świątynie, stawiają ołtarze, na ołtarzu świetlana tryumfująca postać tego, który w sekcie zowie się etymologicznie światłonośnym, a jest księciem ciemności. Obok Lucypera posążki dwóch

jego towarzyszy, Astarotha i Belzebuba. Wzdłuż świątyni wizerunki patronów i męczenników palladystycznych. Na ich czele nieodzowny Jakób Molay, ostatni mistrz Templaryuszów, i inne postacie historyczne, nienawiścią do chrześciaństwa, walką z Kościołem słynne. Wśród nich owa Greczynka Hipatya, którą chrześcianie pierwszych wieków mieli zamordować za to, że pogańskich nie chciała odstąpić bogów. Męczeństwu Hipatyi pani Konopnicka poświęciła osobny poemat. Czyliżby palladyzm miał sięgać aż do literatury polskiej? — Wszak łatwo z najświeższych poetów francuskich niejeden przytoczyć dowód, że nowy prąd mistyczny zwraca się do księcia ciemności.

„Gdybym miał wierzyć — woła jeden z nich — wolę oddać cześć szatanowi, niż Bogu.“

Liturgia w obrzędach palladystycznych jest przedrzeźnieniem liturgii katolickiej. Niepodobna powtarzać opisów mszy „białą“ zwanej ze znieważaniem wykradzionych hostyj, śpiewaniem psalmów i wypowiadaniem zaklęć, podobnych czarnoksiężników średniowiecznych i nowym spirytystycznym formułkom. Spokój grobów nieuszanowany, a na cmentarzach odbywają się obrzędy i tańce ze szkieletami.

Stolicą palladystów jest zawsze amerykański Charlestone, tam antipapież, tam zwierzchnictwo; w Paryżu i w Rzymie zastępstwo. Po bankructwie rodziny książąt Borghese, wspaniały pałac na *Corso* jest wynajęty na lożę masońską i stanowi główny zbór francmasoneryi najwyższych stopni, z kaplicą

palladystów i wielkim kapłanem, słynnym z giełdowych szacherek, bankierem żydowskim Lemmi. Lecz w Rzymie, jak twierdzą wtajemniczeni, nie chce się zjawiać ów światłonośny i jego czarny orszak, choć w Charlestonie i Paryżu stawia się na wezwania. W Paryżu są dwa kościoły czcicieli szatana: na ulicy Rochechouart niedaleko kościoła Sacré Coeur, drugi po lewym brzegu Sekwany, obok pałacu arcybiskupów.

I w wiekach średnich zabawiano się wywoływaniem złych duchów i szatanów. Czarnoksięstwo, magia, alchemia, miewały swoje zaklęcia. — Ile wówczas i dziś w tem wszystkiem szarlataneryi i oszustwa, a ile sprawki szatańskiej, któż rozstrzygnie? Wystarcza fakt, że są dziś, jak w wiekach ciemnoty, wyznawcy tego kultu, ci, co zapisują dobrowolnie duszę dyabłu i jego panowanie przyzywają na ziemię. Istnienie palladystów nie da się zaprzeczyć.

Szujski jakby przeczuł, że nadchodzi epoka mistycyzmu odwrotnego, napisał:

Gdy nie chcą wierzyć w niebiosów istnienie,
Niech w nieśmiertelność uwierzą przez piekło.

Bądźcobądź potworne te kulty i czary, są dowodem bankructwa niewiary, upadku racyonalizmu. Chrystusa im z serc wydarto, i nic nie dano w zamian; i znów, jak Szujski powiada: „Od algi, byle nie od Niego — do nirwany, byle nie do Niego“ rwie się duch ludzki, lecz Chrystus

porwał go w swe ramiona — i wyrwie z objęć Brahmy i z objęć szatana.

We Francyi masonerya rozdzielona na dwa obozy: humanitarystów, którzy walczą z Kościołem pod staremi hasłami wolnej myśli i racyonalizmu, a w obronie kapitalistów — i obóz palladystów, który daje impuls anarchistom i tym, co dynamitem szerzą śmierć i postrach, a chcą wywrotu społeczeństwa i zagłady cywilizacyi chrześciańskiej.

Po takich rozmowach i czytaniach, odkrywających przepaść demonicznych czarów nowożytnego pogaństwa — nieco powietrza rzymskiego! Więc wycieczka z przyjacielem w okolice św. Pawła za Murami.

Wzdłuż starożytnej drogi rozrzucone pomniki, stojące jakby na granicy dwóch światów i dwóch cywilizacyj, wiodą w odwrotnym kierunku od bogów pogańskich starożytnej Romy do Chrystusa, gdy dziś od Chrystusa do tamtych chcą wracać. W bazylice *Santa Maria in Cosmedin* rozpoczęta restauracya kosztem rządu, idzie zwolna, jak wszystko we Włoszech, z powodu bankructwa finansów. Po Panteonie, bazylika ta najżywiej przypomina stary politeizm Rzymian. Gdzie był ołtarz Wenery, tam stoi ołtarz przeczystej Bogarodzicy; chrzcielnicą kamienne naczynie, które służyło do ofiar dla Bacchusa. Nieopodal kaplica *Domine quo vadis*, gdzie według legendy, uciekającego przed męczeństwem św. Piotra nawrócił zjawiający się Chrystus napowrót do Rzymu. Dalej klasztor *Tre fontane*. Miejsce ścięcia św. Pawła

długo było opuszczone, z powodu malaryi, co tu miała zabójcze ognisko. Trappiści, przybyli z Francyi, mimo oporu Piusa IX, założyli tu swoje pustelnie. Przed dwudziestu laty z księżną Zofią Odescalchi zwiedzałem to pobożne ustronie. Wybledli od febry zakonnicy sadzili wówczas drzewka, mające własności antimalaryczne. Dziś wita nas gaj wysoko wyrośniętych eukaliptusów, a zakonnicy, zawsze Francuzi, choć inni, bo tamci wymarli, z mniej już chorobliwą cerą, ale niezmiernie gorącą miłością Boga.

Kto się pyta, na co życie kontemplacyi i umartwienia, niech zestawi te dwa światy: owe świątynie palladystów masońskich i te pustelnie mnichów bogomyślnych, a zrozumie, że Bóg powołuje wybrane dusze dla swego zadośćuczynienia za wszystkie świętokradztwa i bluźnierstwa, że tam, gdzieś u góry, równoważą się te dwie szale, czystych modlitw na Jego chwałę i szalonowych obrzędów na cześć Jego wrogów. Tasama społeczność francuska, w której łonie tamte wyrastają potworności, wydaje to kadzidło uwielbienia, płynące z modłów zakonnych.

Wszędzie Francuzi. U św. Kaliksta znów Trappista oprowadza po katakumbach. Złudzenie tem większe, gdy zakonnik w białym habicie, wynędzniały na ciele, a pełen swobody ducha, do turystów, synów XIX wieku, przemawia mową chrześcian pierwszych stuleci, gdy tłómaczy zastępom medyków (był to czas zjazdu lekarskiego) symbole i dzieje katakumbowe. Z dzieła sędziwego ko-

mandora de Rossi *Roma sotterranea* czerpane objaśnienia przerywa nasz zakonny *cicerone* wycieczkami, pełnemi dowcipu i werwy w świat dzisiejszej niewiary, a na uwagę, że nie jestem lekarzem, ale dziennikarzem, odpowiada z uśmiechem: „Tem gorzej, panowie lekarze zatruwają tylko ciało, panowie dziennikarze zatruwają częstokroć w dodatku i duszę...“

I wszędzie synowie i córki Francyi. Na Palatynie po nad pałacem Nerona, obok bazyliki *San Pietro in vincoli*, gdzie króluje *Mojżesz* Michała Anioła, olbrzymie schronisko dla starców i sierot, podobne do Zakładu Helclów za krakowskim Kleparzem, obsługiwane przez Zgromadzenie francuskie: *Les petites soeurs des pauvres.* Wśród starców, żołnierze Garibaldiego przyjmują z dumą posługę zakonną, ale zwykle kapitulują wobec anielskiej słodyczy córek Maryi.

Trzeba było takiej wycieczki, aby pokrzepić ducha — i uwierzyć znów w przyszłość Francyi. Z narodu, tak strasznie chorego na duszy, Bóg powołuje krocie dusz ku sobie, na wyłączną służbę bliźnich i chwałę własną. Ten olbrzymi kontyngens missyonarzy, zakonników i zakonnic, rozsianych po całym świecie, z jakich się warstw werbuje, skoro niewiara tak szeroko się tam rozpostarła? Nie są to synowie i córki arystokratycznych tylko sfer. Prostota ich świadczy o pochodzeniu z ludu A owa pomysłowość i płodność w dziełach miłosierdzia dla każdej potrzeby i każdej nędzy ciała czy duszy? A ofiarność materyalna bez granic, gdy

missye całego świata w trzech czwartych i w tymsamym stosunku Świętopiętrze na Francyi się opiera? Równocześnie cztery uniwersytety katolickie, olbrzymi kościół Zadośćuczynienia na Montmartre, tysiące nowych szkół chrześciańskich w miejsce zamkniętych szkół Braci Doktryny Chrześciańskiej i setki klasztorów nowych w miejsce dawnych, które Rzeczpospolita swoją zapieczętowała pieczęcią. To wszystko wydaje ta Francya, pokryta jak Łazarz wrzodami sekciarstwa.

Smutną rozmowę z przyjacielem zakończyć można było starem godłem: *Gesta Dei per Francos*, bo nieprawda, aby wyschło tam źródło wiary i miłości, choć tyle namułu. Francya w złem i dobrem idzie przed ludzkością naprzód: rwie ku piekłu i wiedzie ku niebu!

A teraz jeszcze rzut oka po za Atlantyk, zkąd nowy duch wieje — i na Wschód, gdzie się zwraca baczny wzrok z Watykanu.

III.

Stary baron Aleksander Hübner — którego niegdyś miałem sposobność spotkać, gdy wracał z pierwszej swej podróży naokoło świata, mając lat 70 — mówił, że podjął tę podróż, bo chciał sobie oszczędzić trudu zwiedzania powszechnej wystawy w Paryżu. Gdy w lat dziesięć była druga wystawa powszechna, staruszek raz jeszcze objechał kulę ziemską i znów ją opisał. Kto niema czasu na taką podróż, niech jedzie do Rzymu

i zamieszka w pensyonacie pani Lavigne, *via del Tritone.*

Przed podaniem obiadu wbiega nowo przybyły obywatel z Kanady. Nie było wolnego pokoju; on na korytarzu przyjmuje tymczasowy nocleg, ale z pośpiechem, właściwym ludziom nowego świata, w pół godziny daje dokładny obraz historyi, geografii, statystyki, urządzeń politycznych, ekonomicznych, szkolnych swej ojczyzny. Kanada, którą Francya przed stu z górą lat odstąpiła Anglii za pieniądze, chcąc się tej kolonii pozbyć, jest najszczęśliwszym, według naszego turysty, krajem na świecie. Autonomia tam zupełna, a o tyle lepsza od galicyjskiej, że nieznane Kanadyjczykom są nietylko różnego rodzaju dodatki, ale nawet jestto jedyny kraj bez podatków. Cła wystarczają na utrzymanie rządu. Jak materyalnie, tak i moralnie Kanada ma być w rozwoju; katolicyzm tam kwitnie i wyborna równowaga społeczna. Dziwił się wielce nasz nowy znajomy, że nasi biedni emigranci idą do Stanów Zjednoczonych na ciężką walkę, lub na gorszy jeszcze los do Brazylii, a nie zwracają się ku Kanadzie gdzie daje się czuć brak rąk. „Gdy podatki nieznane, my katolicy kanadyjscy składamy regularnie dań świętopietrza, a kto może, przybywa do Rzymu, aby ofiarę swą złożyć u stóp Ojca św.“

Przy deserze rozmowa z młodemi Amerykankami ze stanu Kentucky, rozmowa, zdolna usunąć wszelkie uprzedzenia do córek wielkiej republiki zaatlantyckiej. Żadnej ekscentryczności, owszem

formy towarzyskie staranne, przy wielkiej swobodzie i naturalności. Panie te rozmawiają z łatwością po angielsku, francusku, po niemiecku i włosku; nic im nie jest obcem, niczemu się nie dziwią, jak Angielki, a umieją podziwiać, jak Angielki nie umieją. Zwykle przy stole zaczyna się rozmowa od wymiany wrażeń z dnia przebytego w Rzymie, z miejsc i przedmiotów zwiedzanych — wnet zwraca się na przedmioty głębsze, sztuki, historyi, religii. Nasze turystki są katoliczkami z ojca protestanta, który nie wstrzymywał podróży do Rzymu, ale zatrzymał się w Paryżu i ma się z rodziną spotkać w Wiedniu. W Ameryce tolerancya zaczyna się od rodziny, która często dzieli się na kilka wyznań. Lecz ta tolerancya nie wypływa z indyferentyzmu; każdy przepisów swej religii przestrzega, chętnie przyjmując dyskusyę religijną, broni zasad swojej wiary, a tylko niereligijność, bezwyznaniowość nie doznaje tej tolerancyi w obyczajach rodzinnych i towarzyskich.

Z tych spotkań i licznych zetknięć w podróży z Yankeesami, odniosłem wrażenie dziwnego kontrastu. Mówić z Europejczykiem jakiegokolwiek kraju, stronnictwa i obozu, a uderza zaraz niezadowolenie i pessymizm. Jedni chcą burzyć to co jest, bo jest złe — drudzy widzą same wiszące katastrofy i kataklizmy. Przeciwnie Amerykanie oddają się błogiemu optymizmowi: wszystko jest na najlepszej drodze; bogactwa się mnożą, wolność lekarstwem na wszystko, nowy świat zdobywa coraz to większą pomyślność, dobrobyt, a nadto

dojdzie, według opinii katolików, do uznania prawdy, wobec olbrzymich postępów naszej wiary. Niczego Amerykanin się nie lęka — nawet zmów socyalistycznych i anarchistycznych bomb.

Tensam kontrast starego z nowym światem, uderza w literaturze. Wszystkie książki o Ameryce i z Ameryki mają ten powiew, nie powiem wiosenny, bo to słowa zbyt poetyczne, a ojczyzna Longfellowa niema czasu oddawać się poezyi — ale ufności we własne siły dzielnego, młodego społeczeństwa, które chce żyć pełną piersią, chce pracować i zdobywać tak w dziedzinach materyalnych, jak moralnych.

W jakim rozwoju jest katolicyzm w Stanach Zjednoczonych? Przed stu z górą laty (15 sierpnia 1790 r.), w domowej kapliczce, w Baltimore, odbywała się pierwsza installacya biskupa Johna Caroll, którego mianował Pius VI dla 40.000 katolików, rozrzuconych po całym obszarze Stanów Zjednoczonych. Owe 40.000 katolików w sto lat wzrosły w dziewięć, obecnie przeszło dziesięć milionów. Prawda, że ogólna ludność wzmogła się przez te sto lat więcej, niż 15 razy, z czterech na sześćdziesiąt pięć milionów, zamieszkujących obecnie Stany Zjednoczone. Lecz stosunek katolików do ogółu ludności, gdy się przedstawiał przed stu laty $^{1}/_{100}$, obecnie wynosi $^{8}/_{100}$, a proporcya ta wzmaga się ustawicznie.

Nie jestto tylko następstwo propagandy i nawrócenia. Emigracya europejska, która wzrasta zwłaszcza od dwóch ostatnich dziesiątków lat,

przybywa przeważnie z krajów katolickich. Do r. 1850 katolicyzm był tu tylko synonimem narodowości irlandzkiej, a katolicy innych narodowości przepadali w zalewie różnych sekt protestanckich. Dziś są osady i całe miasta z przewagą katolików niemieckich, polskich, słowiańskich, włoskich. Nic już nie przepada wobec obudzonej gorliwości i ustalonej hierarchii. Na stuletni jubileusz ustanowienia pierwszego biskupstwa w Baltimore, przybyło ośmdziesięciu ośmiu biskupów i dwóch kardynałów amerykańskich, oraz legat papieski. Z jubileuszem niezmiernie uroczystym, połączonym był meeting, czyli wielki wiec katolicki.

Mamy przed sobą mowy biskupów z tego obchodu, a dają one miarę wysokiego ducha, który ożywia tych książąt Kościoła. Znaną już jest powszechnie postać kardynała Gibbons'a, bo niewielu mu równych w naszem stuleciu na obu półkulach, co dzierżyli pastorał tak wysoko i nim wskazywali nowe dla społeczeństwa drogi. Niezmierną również powagę zdobyli sobie: arcybiskup Filadelfii, Patrick John Ryan, wielce uczony biskup John Kean, Irlandczyk z rodu, twórca i rektot uniwersytetu katolickiego; wybitnie się odznacza i wielkie budzi zajęcie tak w swej ojczyźnie, jak w Paryżu i w Rzymie, arcybiskup z Saint-Paul, John Ireland. W Baltimore na jubileuszu, w Nowym Jorku przy obchodzie na cześć Kolumba, przy otwarciu uniwersytetu katolickiego, w Filadelfii przy otwarciu wystawy powszechnej, pierwszy głos i głos najdonioślejszy mieli biskupi katoliccy,

i znać, jak górują umysłem, duchem, czynnym udziałem we wszyst-kich świeckich sprawach nad tym gorączkowym ruchem i ogólnym poziomem życia w Stanach Zjednoczonych.

Cechą znamienną katolicyzmu po tamtej stronie Atlantyku, a zarazem jego różnicą kardynalną od katolicyzmu na naszym starym kontynencie, są dwie właściwości charakteru amerykańskiego: optymizm i praktyczność.

My często szerokie obejmujemy widnokręgi, ale zatrzymujemy się w sferze abstrakcyi. Amerykanin czy stoi na czele wielkiego konsorcyum, buduje kolej lub miasto, czy rządzi dyecezyą lub parafią, odrazu bierze się do dzieła. *Go ahead* — naprzód — nie jest tam, jak u nas, godłem socyalistów, ale powiewa zarówno nad bramami wystawy, jak nad budową wspaniałej katedry. „Nic dla Amerykanina nie jest niemożliwem,“ mówi narodowe ich przysłowie, które Leon XIII w liście do jednego z amerykańskich biskupów przytaczał, dając zachętę i błogosławieństwo do założenia uniwersytetu.

Całkowity rozdział Kościoła od państwa sprawia, że niema duchowieństwo żadnych dotacyj rządowych, że stoi wyłącznie pod względem funduszów o swojej mocy, a innej rękojmi i podstawy nie posiada, oprócz wolności wyznań i równości praw obywatelskich. Biskupi nie ustanowili żadnych taks na *jura stolae* i przestrzegają tego ostro, aby duchowni nie żądali od wiernych wynagrodzenia, ale wolno im przyjmować to, co im dobrowolnie ofiarują. Starych fundacyj oczywiście niema. Ksiądz

przybywa do nowokreowanej parafii często wśród puszczy, do której świeżo ściągają koloniści i odrazu rozpoczyna budowę kościoła, niekiedy na wielkie rozmiary, według miary miasta, które się zakłada. Niema zaś kościoła, choćby ubogiego, bez szkoły katolickiej. Każda plebania dzieli się na mieszkanie księdza i bibliotekę, zwykle na piętrze, szkołę i salę zebrań na dole. W tej sali odbywają się sesye Towarzystwa św. Wincentego, a konferencyj tegoż Towarzystwa jest tyle w Ameryce, ile parafij — zgromadzenia bractw i stowarzyszeń świeckich, zebrania dla zabawy co sobota wieczór. W bibliotece czytelnia katolicka, do której miewają także przystęp i innowiercy, w sali na dole odczyty, koncerta, teatra amatorskie, nawet opery. Jeden z podróżników opisuje, jak w sali na plebanii przedstawiano *Mikado*, a proboszcz wśród gentelmanów wesoło śmiał się z niewinnych kupletów. Odrazu więc plebania staje się ogniskiem życia towarzyskiego i umysłowego. Kto w wolnych chwilach od pracy nie idzie do szynku, gdzie trzeba iść z rewolwerem w ręku, ten na plebanii znajduje wypoczynek, przyzwoitą zabawę, pokarm umysłowy. W tem ognisku proboszcz jest naturalnym przewodnikiem i główną tej osady powagą. Czyliżby smutne częstokroć i monotonne życie naszych proboszczów, rzuconych w okolice puste, bez kolatora we dworze, jak to często bywa, wśród samotności i odosobnienia, nie nabrało więcej ponęty i barwności, gdyby choć w części chciano naśladować te obyczaje proboszczów ame-

rykańskich, gdyby na plebanii obok czytelni znalazła się sala dla zebrań i rozrywek parafian włościańskich? Znamy takie przykłady, że proboszcz nie zamyka swych obowiązków w granicach czysto kościelnych, ale dzieli i przewodniczy wszystkiemu, co się dzieje w gminie; lecz wartoby niejedną nowość naśladować z przykładów nowego świata.

Dla rozległości parafij, większość księży amerykańskich, zwłaszcza po za wielkiemi miastami, ma prawo odprawiania dwóch mszy w niedzielę. Uciążliwy to obowiązek, zwłaszcza gdy między jedną a drugą mszą trzeba odbyć naczczo kilka, niekiedy koleją kilkanaście mil. Niema mszy bez kazania, ale kazanie od ołtarza nie może trwać dłużej od 5 do 10 minut. Osobna wyrobiła się lakoniczna wymowa kaznodziei amerykańskich, zawsze z tekstu Pisma św. do potrzeb praktycznych dnia dzisiejszego i lokalnych stosunków. Apologetyka i dogmatyczne wywody, które u nas najczęściej idą szablonowo w kazaniach parafialnych wśród drzemiącego ludu, od czasu do czasu głębokiem westchnieniem odpowiadającego kaznodziei — tego nie zna ambona amerykańska. Pięciominutowe przemowy nietylko po mszy, ale powtarzają się przy udzielaniu Komunii św., przy każdym ślubie, przy każdem pokropieniu zwłok i po za Kościołem przy każdem rodzinnem czy publicznem zebraniu i uroczystości. — Powyższe szczegóły zaczerpnęliśmy z ważnej i zajmującej książki: *L'église catholique*

et la libérté aux Etats Unis, par le Vicomte de Meaux.

Wśród różnowierczej ludności, nieznanym w Ameryce jest ów separatyzm kleru od społeczeństwa świeckiego, który we Francyi stał się koniecznością i przeszedł w obyczaj.

To, co się robi po parafiach, to na większe rozmiary podejmują biskupi na swych stolicach. Idą naprzód — *go ahead*. Postać kardynała Gibbons'a zostanie w historyi Kościoła i w historyi stulecia. Co w Niemczech Ketteler teoretycznie rozwijał, to Manning w Londynie, a Gibbons w Ameryce w czyn wprowadzali. Ostatnie smutne wypadki, o których donoszą telegramy, niezmniejszają zasługi tego, który stanął w obronie „rycerzów pracy," aby ich na chrześciańskie nakierować tory. Chwilowe zaburzenia są może przemijającym objawem. Przeciwdziałanie duchowi egoizmu w społeczności, opartej na brutalnej walce o byt i na plutokracyi, jest piękną missyą episkopatu i kleru katolickiego.

Z kardynałem Gibbons'em przybył do Europy i Rzymu przed trzema laty młody jeszcze, a pełen ognia i zapału, X. Ireland, arcybiskup z Saint Paul. Przemowy jego w Paryżu wywołały entuzyazm jednych, obawy drugich. Byłto trybun w fioletach, który nawoływał i wzywał do pojednania Kościoła z wiekiem.

Gdy przybył do Rzymu, miewał długie z Leonem XIII rozmowy. Krążyły pogłoski, że ten biskup amerykański zbyt śmiało objawiał Papieżowi swoje

poglądy, że radził, aby stanowczo w Watykanie wzięto rozbrat z myślą powrotu władzy doczesnej, a szukano pojednania z duchem wieku, podstawy w nowym świecie.

W tych pogłoskach było wiele czczych domysłów. Nie biskup Papieżowi mógł tu narzucać swoje zdania, ale odwrotnie, wielki Papież mógł pochwalać lub wstrzymywać młodego myśliciela i apostoła w szlachetnem, lecz zbyt rączem dążeniu naprzód.

Mowy biskupa Ireland ukazały się świeżo w druku p. t. *L'Eglise et le siècle*. Dawno nie czytaliśmy rzeczy, tak pełnych zapału i ognia. Tyle wysokich porusza on problematów, że potrzebaby obszernego rozbioru.

Czy to nie jest — ktoś zapyta — wznowiona doktryna katolików liberalnych z przed pół wieku? Wszak jedni, jak Lammenais, runęli w przepaść, inni nie odnieśli skutku, choć nad przepaścią się zatrzymali, jak Lacordaire, Gratry. Jest niewątpliwie tu analogia, ale jest i zasadnicza różnica. Tamci żądali rozejmu w zasadach między Kościołem a stuleciem, biskup Ireland wzywa tylko do zmiany metody. Tamci wierzyli w Ewangelię, ale także i w zasady 1789 r. i we wszystko, co z nich wypłynęło. Myśliciel amerykański bierze ducha stulecia nie ze strony jego doktryn, lecz faktów; broni tego wieku, że obok błędów ma cnoty. Ufa, że potrzeba tylko porozumienia i poznania się wzajemnego, aby przepaść znikła. Wiek ten jest wiekiem odkryć technicznych i postępu materyalne-

go — niech Kościół elektryczności i pary użyje do swych duchowych podbojów. Wiek ten ma chciwość wiedzy, a grzechem jego pycha, nieuznająca żadnych granic dla umysłu ludzkiego; ale Kościół ogłasza, że wszelka prawda, zarówno nadprzyrodzona, jak i przyrodzona, pochodzi od Boga, i że umysł ludzki ma prawo ją zdobywać. Postęp opiera się na technicznych wynalazkach i umiejętnościach przyrodniczych, a dąży do ogólnego dobrobytu — dlatego nie chce zrozumieć i uznać porządku nadprzyrodzonego. — „Idźmy ochotnie z ludźmi tego świata w interesach materyalnych, w tem, co dotyczy dobra społecznego i pomyślności świeckiej, aby oni szli z nami w sprawach religii.“ Jest wiele amerykańskiego optymizmu w tych antitezach, prowadzonych do zrównania, zwłaszcza, gdy X. Ireland mówi o liberalizmie i demokracyi stulecia i przyznaje mu, jakoby jego dążeniem była sprawiedliwość społeczna.

Cywilizacya naszego stulecia i jego duch, inaczej musi się przedstawiać po drugiej stronie południka, niż na naszej półkuli. Tam nowością jest katolicyzm, który zdobywa wpływ i znaczenie, bo przynosi z sobą pierwiastek moralnej powagi, przynosi ten kit i łącznik duchowy, którego nie znało zaimprowizowane społeczeństwo. W Europie Kościół wypielęgnował cywilizacyę, a wiek nasz jest epoką buntu, dąży do rozluźnienia węzłów i rozkładu. Mimo zastrzeżeń co do samej teoryi, a zwłaszcza wątpliwości, czy dałaby się bez niebezpieczeństw i zawodów zastosować w starym świe-

cie, należy uznać, że jestto głos tak silny, porywający i wstrząsający, jakiego dawno nie słyszano. Ireland uderza zwłaszcza na przestarzałą rutynę, wzywa księży, aby mniej długie śpiewali w stallach psalmodye wśród pustego Kościoła, ale za to szli tam, gdzie są tłumy ludzi, i tam mięszając się do ruchu spraw społecznych, rzucali ziarno ewangeliczne. Wspaniałą jest przemowa do młodzieży katolickiej w Paryżu z porównaniem dwóch republik i wezwaniem młodzieży, aby szła, jak żołnierze Chrystusowi, walczyć za zgodę Kościoła z wiekiem.

Biskup Ireland jest gorącym patryotą amerykańskim; wyznaje zasadę Munroë: „Ameryka dla Amerykanów“ — ztąd niezbyt skłonny do zachowywania odrębności narodowych różnych immigracyj. Pragnie zjednoczenia różnych szczepów, ale nadewszystko wzywa do zgody Kościoła ze stuleciem, do czynnego udziału katolickiego kleru w rzeczach publicznych, do apostolstwa wśród indyjskich aborigenów i wśród społeczności cywilizowanej a różnowyznaniowej.

Tymczasem protestanci uderzają na alarm, a idzie im w pomoc masonerya.

„Czyliż mamy oddać Republikę papistom, słuchającym rozkazów Rzymu? Należy ich nie dopuszczać do mandatów, a wykluczyć od urzędów.“ Znane u nas hasła; czy się przyjmą w kraju wolności? Czy i Ameryka doczeka się swego Kulturkampfu?

Wielki chrześcianin, Krzysztof Kolumb, którego jubileusz 400-letni obchodzono w roku przeszłym wystawą w Filadelfii, wziął sobie za godło i przepowiednię swej wyprawy, słowa psalmisty: *In omnem terram exivit sonus eorum et in fines orbis terrae verba eorum.*

Leon XIII powierzył osobnej kongregacyi przygotowanie procesu kanonizacyjnego wielkiego męża, co dla chrześciaństwa odkrył nowe światy, a za psalmistą i za Krzysztofem Kolumbem powtarza: „Głosy, zwiastujące chwałę Boga, zabrzmią po całej ziemi, a ich słowa dojdą do krańców świata.“

Jeden z prałatów rzymskich mówił nam, że apostolska praca Leona XIII, jego wezwania i nawoływania, jego czynna interwencya w sprawach starego świata, chorej Europy, da się określić wyrazem marynarskim *le sauvetage:* ratować z toni co wyratować jeszcze można. Dla nowego świata, oraz dla starego Wschodu, pragnie on być sternikiem na drogach przyszłości, tam też najbaczniej zwraca się jego wzrok.

Co łatwiej: czy podbić dla krzyża nowe światy, czy stare zwrócić do jedności? Kwestyami wschodniego Kościoła zajmują się wielce w Rzymie — może więcej jeszcze we Francyi. W Paryżu wychodzi osobny Przegląd Katolicki, poświęcony sprawom unii wschodniej. W pierwszej podróży poznałem w Rzymie wygnanego z Konstantynopola patryarchę armeńskiego, Hassuna. Wtedy po bulli *Reversurus* groziła nowa schizma wśród Ormian unitów, a odszczepieństwa tego kierownikiem był

Kupelian. Powiodło się staraniom dyplomacyi rzymskiej zażegnać tę nową burzę, a wielce w tem pomocną Watykanowi była W. Porta, z którą kardynał Franchi zawarł był konkordat, co mu ułatwili polscy emigranci. Turcy umieją dochowywać sojuszów. Dziś w Armenii, ani Cylicyi, ani w samym Stambule nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Budzą się natomiast nadzieje dalszych unij, to z patryarchą ateńskim, to z cerkwią bulgarską. Jak nas zapewniano, rokowania nie ustają i świadczą o dobrem usposobieniu. Ku ludom słowiańskim zwraca się atoli głównie ta tendencya i sięga daleko w północ. Przez Diakowar zwłaszcza przesuwa się ustawicznie szereg zachodnich i północnych gości, Francuzów i Rosyan — z poselstwami, które przypominają złudzenia Possewinowskie przed trzema wiekami. Stanowisko biskupa Strosmayera jest tym pocztem naprzód wysuniętym, a i w Rzymie jest klasztor słowiańskich zakonników z Lublany, gdzie panslawizm katolickim osłania się habitem. Francuzi niezmiernie tym ruchem się zajmują, a następca kardynała Lavigerie, obecny arcybiskup Algieru, z propagandą na rzecz niewolników murzyńskich łączy te starania, zwrócone na daleki Wschód i Północ. Obok niego grupuje się zastęp publicystów w sutannach. Najpoważniejszym z nich, jest niewątpliwie Barnabita, O. Tondini. On od wielu lat bada kwestyę Kościołów wschodnich, a znakomitą jest jego praca dawniejsza: *Le Pape d'Occident et les Papes d'Orient,* gdzie wykazuje olbrzymie różnice

liturgiczne i hierarchiczne między różnemi odłamami schizmy; kończy zaś swoje studyum twierdzeniem, że gdyby Rosyanie zdobyli Adryanopol lub Konstantynopol, musieliby tam podobną rozpocząć walkę z patryarchatami prawosławnemi, jaką przeprowadzają na Podlasiu dla wytępienia naszych Unitów. Żałować należy, że poważny ten badacz w ostatnich czasach uległ prądom optymizmu—i teraz Tondini zajmuje się głównie kwestyą kalendarza, twierdząc, że zrównanie różnic kaendarzowych wystarczy, aby przygotować wielkie dzieło unii. O pismach O. Vannutellego nie będę się rozwodził; znalazły one należytą odprawę u nas, a niewzbudzają ufności w Rzymie, gdzie autor żadnej nie używa powagi. Nie jest on krewnym dwóch kardynałów. Pisarze tego rodzaju, którzy przechwalają Rosyę i boleją tylko, że Polska jest jedyną zawadą do nawrócenia Rosyi — oddają dobrą usługę, bo swą przesadą stanowią ostrzeżenie, jak niebezpiecznemi są takie porywy.

Cokolwiekbądź, od uroczystości ŚŚ. Cyryla i Metodego w Rzymie i ówczesnej encykliki Leona XIII do Słowian, sprawę tę Ojciec św. ujął w ręce, a z całą miłością i nadzieją zwracając się w te strony, stanowczo naznaczył granice i warunki akcyi w tym kierunku. Byłoby to małodusznością, gdybyśmy, katolicy polscy, z obawą patrzeli tam, gdzie z nadzieją zwraca się wzrok Namiestnika Chrystusowego. Najpatryotyczniejsi polscy zakonnicy, Kajsiewicz i Kalinka, wzywali ustawicznie Polaków do modłów o nawrócenie się Rosyi. Istnieje

bractwo ŚŚ. Cyryla i Metodego z siedzibą w Welehradzie na Morawie, a bractwa tego głównym celem są modlitwy o rozszerzenie na Wschód i Północ unii.

Wszystko, czegośmy doznali i co dotąd cierpimy od schizmy, winno być tylko pobudką do takich modłów i pragnień. Lecz dlatego właśnie, że tę schizmę tak blisko znamy, że jesteśmy ostatnią czatą Kościoła rzymskiego, dlatego więcej od innych czuć i rozumieć możemy niebezpieczeństwo zbyt pospiesznego w tym kierunku działania.

Po pismach Włodzimierza Sołowiewa zbyteczna się rozwodzić, że schizma nie z powodów dogmatycznych, ale czysto politycznych powstała, rozszerzyła się i trwa. Niebezpieczną atoli znakomitego pisarza rosyjskiego jest teorya, że ludów prawosławnych nie potrzeba nawracać, bo lud ten w tosamo, co katolicy, wierzy, tylko wystarczy akt unii. Unia od soboru florenckiego, aż po czasy Possewinowskich rokowań, jest znów aktem czysto politycznym, który nawiązywać łatwo, bo łatwo go niebawem zerwać. I po akcie unii bywa często, że przez wieki kryje się dawny duch i stare pociągi. W liturgicznym konserwatyzmie tkwi bizantyńska strupieszałość i bezwładność. Nie wystarcza akt unii, przyznanie prymatu Piotrowego, bo to także tylko, jakby jakieś zewnętrzne przymierze, ale potrzeba zaszczepienia soków latorośli rzymskiej, potrzeba nowej uprawy pod korzenie tego posiewu, potrzeba życia wiary, które organicznie

rozwija się na Zachodzie, a na Wschodzie ma jakąś przedhistoryczną skamieniałość.

W tych kołach i sferach, które Possewinowskiemi nazwiemy, podnoszą ustawicznie objawy wzmagającej się religijności w Rosyi, że od lat kilkunastu z próchna prawosławia budzi się nowe jakieś życie mistyczne, nietylko fanatyzmem zwrócone przeciwko nam — bo to rzecz siepaczy, rzeź w Krożach, a niewidziano tam, jak ktoś z tych sfer zauważył, archireja, lecz tylko gubernatora w mundurze, który komenderował ognia. Religijność w Rosyi wzrasta — mówiąnam — do seminaryów prawosławnych, rzecz dotąd nigdy niebywała, wstępuje młodzież szlachecka z powołania, jest ruch umysłów jakiś przejściowy, nie mówiąc o mnożących się sektach, ani o mistycyzmie Tołstoja; są pisarze nawpół katoliccy, jak Sołowiew i księżna Wołkońska, summa wiary się wzmaga, a nigdzie, jak nas zapewniano, wielka postać Leona XIII nie wzbudza większego podziwu, jak wśród podróżujących Rosyan i w salonach petersburskich. W tych kołach optymistycznych oczekiwano, że Leon XIII w cyklu swych encyklik nie pominie Rosyi, odezwie się osobno do całego Wschodu prawosławnego.

Tymczasem Leon XIII najpierw odezwał się do Polaków, a potem do „książąt i ludów świata.“ W tej ostatniej encyklice, która zdaje się być streszczeniem i wspaniałą konkluzyą, ostatniem słowem wielkiego cyklu, wszystkie sprawy wieku i świata obejmującego, Papież zaczyna od pogan,

zatrzymuje się następnie nad prawosławnymi, przechodzi do protestantów. Do wszystkich z ojcowską miłością i nadzieją wyciąga ręce, wzywając do powrotu i jedności, lecz wobec schizmy stanowczo zakreśla warunki. Milczenie dzienników rosyjskich dowodzi, że optymizm stronnictwa Possewinistów doznał zawodu, że w Rosyi łatwiej przepuszczono encyklikę, mówiącą o Polsce w jej dawnem historycznem znaczeniu, niż odezwę do unii Wschodu z Zachodem.

U schyłku wieku, drży ziemia od wybuchów, otwarta przepaść anarchizmu, zdziczenia, nienawiści ras i stanów, do pogaństwa wiodą napowrót jedni, drudzy czekają Antychrysta. Odzywa się znów ten głos, *orbi et urbi*, do książąt i ludów świata, jak manifest przyszłego stulecia. Nawet w dziejach papieztwa trudno przypomnieć sobie chwili, nawet w bullaryuszach największych papieży trudno znaleść odezwy, któraby tak szeroko obejmowała świat cały, na kilku kartach streszczała wszystkie ludzkości obłędy i wszystkie jej potrzeby i wzywała tak śmiało książąt i ludy świata do wspólnej owczarni.

Lecz przebiegliśmy pospiesznie obie półkule — wrócić nam trzeba do Rzymu. Chrystus Pan nie dał żadnemu miastu lub narodowi wyłącznych przywilejów lub obietnic, a choć płakał nad losami Jerozolimy, dozwolił, aby naród, z którego sam wyszedł, runął w przepaść bogobójstwa, a lud wybrany poszedł na wieczną poniewierkę.

Dwaj wielcy Namiestnicy Chrystusowi, Pius i Leon płaczą nad losami Jerozolimy nowego zakonu, losami Stolicy Piotrowej. Obadwaj gorący miłośnicy swej ziemskiej ojczyzny, wiecznego miasta i pięknej Italii. Czy w protestach i skargach dwóch Papieży chodzi tylko o władzę doczesną? Żaden monarcha, jak żaden naród nie wyrzeka się i nie poświęca praw, które mają sankcyę dziesięciu z górą wieków. Tu te prawa historyczne wyższe jeszcze mają znaczenie, bo zrosły się z najwyższą władzą duchową nad Kościołem i ludzkością, a Włochy miały w królewskości papieży wał obronny, miały w niej swą chwałę, wielkość, ożywcze źródło cywilizacyi i sztuki, źródło bogactwa.

Bez papieży w Watykanie — powie to każdy Rzymianin — Rzym stanie się pustką i w głębszą wpadnie ruinę materyalną. Na pierwszy rzut oka uderza wszędzie rozczarowanie i upadek. Zapał unifikacyjny przygasł pod naciskiem podatków i nędzy. Gdzie jest kraj w naszych czasach koncentrowania się ludności, gdzieby tak, jak we Włoszech, miasta zarastały trawą, pustoszały i upadały? Dość spojrzeć na dawną królowę Adryatyku. Pałace stoją pustką, a z ostatnich galeryj prywatnych wywożą cudzoziemcy, choć tego ustawy wzbraniają, pakami obrazy i dzieła sztuki. Jak w Wenecyi, w pałacu Pesaro i kilku innych, za bezcen sprzedają dzieła mistrzów, podobnie na całym półwyspie. W Rzymie za bankructwem książąt Borghese, poszły i inne książęce domy, por-

wane grą giełdową i duchem spekulacyi. Wszędzie licytacye i targi o dawne zabytki. Gdzie niedawno jeszcze jedną z ozdób Rzymu, willę Ludovisi, podziwiali cudzoziemcy, tam dziś wśród ściętych drzew i wyrzuconych z framug pomników, co ogród zdobiły, rozparcelowane grunta budowlane; lecz domy nowe w połowie bez dachów, z zabitemi oknami, aby podatków nie opłacać od przedsiębiorstw zakończonych bankructwem. Sarkania na nędze powszechne i niechęć do stanu nowego z powodów poziomych, bo podatkowych. Jeśli miasta upadają i pustoszeją, o stosunkach agrarnych i stanie rolnictwa, smutniejsze jeszcze opowiadają rzeczy. Włościanie w wielu stronach nie sprzedają, ale rzucają darmo grunta i tłumami uciekają do Ameryki.

Oto materyalne następstwa nowych rządów i nowych prądów, a możnaby, gdyby czas nie naglił, szeroko o tem się rozwodzić na podstawie danych statystycznych.

Ruina moralna, tem głębsza. Wszystkie sekty i wszystkie herezye podają sobie dłoń pod murami Watykanu. Przy ulicy, wiodącej do Kwirynału, cerkiew schizmatycka o zielonych kopułach, gdzieindziej anglikańskie i luterskie zbory. W pałacu Borghese, jak już wspomnieliśmy, wyrzucone pamiątki wielkiego rodu — dla loży wolnomularskiej.

Po bliższe szczegóły tych spustoszeń i rezultatów nowych rządów, co miały wielkość, szczęście i potęgę zapewnie, odsyłamy czytelników do znakomitej broszury publicysty rzymskiego, hrabiego

Soderini, wiernego przyjaciela Polski i Polaków, a ożenionego z Warszawianką. Dowiedzieć się z niej można, że w Rzymie zamknięto i rozpędzono dwieście kilkadziesiąt zgromadzeń zakonnych, w całych Włoszech kilka tysięcy, a dobra, domy, kościoły, biblioteki skonfiskowano i na inne obrócono cele. Targnięto się na własność już nie kościelną tylko, ale międzynarodową, gdy skonwertowano dobra i fundusze Propagandy, źródło wszystkich misyj na świecie, na rentę państwową, która jutro przy opłakanym stanie finansów państwa będzie tylko czczym tytułem. Hr. Soderini przedstawiwszy przedmiotowo, *sine ira et studio*, obraz dwudziestolecia nowych rządów w Rzymie i we Włoszech, w konkluzyi wykazuje konieczność zwrotu z torów polityki sekciarskiej, która przez jedyną pobudkę nienawiści Kościoła pcha państwo i społeczeństwo w bezdeń. Autor zostawia do domysłu możliwość porozumienia i *modus vivendi*.

Konkluzya ta wydała się w sferach watykańskich zbyt śmiałą — nowe odznaczenie dla autora ze strony Ojca św. dowodzi, że nie była ona przeciwną myśli Leona XIII.

Ugoda między Watykanem a Kwirynałem jest zasadniczo niemożebną. Na dwa majestaty, papiezki i królewski, nawet stary Rzym jest zamały. Rozumiał to już Konstantyn Wielki, gdy przeniósł stolicę cesarstwa nad Bosfor, a siedzibę władz cesarstwa zachodniego nad Adryatyk, do Rawenny. W Rzymie jest tylko miejsce dla jednej władzy, ale światowładczej pogańskich cezarów lub pa-

pieży chrześciańskich. Spotykamy codziennie na Corso pojazd królewski z czerwoną liberyą, a królowa Małgorzata uprzedza publiczność pięknemi ukłonami. Trudno nie oddać ukłonu królewskiej parze, choćby przez współczucie, tak im tu niewygodnie i tak niepięknie nad Tybrem, gdzie ich zagnał i więzi prąd rewolucyjny. Staje pytanie: kto w większej niewoli, czy Papież zamknięty w Watykanie, ale niezawisły od nikogo i otoczony hołdami pielgrzymów z całego świata, czy ten król, na łasce p. Crispiego i p. Lemmi, zwierzchnika masonów, w tym Kwirynale papiezkim, od którego wszyscy stronią. Przechodzimy przez Monte Citorio, gdzie świeżo przed bramą parlamentu pękła bomba. — Wszystko tu małe i niskie — ludzie, ustawy, polityka, na miarę drugorzędnego państwa, nie na miarę Romy i Italii. Dziś zjednoczone Włochy mniej znaczą na świecie, niż przed wiekami Rzeczpospolita wenecka lub genueńska, nie mówiąc już o bogactwach, o sztuce na dworze Medyceuszów, o kulturze któregokolwiek z dawnych municypiów. Sarkanie na przeciążenie podatków, upadek handlu i przemysłu słychać od Wenecyi po Sycylię i wszędzie budzi się żal dawnych czasów. Zjednoczone królestwo ma piętno tymczasowości, jest chwilową formą ducha rewolucyjnego. Przez jaką ewolucyę czy rewolucyę półwysep znów wróci do form municypalnych i federacyjnych, z historyą i naturą Włoch zgodnych? Wielu mniema, że wtedy stosunek papieży do Włoch łatwiej się unormuje.

Nie o Państwo Kościelne w dawnych granicach i warunkach już chodzi, ale o niezawisłość polityczną Papieża. Kto nie jest panującym, ten jest *ipso facto* poddanym. Z chwilą, w którejby się otwarła bronzowa brama, wiodąca na schody watykańskie dla wysłańców Kwirynału, szedłby nią woźny sądowy z pozwami do Papieża za każdą allokucyę i encyklikę, jak idzie do pałaców biskupich we Francyi. Katolickie i innowiercze państwa przestałyby się liczyć z powagą biskupów rzymskich, zależnych od rządu włoskiego, a narody katolickie w swych krzywdach i niedoli utraciłyby ten trybunał ojcowskiej miłości, rzecznictwa, obrony.

Władza papiezka od 23 lat zawieszona między ziemią a niebem W tych anormalnych warunkach rozwija niezwykłą dzielność i lotność, urok jej się wzmaga, powaga olbrzymieje. Spadły okowy polityki państwowej, które niekiedy Stolicę św. przykuwały do tego lub innego systemu europejskiego. Ucichły już także owe dyplomatyczne kombinacye, które niebawem po zaborze Rzymu w kołach monsignorów, dam cudzoziemskich, opiekujących się Kościołem, wskazywały wybawcę i mściciela to w tym, to w innym zagranicznym mocarzu. Czekano wtenczas na zwycięztwa Don Carlosa, monarchię francuską lub nawrócenie się cara, a niekiedy i ks. Bismarcka. Może to przypadek tylko, ale w tej drugiej naszej pielgrzymce nie zdarzyło nam się nam spotkać tego, co przed dwudziestu laty zmniejszało wielkość sprawy rzym-

skiej, dla której odpowiednią miarą chyba te ruiny Colosseum, nawy św. Piotra, podziemia katakumb. Drobne kombinacye dyplomatyczne, drobiazgowa dewocya, mająca tyle z pobożnym komerażem wspólnego, bo zaczyna zawsze od podejrzywania i gorszenia się, ów sentymentalny mistycyzm salonowy, który miewał zawsze w pogotowiu stare przepowiednie i świeże niestwierdzone kościelnie fakta cudowności — to wszystko ucichło i znikło. Zostały się tylko rzeczy wielkie: wielka groza położenia, Rzymu i świata, wielka sprawa, obejmująca kulę ziemską a sięgająca do nieba, i wielki Papież, chwiejny ciałem, a duchem wstrząsający światem, aby go znów utwierdzić na opoce Piotrowej.

„Czarni“ posiwieli — jak mówi Julian Klaczko — a „biali“ do reszty się zbrukali. Podobno ścieśnił się zastęp wiernych, co w sferach arystokratycznych i światowych strzegli nad Tybrem granicy między Watykanem a Kwirynałem. Z biegiem czasu muszą powstawać szczerby i tworzą się t. zw. *accomodements* w stosunkach towarzyskich, nawet politycznych i religijnych. Wszak klątwa cięży na zaborcach Rzymu, a jednak król ma przybocznego kapelana, rodzina zaś królewska daje wzór pobożności, zresztą dziedzicznej w domu sabaudzkim. Gdy umierał Wiktor Emmanuel, Pius IX słał jednego za drugim kapłana zaufanego, z najszerszemi odpustami, nie wzbronił kościoła Panteonu na grób, choć jego grób miał być znieważony przez sekciarzy. Armia ma kapelanów wojskowych,

a w stosunkach kościelnych ciągłe z władzą świecką bywają styczności. Wszystko to nie jest przyznaniem faktu 20 października 1870 r., faktu zaboru, ustępstwem ze stanowiska *non possumus*, lecz tylko wypływem głównego celu, jakiego na ziemi strzeże Kościół i Papież: ratowania dusz dla Nieba. W encyklikach i allokucyach Papieża, ilekroć Leon XIII przemawia do Włochów i Rzymian, coraz mniej słów protestu o gwałt zadany prawom Stolicy św., rzadko affirmacya władzy doczesnej i nadzieja restytucyi — natomiast coraz silniej, coraz żałośniej rozbrzmiewa boleść ojcowska na spustoszenia moralne, profanacyę wiecznego miasta, zgorszenie ludu, zuchwalstwo niewiary, utratę dusz w samej stolicy chrześciaństwa i w całej Italii. — Gdy ten prąd przepłynie, co on po sobie zostawi? Kilka ulic wyprostowanych na wzór szablonowych bulwarów i ringów.

Czy wsiąknie aż do dna nauka ateizmu, prasy, szkoły, propaganda nienawiści Kościoła, wpływ tych sekt starych i nowych od protestantyzmu aż do satanizmu, które się gnieżdżą wśród tylu świętości? Przypomina się Massynissa z *Irydiona* ten szatan dziejów odbywa tu swoje orgie. Czy wiele dusz w tym wirze przepada, a ten ściek bezbożności czy spływa do dna? W każdej wycieczce nawiązywałem wszędzie rozmowę z ludźmi z ludu rzymskiego i nigdy nie spotkałem wzgardy dla religii, nawet lekceważenia księży lub Papieża. Sekta ma swój tłum, który niekiedy wysuwa naprzód, aby zaczepić zagranicznych pielgrzymów,

ale Rzymianie z tym tłumem się nie łączą. Jak przez jeziora szwajcarskie przepływa Ren, a wstęga jego wód ciemnych oddziela się z błękitu wód jeziora, podobnie zalew t. zw. po rzymsku *buzzurrów*, tych co przybyli z nowym rządem, nie zlewa się w jedno z ludnością rzymską. I nietylko w Rzymie, ale w całych Włoszech, odrębną kastę stanowi ta intelligencya liberalno-bezwyznaniowa, którą sekta prowadzi po drodze politycznej lub urzędowej karyery. U góry i u dołu pobożność nienaruszona. Cokolwiek mówi nasze przysłowie o nabożeństwie włoskiem, wielką jest głębia tego jeziora, bezdenną wiara Rzymian i Włochów. Zwyczajem jest wyśmiewać się z włoskiej dewocyi, a podziwiać naiwną pobożność mistrzów przedrafaelskich. Gdy patrzymy na freski Giotta lub Cimabuego, tegosamego błogiego doznajemy uczucia, jak w tych pobożnych zakątkach, kaplicach cudownych, wotami obwieszonych, a gdzie ludu zawsze pełno. Tylko w Polsce bywają podobne kościoły, tak wymodlone gorąco, jak Ara Coeli, więzienie Mamertyńskie, i tyle miejsc pobożnych w Rzymie i we Włoszech. Wspaniałość wielkich bazylik tak nie porywa ducha do Boga, jak te uboczne zakątki, ulubione przez lud do modlitw, ofiar, ćwiczeń pobożnych. Obok starych powstają nowe a tak tu czuć wiarę żywą jakąś prostą i pełną ufności, choć może napozór pomięszaną z zabobonem i dziwaczną. Kto wié, czy wyśmiewanie pobożności ludu włoskiego nie jest także dziełem ludzi niewiary. Nie jestto ciemna zabo-

bonność, gdy to nabożeństwo łączy się z zadziwiającą znajomością historyi, ojczystego miasta, dziejów Kościoła, świadomością tradycyj i legend, miłością pomników, pewnem znawstwem sztuki wśród ludu. Jak w Rzymie, tak w całych Włoszech nie potrzeba Baedekera ani przewodników, każdy *veturino* najlepszym *ciceronem*, a każdy *facchino*, choćby w łachmanach, z dumą wskazuje pomniki swego miasta, wymienia mistrzów, opowiada dzieje Włoch, a najgoręcej żywot *del Santo della città*. Naród, który wydał tylu wielkich świętych, a pamięć ich tak chowa: Antoniego w Padwie, Franciszka w Assyżu, Katarzyny w Sienie, Karola w Medyolanie, Januarego w Neapolu, a w Rzymie od grobu Apostołów do najuboższych i najcichszych, jak Józef Labre, o żadnym nie zapomina — ten naród, ten lud ma wielkie łaski u Pana Boga, ma opiekunów i patronów nad sobą, ma olbrzymi kapitał ducha chrześciańskiego. Nie, nie dostanie się do dna duszy ten zalew — on spłynie po powierzchni. Aby zmierzyć to, co kryje w sobie duch rzymski, całą potęgę chrześciańską narodu włoskiego, dość wspomnieć, że w naszem stuleciu z niego wyszli Mastai Ferretti i Joachim Pecci.

A szczęśliwy ten, któremu było danem uklęknąć przed dwoma wielkimi ludźmi wieku i otrzymać błogosławieństwo dwóch wielkich Papieży. Ten stłumi najgłębszy ból serca i z wiarą patrzeć winien w przyszłość chrześciaństwa.

NEKROLOGIA.

DO WSPOMNIEŃ O AUGUŚCIE CIESZKOWSKIM.

W Wenecyi tuż obok hotelu na Canal Grande, gdzie przed dwudziestu laty po raz drugi w życiu spotkałem Augusta Cieszkowskiego — otrzymuję wiadomość, że to imię świetne już nie należy do żyjących, choć nie zagaśnie dla przyszłości.

Czytane przed laty książki wymagałyby nowych i głębszych studyów a innej niż piszącego kompetencyi, aby naznaczyć stanowisko zmarłego myśliciela wśród przewodnich duchów Polski, zwłaszcza, że on wyjątkowo po za polskim widnokręgiem zajaśniał na europejskim horyzoncie.

Wspomnienia kilku spotkań w szczęśliwych warunkach otoczenia, które co bywało rzeczą rzadką usposobiły do dłuższych i większych wynurzeń zwykle w sobie zamkniętego mędrca — wracają dziś tak żywo w pamięci, że uczuwam potrzebę zaznaczenia tych wspomnień. Może dostarczą one jakiegoś rysu przyszłym biografom i komentatorom wielostronnego i genialnego pisarza.

Opiekuńczej przyjaźni Jerzego Lubomirskiego zawdzięczałem pierwsze zbliżenie do Augusta Cieszkowskiego.

Publikacya książki na zakrój historyozoficzny, ale o znamionach studenckiej próby pióra — była powodem, że książę Jerzy zapytał o zdanie tego, z którym go łączyło wspólne z Zygmuntem Krasińskim braterstwo dusz. Zbyt łaskawa i zachęcająca odpowiedź dała pohop początkującemu do podróży do Drezna.

Daremnie atoli pukałem kilkakrotnie do mieszkania hr. Cieszkowskiego w hotelu *Belle vue* nad Odrą w r. 1864. Miał on zwyczaj wówczas spać w dzień, a w nocy pracować i odwiedzać w nocy znajomych. Z bijącem sercem otwierałem drzwi, gdy o północy przyszło mi u siebie powitać jednego z koryfeuszów literatury i nauki polskiej. Wstęp do rozmowy nie był łatwy. Daremnie siliłem się na odpowiedni frazes powitalny. Śmiech urywany, nerwowy był zrazu jedyną odpowiedzią. Potem dłuższa chwila milczenia. Późna godzina duchów i ta postać co miała w sobie coś widma, ta twarz o rysach Sokratesoskich — ten śmiech, a potem milczenie — wzbudzało w młodzieńczej wyobraźni wrażenie zjawiska nadprzyrodzonego, jakby na zaklęcie stanął duch milczący, i szydził tylko z zuchwałości tego, co go wywołuje. Wreszcie Cieszkowski przemówił — i mówił długo, bo gdy mnie żegnał była godz. 4 zrana. W kulcie Zygmunta Krasińskiego wychowany, chwytałem każde słowo jego drucha z zapałem. Autodydakt *vulgo* nieuk czułem przepaść dzielącą mnie od dostojnego interlokutora stojącego na szczytach wiedzy.

Nieznałem ani *Prologomenów* ani *Gott und die Palengenesis*. Czytałem tylko *Ojcze nasz* a młodość

o niczem nie wątpi, intuicyą dorabia to do czego niema przygotowania. Na młodych wówczas padały ostatnie promienie wielkiej epoki poetów i filozofów polskich. Ci zwłaszcza, którzy jak Krasiński i Cieszkowski sięgali po za zagadnienia, dotyczące samej Polski w sferę wszechludzką, w przyszłość świata — wydawali nam się następcami skrzydlatych husarzy i rycerstwa polskiego, bo jak tamci orężem ci myślą przybywali z odsieczą chrześciaństwu, nowe jego zwiastując tryumfy. Wszak oni głosili zwycięstwo Ewangelii w prawach i ustroju państw i narodów, zbliżenie Królestwa Bożego na ziemi, pojednanie wolności z Kościołem; wiedzy z wiarą, miłość wszystkich warstw, braterstwo wszystkich narodów, oswobodzenie wszystkich ojczyzn.

Prawda, że zachód tych słońc, gaśnięcie tych gwiazd zlewało się z łuną pożarów i pożogi, od których tem czarniejsza w koło odbijała noc. Krwawy dramat, który właśnie się kończył za kordonem rosyjskim miał prolog jakby z *Przedświtu* lub *Resurrecturis* — więc wątpić niemożna było, że i epilog w tych księgach znajdzie rozwiązanie i niebawem jutrzenka zaświta...

W tym nastroju słuchałem autora *Ojcze naszu*, a jakież było zdumienie, gdy potępiając nieszczęsny ruch, potwierdzał teoryę Napoleona III *inertia sapientia*. Sen — mówił Cieszkowski dalej — jest koniecznym warunkiem utrzymania organizmu człowieka — więc bywa potrzebnym i zdrowym także dla narodów. Niedarmo Opatrzność wytrąciła Pol-

skę z pośród narodów żyjących na to stulecie kupiectwa, przewagi materyalnej siły, nad wszelkiem prawem, czci złotego cielca, sponiewierania wszelkiej świętości. Chciała nas Opatrzność uchronić od orgii zniszczenia, od bachanalij używania, od targu pogańskiego, prostytucyi ducha. Gdy prześpimy to stulecie, zachowamy my jedni to, co inni w sobie zatracą, spuściznę duchową ojców i wiarę w przyszłość. — Obudzimy się silni i zdrowi do działania w wieku XX, gdy zabłyśnie nowa era dla ludzkości. Utrzymujmy tylko normalne funkcye narodowego organizmu pracą ekonomiczną i pracą cywilizacyjną — to są drogi ducha. Lecz nie dawajmy na zewnątrz oznak życia, nie przypominajmy się światu, bo nas do reszty roztrąci — nie łączmy się ani z białymi, ani z czerwonymi — tam szalbierstwo — tu pogaństwo i dzikie instynkta. Niech się dramat tego stulecia bez nas rozwiązuje. My zachowajmy się na przyszłą epokę — *faisont les morts*, spijmy, bierzmy poduszkę pod głowę.

Dosłownie niemal przytaczam zdania, bo spadły na mnie wówczas, jak paradoksa rozpaczliwe, to znów, jak sentencye mędrca. Dziś jeszcze niewszystko do przyjęcia, a wiele do rozwagi podają te myśli. Ileż-to razy wracały one w ciężkim zawodzie dziennikarskim, gdy chciano sztucznie budzić ducha i przypominać się światu kosztem reszty sił żywotnych, gdy *inertia sapientia* przedstawiała się jako jedyna droga przetrwania katuszy, a owe słowa *faisont les morts* jedynym sposobem odwrócenia owych zbirów, co na pobojowiskach chodzą dobijać rannych.

W lat dziesięć później na placu Św. Marka w noc księżycową byłem świadkiem spotkania dwóch dawnych druchów: Jerzego Lubomirskiego i Augusta Cieszkowskiego. Wracał także z Rzymu ks. Wacław Sztulc, tłomacz Mickiewicza i Krasińskiego. Cieszkowski w starych kancelaryach weneckich czynił wypisy ze starych aktów Rzeczypospolitej panującej nad Adryatykiem z Rzecząpospolitą opartą o Bałtyk i morze Czarne. Plon był bogaty kilkoletniej pracy i nakładu. Wieczorami czytywał nam wyciągi z dawnych not dożów i *signoryi* do królów i senatorów polskich. Cieszkowski oddany tym pracom historycznym, zostawał w ciągłej korespondencyi z O. Theinerem, popierając jego publikacye dotyczące Polski i biorąc na siebie część ich kosztów — zostawał w korespondencyi z uczonym kardynałem Högenröthe-rem i innymi, którzy w archiwach włoskich pracowali nad sprawami Polski i Słowiańszczyzny.

Równocześnie wszechstronny jego umysł zwracał się do spraw ekonomicznych. Wiadomo, jakie we Francyi zdobył sobie imię i powagę dziełem *Du credit et de la circulation*. Proudhon w jednej ze swych broszur mówił, że gdyby minister którego kraju miał czwartą część geniuszu Cieszkowskiego, ten kraj mógłby się zwać szczęśliwym. Pochwałę mistrza socyalizmu równoważy uznanie ekonomistów francuskich, którzy powołują uczonego polskiego na honorowego członka swego grona oraz na przewodniczącego kongresów ekonomicznych. Cieszkowski zwracał zwłaszcza uwagę na szkołę

le Playa i przywiązywał wielką doniosłość do reformy społecznej. Zwracając się na dół ku warstwom robotniczym — określał także zadanie arystokracyi w nowoczesnym ustroju społeczeństwa, a rozprawa jego w tym przedmiocie nieminęła wśród szlachty francuskiej bez wrażenia, choć u nas prawie zupełnie jest nieznaną.

Zajmując się historyą, ekonomią, nawet statystyką nieprzeniewierzał się filozofii, która to wszystko w sobie mieści i razem wiąże. Nastała w całej Europie, a nawet w Niemczech reakcya przeciw filozofii i metafizyce, której może poprzednio nadużywano. Pozytywiści francuscy z Augustem Comtem i Littrém dorabiali wówczas nowe dogmata i mity z cyfr ścisłych nauk wysnute. Materyaliści niemieccy z Büchnerem na czele odrzucali wraz z teologią wszelką filozofią — a po mity i dogmaty sięgali do małpy. Idealizm panteistyczny z pastorem Schlejermacherem dogorywał. Znany proferor berliński Michelet, aby temu prądowi przeciwstawić nowy ruch, utworzył w Berlinie grono filozoficzne, a August Cieszkowski był jednym z promotorów tego powrotu do kwestyi ogólnych, do badań oderwanych o przyczynach przyczyn. Tu już nie był tylko idealizm, ale deizm z barwą chrześciańską. W dziele Micheleta *Gott und die Unsterblichkeit* w formie platońskich dialogów, „przyjaciel ze wschodu“ wypowiada rzeczy najgłębsze i rozstrzygające, a tym przyjacielem autor dzieła *Gott und die Palengensis.*

Niebrakło więc wątku do nocnych rozmów w hotelu nad *Canal Grande*. Odczytywano listy z Rzymu i Berlina, rozbierano broszury i odbijały się tu fale idei silniej, niż fale Adryatyku na Lido z różnych prądów ducha wieku i ognisk nauki.

Cieszkowski wracał z Rzymu — a było to niebawem po zaborze wiecznego miasta. Na politykę zwykł był z wyżyn filozoficznych spoglądać i miał ten optymizm myśliciela, co lepiej widzi dalekie przyszłości horyzonty, niż się lęka burz chwili.

Mimo tego przejmowało go grozą widowisko drżącej kopuły św. Piotra od strzałów wchodzących przez *porta del Popolo* karabinierów. W słowach jego odzywał się głos Zygmunta z Trzech myśli Ligęzy.

Ten, którego uznać trzeba jako pogromcę mistrza Hegla, niedość od jego formuł wyzwolony, budził niekiedy wątpliwość, czy w swym idealizmie nie rozmija się niekiedy z ścisłą dogmatyczną ortodoksyą. Rozdzielanie rządów ludzkości według trzech osób Trójcy — na epokę Boga Ojca panującego nad światem starożytnym — epokę Syna Bożego w dotychczasowych dziejach chrześciaństwa i epokę Ducha Śgo mającego zapanować nad przyszłością świata, jeśli nie wytrzymuje próby dogmatu katolickiego jest zawsze hipotezą wierzącego ducha. Raz August Cieszkowski zagadnął kolegę z parlamentu ks. Janiszewskiego: czytałeś *Ojcze nasz*, co o nim mówisz? — czytam *Ojcze nasz* odrzekł Janiszewski tego, który nie powiedział dotąd *Credo*.

Autor *Ojcze nasza* miał katolicyzm subjektywny, czuł się synem Kościoła, chciał nim być w życiu, w działaniu i w myśli. Niepodpisał swego dzieła do którego największą przywiązywał wagę — i filozof anonim jak jego przyjaciel poeta-anonim, lubił zaprzeczać swego autorstwa w niepewności, czy się nie rozminął z dogmatem, w nadziei, że czas stwierdzi jego ortodoksyą.

Raz już tylko wziął pióro do ręki w *Drogach ducha* nawiązał jakby struny jednej arfy, której podstawą ziemia, a szczytem niebo; różne zawody pracy ludzkiej od rzemiosł i rękodzieł do sztuki i nauki. Wszystko to drogi, co wiodą człowieka do Boga, to struny tej arfy, które winny harmonijną wydawać melodyą.

We wzroku myśliciela było coś, co sięgało na daleką metę — dalszą, niż bezpośrednia przyszłość. Wróżył więc zakończenie wojen i zaborów — niebawem przed wielką wojną niemiecko-francuską, która kto wie czy nie była ostatnią wielką wojną europejską.

Jesteśmy pogrobowcami wielkiej epoki w literaturze polskiej. Jak ją przyszłość nazywać będzie: czy złotym wiekiem poezyi i umysłowości polskiej — czy epoką wielkich boleści i wielkich miłości? Dość, że ilekroć uderza dzwon żałobny i znika jedno z tych nazwisk — zwykliśmy powtarzać „ostatni“.

August Cieszkowski nietylko zajaśniał pierwszorzędną gwiazdą tego okresu wielkich duchów polskich — ale miał ten wyjątkowy wśród nich

przywilej, że zdobył imię europejskie. Mniej od innych w kraju zrozumiany i rozszerzony — działa w Polsce mniej na ogół, ile na tych, co stali u szczytu narodowej myśli. Nie pominie go historya filozofii w Niemczech, ani historya nauk ekonomiczno-społecznych we Francyi.

Ma on jakby dwa oblicza: jedno mistyczne zwrócone ku Polsce, drugie chłodne, lecz pogodne, zwrócone ku Europie. Tu stanowi on jedną fazę w wulkanicznych walkach uczuć i myśli, jakie przebywaliśmy w sferze poezyi i filozofii — tam stanowi jedno studyum w postępie wiedzy, czy o prawdy filozoficzne, czy o prawidła chodzi ekonomiczne.

Rzucam te kilka wspomnień i myśli, skreślonych bez ładu wśród pospiesznej podróży w odczuciu wielkiej narodowej straty.

Wenecya 18 marca 1894 r.

JAN TARNOWSKI.

Nad grobem przedostatniego marszałka kraju, następca jego w godności i urzędzie sięgnął z darem jemu tylko właściwym do głębi uczuć i przejść wspólnych pokolenia, do którego Jan Tarnowski należał, którego był najzacniejszym przedstawicielem. W krótkim wizerunku czuć było braterstwo serc i myśli, brakło tylko tła rodowych tradycyj. Gdy mowa o Tarnowskim, trudno nie sięgnąć w tę przeszłość historyczną.

Przeczą często idei arystokratycznej w ustroju Polski. Nie mieliśmy w średnich wiekach zupełnego feudalizmu, a następnie w walce możnych z gminem szlacheckim przeważał prąd demokratyczno-republikański. Oba te żywioły panów i szlachty równe mają winy, ale oba miewają chwile jasne w dziejach. Taką jasną chwilą dla panów małopolskich była epoka Polski w rozkwicie. Zjednoczeniu napowrót rozdartego między książąt dzielnicowych państwa dopomogła ich rozumna polityka; ich dziełem jest początek unii za Jadwigi i ustalenie unii za ostatniego Jagiellona. Panowie małopolscy, wolni od uroszczeń

feudalnych, od czternastego do połowy szesnastego stulecia mają przewagę, a nie wpadają jeszcze w samowolę i oligarchię, która rozwija się i potęguje od reformacyi. I nietylko w Polsce ten jest początek wewnętrznego rozkładu — wszak od reformacyi książęta lenni rozrywają na sztuki cesarstwo rzymsko-niemieckie, że z niego tylko tytuł pozostał. Pod ową epokę rosnącej i kwitnącej Polski, przez dwa stulecia jaśnieje dom Leliwitów, a kto wie, czy nie u szczytu tego wzrostu Polski stoi postać hetmana z Tarnowa, słynnego z dzieł rycerskich zagranicą i w kraju, bohatera z pod Obertyna, niemniej górującego wysoką kulturą i rozumem stanu.

Gdy młodsze, później występujące na widownię rody potężnieją polityką kolonizacyjną na Rusi, Tarnowscy ustępują im kroku, zachowują bez przymieszki oligarchicznej świetne tradycye panów małopolskich, tradycye Leliwitów, panów na Melsztynie, Tarnowie, Jarosławiu.

W zamku dzikowskim, żałobą dziś okrytym — w tej pięknej sali, gdzie się zawiązała za Augusta II konfederacya dzikowska, gdzie świeżo żałobne zebranie z całego kraju składało hołd pośmiertny, wśród licznych zbiorów dzieł sztuki i starożytności, przechowały się dwa najcenniejsze zabytki: buława Jana Tarnowskiego i laska sejmu czteroletniego Stanisława Małachowskiego.

Godła te i tradycye wspominamy nie dla panegiryku heraldycznego. Lecz są postacie, które się nie dadzą oddzielić od tego tła tradycyi rodowej!

Co więcej, stwierdzić raz trzeba, że w naszem stuleciu idei demokratycznych, wieku upadku i niewoli, gdy ani duma, ani żądza sławy i władzy nie miała dla siebie pola, nastąpiło odrodzenie wszystkiego, co było szlachetnem, zaszczytnem i pięknem w historycznych rodach polskich.

W galeryach portretów familijnych znikną z tej epoki figury w karmazynach, zastąpią je wizerunki tylko wewnętrzną zdobne godnością, świecące blaskiem poświęcenia, ofiary i cierpienia. Jedni podejmowali tarcze rodowe zardzewiałe, lecz bez zmazy, aby je znów dźwignąć wysoko. Inni rwali się do czynu, aby winy ojców zatrzeć w pamięci narodu, a przypomnieć ich zasługi. Od towarzyszów księcia Józefa snuje się ten orszak — przez legiony, rok 1831, dalej na wychodźtwie pod wodzą Adama Czartoryskiego, aż do zesłańców Kaukazu i Sybiru. Odtrącając wszelkie zaszczyty i pokusy, śpieszą synowie wielkich rodów z ofiarą życia, ziemi, spuścizny, stanowisk — bez wahania, bez nagrody.

Ostatnie padają ofiary z Juliuszem Tarnowskim, który dzieckiem bawić się musiał buławą wielkiego protoplasty, skoro przyszło mu ledz na pobojowisku, gdy na ochotnika szedł zdobywać wały nad Wisłą.

Odtąd nastają inne czasy — pełne tragiczności, inne warunki — pełne realizmu; ale ten sam duch bohaterski nie gaśnie — szuka tylko innego pola poświęceń, innej formy działania, inaczej skuteczniej chce służyć tej samej sprawie.

Trzech synów i dwie córki odumarł Jan Tarnowski, syn kasztelana Królestwa Polskiego, urodzony ze Strojnowskiej — mąż, o którym świadczą ci, co go znali, że brakło tylko warunków w kraju, aby wystąpiła w pełni jego zdolność i niezmierna zacność na wzor dla społeczeństwa.

Wdowa Gabryela z Małachowskich, urodzona ze Stadnickiej, linii sędziszowskiej, stanęła na czele rodziny. Wdowy w Polsce miewają osobne łaski u Pana Boga do spełnienia zdwojonych obowiązków smutnego swego losu. Nieraz widzieliśmy fortuny zachwiane, które rząd kobiecy na nowo dźwignął — a nigdy prawie wychowanie wdowy nie zawiodło, bo synowie wcześnie uczuwają obowiązek wynagrodzenia trosk tej, co sama pozostała, aby wziąć za ich przyszłość odpowiedzialność. Tu trosk materyalnych nie było — lecz wysoką musiała być dusza, podniosłem serce, niezwykłym umysł tej wdowy, co taki nadała kierunek synom. Trzeba się zbliżyć do tej rodziny, aby poznać ślad tej matki w niezwykłej miłości między rodzeństwem, w czemś hierarchicznem i patryarchalnem, co tę rodzinę trzyma tak zawsze wysoko i w tych celach wspólnych a wzniosłych, które jej przewodniczą w życiu.

Najstarszy Jan był jeszcze młodzieńcom, kiedy był już głową rodziny i wywierał ojcowską opiekę na młodszych braci.

Rzadko doświadczenia poprzedniego pokolenia oddziałują — wszak każda generacya chce za siebie nowych szukać dróg: nie masz skuteczniej-

szego przykładu, jak młodych na młodych. Od czasów szkolnych i uniwersyteckich, trzech Tarnowskich otaczała sława dobrych nauk, wzorowych obyczajów, szlachetności celów. Kraj patrzał na nich jako na swoją nadzieję. Każdy ojciec wskazywał ich na wzór synom, a my wszyscy, nieco młodsi, szliśmy za nimi. Imię tak mile brzmiące w uchu polskiem, świetność stanowiska, osobiste dary i talenta, wszystko ten wpływ przykładu, te nadzieje społeczeństwa powiększało.

Spełnienia tych nadziei nie dożyła matka. Bóg w swem miłosierdziu odwołał wdowę, gdy spełniła zadanie wychowania synów — nie dał dożyć pełnej chluby i nagrody, ale zarazem nie dał przeżyć najcięższej ofiary.

Trzydzieści lat upłynęło — a jak za młodu na studentów, ten przykład braci Tarnowskich nie przestał na nas oddziaływać. W każdej sprawie i na każdem polu miło i bezpiecznie iść tam, gdzie idą Tarnowscy.

Wpływ i wzór wywiera się na społeczeństwo w trojaki sposób: działa on czasem doraźnie, tragicznym, bohaterskim wypadkiem: on zginął bez wiary w zwycięstwo — nietylko *pro honore domus*, ale na to, aby nie powiedziano, że synów szlachty nie było, gdy padały krwawe ofiary. Wpływ szeroki to ten, co się udziela siłą talentu, propagandą idei i zasad piórem i żywem słowem, wyjątkowemi darami i wyjątkową pracą dla ogólnych celów. Kto wie, czy nie najgłębiej i najskuteczniej wnika trzeci rodzaj wpływu i wzoru

przykład codzienny, stosunki najbliższe, praca wzorowa na ojczystym zagonie, wpływ, że tak powiem patryarchalno-terytoryalny na lud, na podwładnych, na sąsiedzkie koła, ztąd na ogół obywatelstwa i na kraj cały.

Jan Tarnowski tak oddziaływał. Każda myśl wtedy nabiera rzetelnej wartości, kiedy się praktycznie w czyn przemienia. Nie dość wskazać drogę — trzeba na nią samemu wstąpić, aby drugich prowadzić, trzeba złotą nić wyższej myśli w pasmo codziennego wprzęść życia. Tego zwłaszcza domaga się nasze społeczeństwo ziemiańskie, aby z nim dzielić na zagonie jego trudności, obowiązki, zadania — wtedy zdwaja się ufność i łączność ustala.

Powołanie obywatela wiejskiego w Polsce jest tak szerokie, a często trudne, że może wystarczyć i zapełnić życie mężów najznakomitszych. Byłoby wystarczyło Janowi Tarnowskiemu to stanowisko wiejskie w zamku dzikowskim, przy straży tradycyi, w wcześnie podjętej i wiernie spełnianej posłudze obywatelskiej i krajowej, na czele rodziny, w pracy rolnika, z czynnym udziałem w sprawach krajowych od młodości.

W czasach porozbiorowych bywały pokolenia rwące się do czynu: u tych, co stali wyżej, odradzała się niekiedy dawna butność — u dołu powstawał zamęt i prężenie w górę — stąd zapasy tych, aby nie ustąpić z wyżyny — tamtych, aby się na wierzch wydostać. Zdawało się niekiedy, że zimno i duszno pogrobowcom w powalonym

gmachu przodków, że wśród ruin i zwalisk starej Rzeczypospolitej zbudziły się duchy dawnych stuleci i nie mogą się pomieścić, szukają szerszej widowni.

Potem nastały czasy coraz cięższe, brakło pola do zapasów, osób i stronnictw. I wyrosło na tę dobę pokolenie z połamanemi skrzydłami, nie wolne od popędu bohaterskiego, ale wolne od politycznej ambicyi. Polityczna ambicya wszędzie bywa nader cenną, niekiedy niezbędną sprężyną do czynu. Jej zupełny brak jest wadą męża politycznego i był też jedyną wadą Jana Tarnowskiego. Brak tej sprężyny zastępował inny bodziec do działania, bezgraniczny kult obowiązku, cnota publiczna. Etycznie o ileż wyższy ten głos obowiązku od głosu miłości własnej.

Dziwnie też piękne pod względem moralności politycznej są ostatnie karty historyi Galicyi. W Polsce rzecz niebywała, a rzadka w historyi wszystkich narodów, aby o dostojeństwo i przewodnictwo nie było współzawodnictwa i walki — a ten, na kogo padł los, przyjmował godność jako ciężar i ofiarę, nie zaś jako cel pragnień. Rzadszem jeszcze i cenniejszem było zwycięstwo nad staremi wadami narodowemi, że w tym ostatnim okresie historyi kraju nikt nikomu nie zazdrościł, nikt nikomu nie stawał na drodze, nie przeszkadzał w działaniu — lecz owszem, mężowie przewodnich stanowisk zamiast współzawodnictwa dopomagali sobie nawzajem.

Patrzyliśmy zblizka na ten wyjątkowy fenomenalny objaw psychologii politycznej, zwłaszcza w Polsce, gdy po Zyblikiewiczu Jan Tarnowski przyjmował laskę marszałkowską i kiedy ją oddawał swemu następcy.

Zyblikiewicz mimo zewnętrznej szorstkości, którą tak uwydatnił Matejko w portrecie, był to wielki pan wśród demokracyi polskiej — szlachcic w każdym calu, co wyrósł z ludu. Niechętnie przyjął — skoro złożył laskę, bez dumy gdy wstępował, bez goryczy gdy schodził z krzesła marszałkowskiego. Nie chciał, aby po nim przedłużał się wakans — on to przynaglił Jana Tarnowskiego do przyjęcia tej naczelnej godności.

Z radością głosił, w jak szlachetne składa ręce laskę, że kraj, że przeszłość historyczna, że Polska cała z dumą spoglądać będzie na najzacniejszego męża, który stanął u steru.

Jan Tarnowski bronił się szczerze i ujął laskę dziada, pod którą uchwaloną została konstytucya 3 maja — nie bez żalu za ciszą zamku w Dzikowie, nie bez ofiary wobec rozległych zajęć w zarządzie obszernych posiadłości w Galicyi i Królestwie, nie bez nieśmiałości, ażali sprosta trudnemu zadaniu. Zasiadł krzesło marszałkowskie z poczucia, że tak trzeba, że to winien krajowi, a może, że winien przodkom i potomkom, aby nie powiedziano, że Tarnowski kiedykolwiek od służby kraju się uchyla.

W Wydziale krajowym zasiadł do prezydyalnego biura i pracował nieznużenie. Żadnej nie-

puszczał lekko sprawy, nie położył podpisu bez zbadania aktu — a aktów stosy co wieczór składają na stole marszałka — a w tej maszynie, którą miał kierować, był rozstrój. O trudnościach tego urzędu nie będę się rozpisywał — wiadomo, że ta korporacya naczelna, mająca pozory i odpowiedzialność konstytucyjnego gabinetu, a powstająca z wyborów kuryami, z naczelnikiem mianowanym przez koronę, jest anormalnością. Z samej ustanowy Wydziału wypływa jego niejednolitość, a niekonsekwencyę zasadniczą w atrybucyach i składzie tego ciała wyrównać tylko może dobra wola członków i moralny wpływ kierownika. Sprzeczności i różnice polityczne są nieuniknione tam, gdzie każdy z członków rady otrzymał mandat od innego koła, trudność zachodzi też niezmierna, aby rzeczowe, przedmiotowe traktowanie sprawy te różnice stronnictw i kierunków równoważyło. Trudność ta się podwaja gdy, świeża ręka obejmuje ster. Tarnowski znał te sprzeczności, bezstronnie oceniał prace i zdolności swych towarzyszy, miał baczne oko, aby szala nie przeważała na jedną stronę — do ustalenia harmonii niezmiernie się przyczynił, lecz mimo uznania i sympatyi, jakich na swym posterunku doznawał, czuł ową niejednolitość i sam wymagający od siebie, wymagać umiał od drugich.

W przewodnictwie na trzech z kolei sejmach rozlewał także ten pierwiastek etyczny spokoju i obowiązku, bezstronności i wyrozumiałości, z dążeniem, aby sprawy traktowano dla sprawy, nie

dla gry stronnictw. Niespodzianką była ta wymowa, jaką rozwinął. Dzierżąc poprzednio lat kilkanaście mandat poselski i inne ważne zajmując stanowiska — bywał sprawozdawcą, pracował w komisyach, nielubił popisów krasomowczych. Jako marszałek, wypowiedział kilka mów w sejmie i kilka poza sejmem, jak nad grobem Grocholskiego, Władysława Badeniego i na uroczystości mickiewiczowskiej w Krakowie. Bez czczych ozdób, były to głosy pełne treści i głębszej myśli — mające coś wyłącznego, indywidualnego. Zdziwił się wielce, gdym go niedawno zagadnął, kiedy zbierze i wyda razem mowy z czasów marszałkowskich na pamiątkę dla rodziny i kraju. Spełnić to nie zaniedba rodzina, a będzie to piękne świadectwo głębokiego umysłu i zacnej duszy.

Jak nie miał współzawodników, tak nie miał Jan Tarnowski w Sejmie opozycyi. Od niego się zaczyna ukojenie walki stronnictw i lepsza tych stronnictw organizacya. Złożywszy laskę, objął kierownictwo unii konserwatywnej. Mniejsza czy nazwa jest trafną, bo słowo konserwatyzm nie polskie i nie zbyt chrześcijańskie, nie zupełnie odpowiada myśli, jaką ma wyrażać. Bądź co bądź ten podział, to połączenie wszystkich żywiołów wolnych od doktryny postępowo-liberalnej, wszystkich żywiołów chcących iść naprzód, ale w zgodzie z przeszłością, całkowicie jest zgodny z naszemi stosunkami i potrzebami. W tej unii znika sprzeczność wschodu z zachodem kraju, tej lub innej koteryi uprzedzenia, wzmaga się łączność zdrowej

większości, aby ludzie nie błąkali się samopas i walka stronnictw nie utrudniała pracy ustawodawczej.

Myliłby się ten, ktoby mniemał, że spokój i harmonia, jaką dokoła szerzył Jan Tarnowski, była wypływem ustępstw lub miękkości, owej taniej zgody, którą tak często drogo okupywaliśmy w przeszłości. Nikt nie mógł wątpić, w jakim Jan Tarnowski stoi obozie: *suaviter in modo fortiter in re* nie przyjmował kompromisów, gdy o zasady i przekonania chodziło. Nie lubił się łudzić ani w sądach o ludziach, ani o sprawach. Stał obronnie i był z natury konserwatystą może i w tem, że więcej baczył, aby złemu przeszkodzić, niż aby podnieść inicyatywę zawsze wątpliwą.

Takim był mąż polityczny. Jednolity i prosty i tem się różnił od wielu współczesnych, że nie miał natury skomplikowanej. Pewny zawsze i jak łza czysty — powiedziano nad grobem: mąż pełen cnoty publicznej. Co jest podstawą i źródłem nowego bohaterstwa bez żądzy sławy i władzy, tego ducha pracy i ofiary bez politycznej ambicyi; co skłania do służby tych, których niezależność tak nęci, co każe iść w wir walki ludziom ciszy i pokoju?

Miłość kraju, patryotyzm oczyszczony z wszelkiej miłości własnej, kult obowiązku — ale te cnoty mają źródło wyżej.

Trzebaby zajrzeć do głębi sumienia i do życia domowego, aby poznać skarby wiary i cnoty chrześciańskiej. Spokój polityczny był wypływem spo-

koju duszy, której nie zamąciła przez całe życie jedna wątpliwość w rzeczach wiary, żadna burza namiętności, jakiekolwiek zboczenie z drogi, jaką przodkowie wskazali, a na jaką matka wprowadziła. Spokój był w duszy i spokój był w domu.

Trzebaby przytoczyć piękną mowę biskupa Łętowskiego, gdy łączył dwa hetmańskie imiona Zamoyskich i Tarnowskich przed ołtarzem królowej Jadwigi na Wawelu. Mowa ta była dobrą wróżbą dla dorodnej pary, którą znamionowała zewnętrznie godność, spokój, powaga. Bóg ochraniał długo to piękne stare ognisko rodowe nad Wisłą.

Śmierć nie rozrywa takich węzłów — ona tylko pozornie oddala i kirem nam zasłania drogie postacie, które w pamięci serca, w żalu rodzinnem stają się tem bliższe i ciągle obecne. Co my zmarłym zawdzięczamy, wie każdy co chował do grobu najbliższych, najdroższych, a wysokich duchem... Wpływ tego, co zdziałały i tego, co z sobą uniosły, wsiąka tem głębiej, dźwiga nas tem wyżej — ich zagrobowe czuwanie i obcowanie budzi nowe w rodzinie siły, aby krzyż znieść, tej duszy być godnym i bliskim, drogą utrwalić spuściznę, z wskazanych nie ustąpić torów.

Tak i dla społeczeństwa — mężowie tej cnoty i wartości, co Jan Tarnowski, ustępują z widowni, ale zostawiają trwały ślad, niezatartą pamięć i wpływ zadań, jakie spełnili na pożytek i chlubę kraju.

Jaworów, czerwiec 1894 r.

KSIĄŻĘ WŁADYSŁAW CZARTORYSKI.

O tym zmarłym trzebaby napisać książkę, sięgnąć do nietkniętych dotąd źródeł. Wszak z jego zgonem zrywają się ostatnie węzły Polski ze światem zachodnim, węzły dyplomatycznych i towarzyskich związków. A nietylko śmierć ta zamyka sześćdziesięcioletnią epokę emigracyjną, ale przerywa okres, rozpoczęty dwa wieki blisko wstecz, odkąd dom Czartoryskich przoduje w dziele wewnętrznej naprawy i odrodzenia, lub w działaniu zewnętrznem. Z pamięci tylko, bez źródeł, kilka rysów tej szlacchetnej postai rzućmy wraz z grudką polskiej ziemi na ten niezamknięty grób.

Książę Władysław Czartoryski był jeszcze dwuletniem niemowlęciem, kiedy prezes rządu w otoczeniu wodzów powstania listopadowego, posłów sejmowych i mężów przewodniczących w narodzie poszedł na wygnanie, aby przed Europą ten sztandar sprawy polskiej, nową okryty chwałą, zatknąć wysoko i dzierżyć szlachetnie. Lata dziecięce i cała młodość spędzona we Francyi nie osłabiła, owszem spotęgowała miłość tej ziemi o biecanej, tęsknotą do niej od kolebki. W później-

szych dopiero latach mógł syn księcia Adama poznać dwa odłamy Polski, Galicyę i Poznańskie, nigdy zaś nie miał powrócić do rodzinnych Puław, ujrzeć Warszawy i Wilna.

Kolebkę otaczało grono niewiast: matka Anna z książąt Sapiehów, babka księżna Anna z Zamoyskich Aleksandrowa Sapieżyna, kobieta męskiego hartu, której dwa rody, Czartoryskich i Sapiehów, zawdzięczają uratowanie resztek fortun skonfiskowanych; ciotka tkliwego serca a smutnego losu, księżna Marya Wirtemberska.

Młodość otaczał zastęp starców z Puław, przeniesionych do Paryża. Wśród mentorów był historyk Karol Sienkiewicz i niedawno zmarły w hotelu Lambert Hipolit Błotnicki. Jakiś wielki, piękny smutek — jak mówił Słowacki — znamionował patryarchę polskiego wychodźtwa. Posępnie, niemal ponuro wygląda ten pałac, hotelem Lambert zwany, tak różny średniowieczną powagą poczerniałych murów, jakąś niemal klasztorną ciszą, od elegancyi, ruchu i wesołości stolicy nadsekwańskiej. Powaga ta dodawała dziwnego uroku, niemal majestatu idei i sprawie, która w tych murach znalazła ognisko i reprezentacyą. W dziecinnych wspomnieniach rysowały się najwybitniej postaci wodza legionów Kniaziewicza i towarzysza Kościuszki Juliana Niemcewicza, o długich, białych włosach.

Mój patryotyzm — mawiał książę Władysław — nie jest z czasów Mickiewicza lub Krasińskiego Zygmunta, on jeszcze jest Niemcewiczowski. —

Subtelna i godna zastanowienia definicya, którą słyszeliśmy kilkakrotnie z jego ust. Poezya porozbiorowa i emigracyjna miała w sobie pierwiastki bohatersko-mistyczne. Choć tak wzniosła i potężna, że nie płynęła bezpośrednio z tradycyj przedrozbiorowych, stawała się podnietą dla porywów i czynów jednego lub dwóch pokoleń. Gdy nie ziściły się jej obietnice i wyrocznie, wzbudza w następnych pokoleniach reakcyę zwątpień, pesymizmu, rozstroju. Patryotyzm, jak go zwał ks. Władysław, Niemcewiczowski, to echo Sejmu Czteroletniego i powstania Kościuszki; dlatego może trwalszy, że utkwiony o jeden brzeg, zanim się przepaść otwarła, że jest podobny do liny, jaką, gdy most się wali, zarzucają przewoźnicy od brzegu do brzegu, aby do niej przymocowany prom mógł bezpiecznie przepływać i przewozić rozbitków, dopóki wzburzone nie uśmierzą się fale, nie opadną wody wezbrane.

Ta żywa łączność z brzegiem, od któregośmy odbili, z Polską przedrozbiorową, ogniwami dwóch tylko pokoleń sięgała o dwa wieki w przeszłość. Wyjątkowym przywilejem Czartoryskich była długowieczność: książę jenerał i jego syn książę Adam żyli z górą każdy dziewięćdziesiąt lat. Więc bliską i żywą była ta tradycya na wpół rodzinna, na wpół narodowa. Plany przebudowy, początek naprawy, roboty około uporządkowania i wzmocnienia walącego się gmachu, a zwłaszcza rozluźnionego wiązania dachu przez wzmocnienie formy monarchicznej, to wszystko wychodzi z na-

rad familii. Odtąd imię Czartoryskich przez półtora wieku na każdej karcie historyi. Za czasów Stanisławowskich prace około oświecenia narodu, wychowanie publiczne, a zwłaszcza kierownictwo owej szkoły wojskowej, co wydała Kościuszkę i cały zastęp rycerski, świat Puław, bohaterskie epizody, początki poezyi romantycznej, zbiory pamiątek narodowych. Te wszystkie wspomnienia, spotęgowane wzorem cnót patryotycznych w pięknym żywocie ojca księcia Adama, to wszystko wpłynęło w młodą duszę i w niej się skrystalizowało. Gdy starszy brat Witold mniej do życia publicznego zdawał się sposobnym, młodszy Władysław od pierwszej młodości wdrożonym został w tę kolej, wytkniętą przez ojca i dziadów; a pierwszym wstępem w to działanie był udział w legii polskiej, formującej się w Turcyi podczas wojny krymskiej. Przyjął on tę całą spuściznę polityczną domu, że tak powiemy, bez dobrodziejstwa inwentarza, czyli, że całe brzemię dźwigać musiał, choć zadania stawały się coraz trudniejsze, coraz cięższą odpowiedzialność.

Dzieje tego domu na wychodźtwie — taka praca byłaby pierwszorzędnej wagi dla historyi polskiej XIX wieku. Nieraz książę Władysław o tem wspominał, że po *Kronice Puław* powinna iść książka z tytułem: *Hotel Lambert.*

Źródła są gotowe i bogate, korespondencye tej polskiej reprezentacyi na wszystkie strony świata, zachowane w archiwach w porządku. Przedmiot niemal dotąd nietknięty; niezmiernie doniosły,

a niemniej przedstawiający trudności, zwłaszcza, gdy ze zmianą stosunków europejskich zmieniły się pojęcia i poglądy. Dziś zwykliśmy sądzić po doraźnych skutkach. Łatwo wytknąć pomyłki, wyliczyć mnogie zawody, zawyrokować, że cała droga była błędną. Czy wszystek posiew zmarniał? Ten, co go tak skrzętnie, tak wytrwale rzucano w świat dla sprawy polskiej, i ten posiew wśród współwygnańców: poświęcenia, opieki, ofiary, dążenia do uśmierzenia i zjednoczenia wśród chaosu i wrzawy; i ten posiew, co szedł w kraj niezawsze zgodnie z jego potrzebami, ale zawsze z wyższą myślą i szlachetnym celem?

W tych rozmowach, gdy książę przybywał do Sieniawy, lub przebywał w małych pokoikach przy Muzeum krakowskiem, ileż dotknięto trudności tego zadania, ileż wątpliwości, czy pora nadeszła, aby odjąć pieczęcie z tych tajemnic emigracyjnej dyplomacyi polskiej.

— Nikt mnie nie posądzi — mawiał książę — że chcę wznawiać politykę rodzinną, że chciałbym znów przerzucać punkt ciężkości z kraju na zagranicę; podzielam politykę kraju w Galicyi, sądzę, że jest najodpowiedniejszą i prawdziwie patryotyczną, ale po za nią czuję, jak potrzebnym na każdą ewentualność byłby punkt niezawisły od trzech rozbiorowych mocarstw i chciałbym na nim dotrwać do końca. — Rozmowa zwracała się w przeszłość i wyjaśniała niejeden trudny do zrozumienia epizod z dziejów hotelu Lambert, a w tych poglądach wstecz i w przyszłość była trzeźwość obok

najgorętszych uczuć, zupełny brak miłości własnej z bezgraniczną miłością sprawy, szlachetna duma rodowa, wsparta na czci cnót ojca i zasług przodków, wolna od wszelkiej myśli własnego wyniesienia. Było coś Jagiellońskiej chwiejności w tej naturze, jak w szlachetnych rysach twarzy było coś Zygmunta Augusta.

Czy przyjdzie nam kiedy otworzyć te księgi z historyą hotelu Lambert, gdzie wkoło posągowej postaci księcia Adama stoi ów chrześciański rycerz jenerał Wład. Zamoyski i cały zastęp znakomitych mężów i gorących miłośników Ojczyzny a gdzie tyle tajemnic i tyle zagadek? Tam przez lat trzydzieści i dalej jeszcze do ostatnich czasów sumptem jednej rodziny, której olbrzymie latifundia i monarsza iście fortuna poszła na łup wrogów, z resztek tego mienia utrzymywano stale prawdziwe *foreign office* Polski. W całej Europie i po za jej granicami aż w najodleglejsze kraje Azyi szukano „nieprzyjaciół nieprzyjaciela Polski“. Tam z roku na rok, z dnia na dzień wyczekiwano konstelacyi, którąby rokowała możność obcej pomocy i ratunku. A jeśli w tej straży i w tem rzecznictwie same zbierano zawody, nie dopuszczano zapomnienia nieprzedawnionych praw i dokonanego gwałtu. W gabinetach, w parlamentach, w opinii świata przypominano je ustawicznie. Politycznie bezskuteczna, może nawet szkodliwa, etycznie wzniosła była ta misya. Platoniczne protesty Francyi i Zachodu miały w sobie zwodnicze tylko skutki na opinię polską, ale były jeszcze wyrazem jakichś

zasad prawa i moralności publicznej dla Europy. I nieraz ręka prześladowców wstrzymywała się przed nową samowolą z obawy opinii europejskiej. Przypomnijmy sobie czasy Metternichowskie i czasy Mikołajowskie — przypomnijmy sobie Francyę Ludwika Filipa i Napoleona III, a przyznać musimy, że dziś upadek głębszy, gdy najsroższy gwałt, czyny nieludzkie nie wywołują już w całym świecie żadnego objawu współczucia lub oburzenia, chyba w jednym Watykanie.

Syzyfowa praca bolesna i ciężka: kamień wytaczany w górę, staczał się ustawicznie w przepaść coraz głębszą. Gdy doświadczenie nauczyło, na tę drogę wracać nie można, ale cześć oddać należy. Wśród dysonansów dyplomacyi w koncercie europejskim, wśród zgiełku i wrzawy nowych haseł prądu opinii, brzmiał jeden akord czysty, który przypominał ludziom wiary, porządku i prawa, że jest w Europie wielka, historyczna krzywda, a z niej konieczna Nemezis — ludziom zaś, niosącym sztandary wolności, niepodległości narodowej i postępu, że prawdziwa wolność od sprawiedliwości i zadośćuczynienia zacząć się winna. To też, co było duchów szlachetniejszych w jednym lub drugim obozie świata europejskiego, łączyło się w czci dla sędziwego rzecznika Polski i towarzyszów jego tak wyjątkowej misyi, a idea polska, tak godnie i szlachetnie reprezentowana, była sztandarem i próbierzem dla ludzi i stronnictw ich moralnej wartości.

Jak ten, który znalazł się na tym posterunku, utrwalonym przez lat trzydzieści, mógł z niego ustąpić, gdy nadciągnęła nowa burza? Cięższa zaiste odpowiedzialność spada na tych wszystkich, którzy w kraju nie zdołali postawić tamy wzbierającym prądom, niż na tego, który, gdy kraj uznał powstanie za narodowe, nie uchylił się od dalszego rzecznictwa w ustalonych już stosunkach z gabinetami, parlamentami i opinią. Podniety do ruchu nie dawał hotel Lambert, a w nim najmniej porwany złudzeniem był książę Władysław. Niebawem zajmująca książka dawnego naszego kolegi w publicystyce odchyli zasłonę tych starań, zachodów, które z Paryża przez Hotel Lambert działały na Europę. Na kraj oddziałały one dopiero, gdy już powiedziano: *alea jacta est.*

Nie zatrzymując się nad szczegółami, jednego atoli pominąć nie możemy. W otoczeniu Hotelu Lambert w pierwszym okresie emigracyjnym mówiono o koronie. Wspólność herbu i krwi z Jagiellonami mniej tu mogła dawać podniety, ile dążność monarchiczna, którą przed stu pięćdziesięciu laty, jako pierwszy punkt narodowego odrodzenia, postawili dwaj mężowie stanu. Nieoparty na ziemi, tron na chmurach, z koroną z cierni, nie miał nic ponętnego. Książę Adam opierał się tej myśli swoich zwolenników, a ks. Władysław żadnym aktem jej nie zaafirmował. Lecz w Paryżu i na Zachodzie Hotel Lambert otoczony był majestatem, a dwa małżeństwa ks. Władysława z dwoma po kolei córkami królewskich domów,

przyczyniły się do tego, że w tym pałacu na wyspie św. Ludwika utworzyło się jakby ognisko zdetronizowanych monarchów i pretendentów do tronu. Choć w obu związkach ks. Władysław doznał szczęścia serca i dwukrotne małżeństwa były oparte na doborze dusz, było coś anormalnego w otoczeniu i tej atmosferze, jaka się wkoło Hotelu Lambert wytworzyła. Był to punkt zborny wielkich spraw pokonanych i pięknych idei przegranych. Świetność tych monarchicznych związków nie ujęła ponurości tego przybytku.

Pierwsze małżeństwo z córką Krystyny, królowej hiszpańskiej, naznacza może najświetniejszą chwilę w kronice Hotelu Lambert. Wyjątkowa cześć otaczała ten dom i jego patryarchę, nadzieje nie gasły — owszem, z początkiem drugiego cesarstwa wszystko zapowiadało lepszą przyszłość. Żyło jeszcze w Hotelu Lambert starsze pokolenie z ufnością, jaką miewa pod koniec pięknego życia znużony pracownik, że doczeka się wreszcie plonów, które corocznie zawodziły — młode pokolenie zaczynało żyć, a więc i rwać się w tę drogę ideałów, jaką wskazali schodzący. Ks. Witold poślubił piękną Podolankę, Maryę Grocholską, — księżniczka Izabella oddała rękę Janowi Działyńskiemu. Księżna Amparo olśniewała pięknością, a ta piękność kastylijska przypadała do ram tego domu jakąś tęsknotą wejrzenia, która zwykła znamionować istoty, pożyczone tylko na krótko tej ziemi. Kilkoletnie szczęśliwe pożycie wystarczyło, aby młoda księżna ukochała sprawę kraju, któ-

rego nigdy widzieć nie miała, aby się nauczyła jego mowy, aby odczuła jego ideały.

Gdy jedyny został syn, z zarodem choroby piersiowej, odziedziczonej po matce, zwrócony od dziecka ku niebu, a oderwany od wszystkiego, co ziemskie — w lat kilkanaście owdowiały książę, gdy napotkał na zawody w zamierzonym związku z księżniczką Heleną Sanguszkówną, łączy się z rodziną Orleańską. I ten drugi związek nie był na konwenansie i względach dyplomatycznych tylko oparty. Był jakiś nastrój pokrewny w tych rodzinach, bliskich tronu, o surowych obyczajach rodzinnych, z wspomnieniami minionej wielkości i niewygasłemi nadziejami. Wszystko znów rokowało domowe szczęście: księżna Małgorzata miała wiele wdzięku, słodyczy, spokoju. Chętnie przybywała do Sieniawy i dzieliła zajęcia i upodobania mężowskie.

Słabło tętno na emigracyi, wymierało starsze pokolenie. Opinie i uczucia odwracały się od nas. Punkt ciężkości narodowej polityki przeniesiony do kraju. Posterunek nie zwinięty, ale jego zadania zmniejszone. Książę Władysław nie przestaje otaczać opieką weteranów wychodźtwa, gromadzić wkoło siebie co tylko znakomitszych Polaków we Francyi, przewodniczy w Towarzystwie historyczno-literackiem, tylko już wzorem ojca nie wypowiada corocznie mów politycznych, lecz zwraca usiłowania do zadań naukowych, które porusza konkursami o najżywotniejszych kwestyach naszych dziejów. Corocznie z utęsknieniem wraca do kraju,

do rodzinnej Sieniawy. Tu było mu dobrze, swojsko, domasznie. Pałac z ruiny odbudowywał dwukrotnie, gdyż raz po skończonej restauracyi pożar go zniszczył. Tymczasem w małym domku pod cieniem niebotycznych topoli nadwiślańskich najulubieńszy bywał tu wypoczynek. Wiejską ciszę przerywały tylko dawne echa gwaru zgromadzonej szlachty na dworze hetmana Sieniawskiego, lub wesołe odgłosy biesiadników księcia jenerała: to drzewa, świadkowie owych zebrań i uciech, jakby w akustycznych przyrządach Edisona, zatrzymały te gwary i odgłosy, a szumem liści wydawały je napowrót, rozbrzmiewały nimi wkoło.

— Niedarmo starzy Litwini — mówił książę, wsłuchany w te szmery i szumy — wznosili ołtarze wśród borów i oddawali cześć bogom nie w domach, lecz pod cieniem drzew starych. Ja Litwin mam ten sam pociąg. Jest coś mistycznego, co porywa myśl w niebo lub w przeszłość w tych świątyniach gotyckich z zieleni, które kamiennym budowlom ostrołuku służyły za wzór.

Dziedziczne jest w rodzie Czartoryskich zamiłowanie tych pomników przyrody, lip i dębów starych — był to jakby pierwszy stopień miłości pamiątek i tradycyi, wszystkiego, co dawne i wszystkiego, co piękne.

Powiedziano niedawno na tem samem miejscu z powodu śmierci księżnej Marceliny Czartoryskiej, co znaczy w Polsce słowo „wielka pani,“ że aby nią być, trzeba łączyć wyższy umysł, szlache-

tność uczuć z szeroką kulturą i uprzejmością zawsze równą. Analogicznie stwierdzić jeszcze należy, że prawdziwe pojęcie wielkiego pana wymaga również wielu warunków. Nie jest wielkim panem milioner, choćby w dodatku nosił historyczne imię i świetny tytuł. Trzeba, aby na równi z temi zewnętrznemi były warunki wewnętrzne. Wielki pan, to ten, co kraj łączy z szerszym europejskim widnokręgiem, co przynosi społeczeństwu te wyższe pierwiastki cywilizacyjne, których się nie zdobywa za same tylko pieniądze. Zaiste nie przez dworactwo lub próżność garną się ludzie wyższego umysłu do takich ognisk, do takich domów przodujących, ale że tam znachodzą, czego gdzieindziej znaleść niepodobna. Odrażające były ponęty i wabiki możnowładcze dla dawnej klienteli: „czapką, papką, solą...“ Błahemi są dzisiejsze blichtry komfortu, zbytku, liberyi, ekwipaży, koni wyścigowych, błyskotek w domach i strojach. Znamionują one dorobkowiczostwo, nie wielkopaństwo. Lecz tam, gdzie wiszą obrazy wielkich mistrzów, gdzie stare archiwa i księgozbiory, gdzie dawne zabytki, a ciągła styczność z szerszym europejskim światem, gdzie nastrój umysłów wysoki i smak wykwintny: tam się garnąć będą starzy czy młodzież, szukająca światła.

Od kilku już pokoleń, gdy tradycya saska się zatarła, w ten sposób pojmowano w Polsce stanowisko wielkiego pana. Czartoryscy pod tym względem wyprzedzili innych; gromadzili, lecz nie zamykali swych skarbnic, dźwigali poziom

umysłowy kraju. Mówi o nich stare przysłowie, że kiedy z innymi dobrze jeść lub pić — z Czartoryskimi dobrze żyć. I dobrze było żyć z księciem Władysławem. Nie umiał on, jak jego dziad, nazwać sto tysięcy szlachty po imieniu, ale znał wszystkich towarzyszów wygnania, przyjaciół domu i przeciwników, a szukał tylko możności oddania każdemu usługi. W kraju domu nie stworzył, Puław nie wskrzesił, przykuty spuścizną ojca do hotelu Lambert. Nie miał on wyniosłości magnata zagranicznego, ani tej buty, która niekiedy znamionuje w Polsce pańskość. Najbardziej wykwintne formy, najsubtelniejsza szlachetność i delikatność uczucia przechodziła w dziwną prostotę w obcowaniu. Stałość w stosunkach i wierność w przyjaźni nietylko była osobistą, ale sięgała o kilka pokoleń wstecz. Jak w szlachetnych rysach twarzy, tak w rysach charakteru, jak w każdym ruchu, tak w każdem słowie i czynie było coś, co ujmowało i jednało. Miarą delikatności uczucia niech będzie fakt, którego byliśmy świadkami. Gdy książę poniósł znaczne materyalne straty w Krakowie, pochłaniające część fortuny, pierwszy odwiedził dawnego znajomego, którego bardzo cenił, a który w tej stracie dźwigał współodpowiedzialność. Serdecznie podając mu rękę, rzekł książę:

— Przepraszam cię za boleść, którą ponosisz, bo wiem, że moja strata więcej ciebie niż mnie boli.

Książę odziedziczył ten prawdziwie chrześciański patryotyzm, który w Puławach czy w hotelu Lam-

bert przedewszystkiem czynną miłością rodaków się objawiał. Miło bywało bawić się lub kształcić w Puławach — do hotelu Lambert wiodła wygnańców każda potrzeba, każda nędza i płynęła pomoc i ratunek często tam, zkąd wychodziły najzjadliwsze wczoraj jeszcze, lub może nazajutrz pociski. Ale bywały też i piękne przykłady wdzięczności, wierności i poświęcenia. Po zniszczeniu Puław, zbiory świątyni Sybilli i Domku gotyckiego niemal w całości poświęceniem i trudem kilku wiernych dworzan przewieziono ukradkiem do Galicyi. Odtąd przebywały one różne peregrynacye, aby się chronić przed policyą dawnych rządów w naszym kraju, to znów przed rewolucyą lub komuną w Paryżu.

Jakkolwiek w tych zbiorach były cenne perły, przeważał w nich jednak charakter uczuciowości archeologicznej, wiążącej wartość do znaczenia pamiątkowego więcej, niż artystycznego. Książę Władysław nie był zbieraczem-amatorem i dyletantem w rzeczach sztuki i historyi. Niezmiernie gruntowną i rozległą posiadał wiedzę w tych dwóch dziedzinach ducha ludzkości, cywilizacyi narodów. Erudycya jego historyczna i artystyczna szła społem z wybornym smakiem, trafnem okiem. Wcześnie zabrał się do wznoszenia pomnika na pożytek i chwałę kraju.

— Nic wam nie pozostało, nic nie posiadacie! — wołają nieraz obcy, chcący nam zaprzeczyć tytułu i prawa do wspólnictwa w cywilizacyi europejskiej. Wojny szwedzkie i najazdy tureckie wy-

próżniły Polskę z zabytków wysokiej kultury XVI stulecia. Królowie elekcyjni nic po sobie w kraju nie zostawili. Ilekroć wstępujemy do galeryi drezdeńskiej, boleść i oburzenie nas przejmuje, że ta sama ręka, środkami z Polski zaczerpniętymi, tak świetnie uposażyła w arcydzieła stolicę saską, gdy Polskę popychała w ciemnotę i rozpasanie. Po czasach Stanisławowskich, będących początkiem odrodzenia cywilizacyjnego, przychodzą nowe hordy, a dziś szukać nam w Petersburgu i Moskwie księgozbioru Załuskich i tylu innych cennych pamiątek i zbiorów. Na wielką zasługę i chlubę panów polskich i polskiej kultury zapisać należy, że po każdej burzy nowe powstają przybytki i ogniska nauki i sztuki. Trzeba zrejestrować kiedyś to, co rozproszane, gromadziło się na nowo; trzeba ułożyć galeryę z wizerunkami mężów, co niestrudzoną ofiarnością dźwigali kraj z ubóstwa myśli, zdobili go i bogacili duchowo, od Maksymiliana Ossolińskiego, Tytusa Działyńskiego, Edwarda Raczyńskiego, aż do tych, którzy do dziśdnia idą za tym wzorem. Taki rejestr tego, co posiadamy w publicznych i prywatnych zbiorach, tego, co wydano, zanim powstała Akademia, taka galerya mężów, przewodniczących temu cywilizacyjnemu ruchowi, byłaby najlepszem świadectwem i odpowiedzią tym, co nas zepchnąć z wyższego stopnia kultury pragną.

W tym inwentarzu skarbów narodowych pierwsze miejsce zajmie muzeum i biblioteka Czartoryskich w Krakowie i pierwsze w tej galeryi zasłużonych

mężów miejsce należy się księciu Władysławowi. Połowę fortuny i połowę życia poświęcił tej myśli, temu pomnikowemu dziełu. Czemuż, gdy dogorywał, pozazdroszczono mu tej pociechy, aby widział utrwalone swe dzieło przez potwierdzenie ordynacyi, jako podstawy muzeum?

Sprzymierzeńcy nasi polityczni w Wiedniu przez to opóźnienie i niechęć w imię zasad liberalno-demokratycznych uczynili akt barbarzyństwa, który śpiesznie wynagrodzić winni, choć nie zdoła nic wynagrodzić tej krzywdy, że książę Władysław umierał niezaspokojony w najgłębszem życzeniu, w trosce ojca i obywatela.

— Pragnę dociągnąć do Sieniawy i umrzeć w Polsce, lecz czuję, że już nie zdołam. — Były to ostatnie słowa księcia Władysława, gdy przed trzema miesiącami przyszedłem go pożegnać, wyjeżdżającego z Rzymu do Francyi.

Zaprzeczyć tym słowom nie miałem odwagi, patrząc na postać, złamaną dwoma krzyżami, które Bóg świeżo zesłał i na oblicze, wynędzniałe chorobą.

Kończy się wiele rzeczy pięknych w tych latach dobiegającego do kresu stulecia. Patrzymy ciągle, jak w rodzinach, w narodzie i w Europie rwie się pasmo historyczne. Imiona, co służyły za drogowskazy, jeśli nie znikają całkowicie, to się na dłuższy czas zacierają. Między pokoleniami zbyt wielkie następują przerwy. Co chwila słyszymy dźwięk pogrzebowych dzwonów, a często mniemamy, że to pogrzeby nie osób, lecz idei, że przed

końcem stulecia zapada się świat, w którym żyliśmy, znika i zarównywa się to, cośmy czcili i kochali, z czem zrośliśmy się.

Lecz nie! Jeśli gdzie — to tam, gdzieśmy po raz ostatni uścisnęli dłoń odjeżdżającego, to w wiecznem mieście zrozumieć można misteryum śmierci nietylko jako wstępu do nieśmiertelności, lecz w stosunku do dziejowego pochodu na ziemi. — Gdzież większe historyczne cmentarzysko: wzdłuż *via Appia* szereg bez końca grobowców, senatorów i patrycyuszów rzymskich; pod ziemią katakumbowe miasto umarłych z pierwszych wieków chrześciaństwa; każda bazylika i kościół to mauzoleum następnych stuleci i pokoleń. Pod gruzami i marmurami ukryte tu całe światy, a wszystko, co znikło, żyje: nie zatarła się w dziejach nowożytnych wielkość starej Romy; zolbrzymiała potęga chrześciańskiego Rzymu. Śmierć – to jakby rzeźbiarka, co dłutem swojem wykuwa dzieje ludzkości i pochodnią swą oświeca jej drogę przez przepaści na szczyty.

Nietylko tam, po za tym murem, który nas od przyszłego dzieli życia — ale tu na ziemi wszystko żyje, co umarło, każda wielkość i sława, każda ofiara i cierpienie, wszystko działa, co legło w grobowcach, bo tkwi w organizmie historyi, bo drga w łańcuchu cywilizacyi, w dziejach Kościoła i narodów jakimś kiełkującym zarodem, jakiemś wielkiem wspomnieniem i tchnieniem ożywczem, choć wieki minęły.

I my mamy w Polsce naszą *via Appia* z *columbariami* naszych senatorów i patrycyuszów przedrozbiorowej Rzeczypospolitej i mamy nasze katakumby, które zapełniamy od stu lat. Grobowiec w Sieniawie, gdzie złożymy niebawem zwłoki ks. Władysława Czartoryskiego, ma jedno i drugie dla nas znaczenie.

W dzisiejszem pokoleniu najszlachetniejsi noszą na sobie piętno pogrobowe. Służbę podejmują i spełniają do końca wzniośle; w czynach swych, pracach, ofiarach, wierni przodkom, chcą schodzić bezpotomnie, kończyć na wyłomie i godnie dotrwać za starym sztandarem w epilogu historycznego dramatu. Cześć im — ale niech pomną, że nie wolno schodzić, jak schodzą pogrobowcy, że to nie koniec dramatu, to tragiczny tylko prolog do lepszej przyszłości.

I wobec tego grobu, który zamyka epokę i odgradza nas od przeszłości, nie wolno powtarzać: ostatni; nie wolno łamać tarcz, gdy synowie żyją; dzieła trwać będą, hasła nie przebrzmią, bo nic nie przepada w historyi, co wyrosło poświęceniem.

ADAM LUBOMIRSKI.

Wśród plag egipskich najstraszliwszą był pomór synów pierworodnych. Rok bieżący smutne i sromotne wywołujący wspomnienia z przed stu lat, zaciężył nad krajem rozlicznemi klęskami, ale i tę plagę przypomniał. Przedwczesną śmiercią Leona Sapiehy zaczyna się ten szereg ciosów, wstrząsających rodzinami i pozbawiających kraj tylu nadziei, a kończy się równie przedwczesnym i nagłym zgonem Adama Lubomirskiego.

Choć nienajstarsi w rodzeństwie, wobec kraju mieli ci dwaj prawo do tytułu pierworodztwa wielką historyczną tradycyą i szlachetnością dusz na miarę tych tradycyj. Kto jak piszący znał ich obu od dziecka i z bliska, ten wie i poświadczyć winien, że Leon Sapieha i Adam Lubomirski stają zaraz po ś. p. Arturze Potockim w tym szeregu znikających młodych a dostojnych postaci z naturą skorą do ofiar, pracy i z czemś w duszach bohaterskiem. Znikli, niedoszedłszy jeszcze do kresu wewnętrznego rozwoju, przeszedłszy zalewie z młodości w ten wiek, kiedy się zaczynają czyny mężów dojrzałych.

Z najstarszej linii wielkiego historycznego rodu, linii zwanej rzeszowską — świeżo zmarły dziedzic Miżyńca urodził się w Krakowcu dnia 9 grudnia 1852 roku. Ojciec jego, również Adam Lubomirski, dzielny oficer z roku 1831, powszechnie kochany dla typu staro-szlacheckiego i żołnierskiego zarazem, nie starał się o stanowisko w sprawach publicznych. Matka Karolina z książąt Ponińskich, należała do tych niezwykłych dusz, których czyny dopiero po śmierci występują na jaw. Gdy zmarła przed trzema laty w Wiedniu, zaczęto dopiero dowiadywać się, że z jej głównie ofiarności powstał nowy klasztor i kościół w Krakowie, powstały fundacye w rzymskiem Kollegium dla młodych kapłanów polskich, że ona uposażyła ochronę sierot we Lwowie fundacyi swej matki, że zakupiła dom dla Stowarzyszenia rzemieślników polskich we Lwowie, aby ich chronić, choćby wdzięczną pamięcią imienia fundatorki od burzliwych wpływów kosmopolitycznych — że nadto ta pani w tajemnicy, a rozumnie, podawała pomocną dłoń krewnym i przyjaciołom, gdy uznała, że pracą zdołają zwyciężyć w ciężkiej walce, jakie często przebywają rodziny polskie dla utrzymania lub zdobycia ziemi ojczystej. — Drugi syn tych rodziców, Adam, przebył gimnazyum we Lwowie i Krakowie, następnie w Paryżu zdał z odznaczeniem w *Collège Sainte Barbe* dwa egzaminy: *ès sciences ès lettres* w roku 1870. Uczęszczał na uniwersytet w Lozanie i do szkoły dyplomatycznej w Paryżu, gdy w roku 1873 nagły zgon

ojca powołał go do kraju — przerywając nauki obowiązkiem objęcia dóbr Miżyniec, odziedziczonych po stryju, księciu Jerzym Lubomirskim z Rozwadowa.

Młodzieniec z bujną, nieco burzliwą naturą, znajduje uspokojenie, równowagę i uzupełnienie w najszczęśliwszym związku, zawartym w r. 1881 z uroczą Wołynianką Maryą Zamoyską, córką hr. Ksawerego Zamoyskiego i Albertyny z hr. Giżyckich. Szczęśliwszego dobrania serc i usposobień, pogodniejszego pożycia jak w tym domu w Miżyńcu znaleść trudno — lecz tę pogodę przerywały gromy przez stratę dwojga dzieci. Żałoba rodzicielska, najcięższa na świecie, jeśli dla matek bywa wielkim krzyżem — to dla ojców staje się największą życia próbą. Adam Lubomirski po stracie jedynego syna i córki, dojrzewał wewnętrznie, poważniał, zwracał ofiarną rękę, aby ulgą w doli ludu, pracą dla dobra publicznego, ubezpieczyć własne rodzinne szczęście.

Ludzi u nas zbyt wcześnie zabarwiają według stronnictw, lub koteryi, zanim jeszcze danem im było pierwsze postawić kroki na drodze politycznej. Stąd często wzajemne rodzą się uprzedzenia i często zapoznajemy rzetelną wartość.

Jaką mogła być wartość tych zaczynających życie publiczne, to najlepiej zbadać w najbliższem ich otoczeniu. Od drogi wiodącej przez włości do pałacu w Miżyńcu, aż do chat włościańskich odznaczających się ochędostwem i dobrobytem, do którego podnieta, pomoc i opieka szła ustawicznie

z dworu — aż do szkółek wiejskich zbudowanych w ostatnich czasach za udziałem i staraniem pana tych włości — wszędzie tu znać jego rękę, jego myśl i jego szlachetne serce.

„Znałeś Ty nas i miłował kniaziu Adamie Lubomirski i my Ciebie miłowali“ — mówił nad grobem włościanin Rusin i dodawał: „Nie darmo zwałeś się Lubomirski, boś lubił mir z sielanami, chciał miru Polaków z Rusinami.“

Ten sam ożywczy wpływ wywarł ś. p. Adam Lubomirski wśród górskiego ludu w Stryjskiem, gdzie nabył znaczne obszary ziemi i przemysłem naftowym, świetnie rozwiniętym, dźwignął do bogactwa jednę z okolic, pogrążonych w największej nędzy.

Nieraz można się było nie zgadzać w opiniach, pełnych jeszcze młodzieńczego zapału, można było stawiać niejakie restrykcye, czy nie było nieco złudzeń w zbytnim pośpiechu na drodze oświaty ludowej, lub też w szukaniu śpiesznej zgody z Rusinami. W jednem atoli i drugiem dążeniu tętniło najszlachetniejsze uczucie i najzdrowszy instynkt, gdzie jest siła i przyszłość. Rozwaga i miara przychodzi z latami doświadczeń, a tych niestety tak wcześnie przerwał się wątek, gdy zwłaszcza w ostatnim okresie przybywało dojrzałości przy bardzo samoistnem zdaniu.

Adam Lubomirski, podobnie jak Leon Sapieha, należeli do tych, których o przesadne sprzyjanie Rusinom pomawiano. — W aktach politycznych ustępstw czy kompromisów niewątpliwie potrzeba

w tym stosunku wielkiej roztropności—ale w życiu społecznem zbliżenie do kleru, praca nad ludem, miłowanie pierwiastków małoruskich i odradzanie węzłów historycznych w duchu unii politycznej i religijnej — to jedyna droga z tradycyą naszą i z dążeniem ku przyszłości zgodna.

Krótki czas, w którym zasiadał Adam Lubomirski w sejmie, przerwany rozwiązaniem Izby przed czterema laty, nie dał sposobności do poznania w kraju jego zdolności politycznych, które mogły się były stać niepospolite, zwłaszcza po dłuższem otarciu się o różne trudności walk parlamentarnych.

Natomiast w życiu autonomicznem całe obywatelstwo ziemi przemyskiej tak licznie na pogrzebie zebrane składa najchlubniejsze świadectwo jego gorliwości, wytrwałości w pracy i podjętych zadaniach, ofiary czasu i mienia, ducha rozjemczego oraz zdolności organizacyjnej.

Ci towarzysze prac w Radzie powiatowej, a zwłaszcza w kółku przemyskiem Towarzystwa rolniczego, którego był Adam Lubomirski prezesem i duszą, nie omieszkają dokładnie zebrać i zapisać jego płodnej działalności, jak już nad grobem ją zaznaczyli wiceprezes Rady powiatowej Dr Czajkowski i p. Jan Pawlikowski z Medyki.

Pod przewodnictwem Lubomirskiego oddział przemyski Towarzystwa rolniczego najwięcej się rozwinął w całym kraju tak co do liczby członków, jak co do podjętych zadań. Wystawy koni i bydła włościańskiego odbywały się corocznie po

sąsiednich powiatach, a prezes kółka przemyskiego własną hojnością podwajał premie. Piszący miał sposobność przekonać się w Jaworowie o zbawiennych skutkach tych wystaw, na które przybywał książę w otoczeniu kilkunastu włościan najbliższej okolicy, swoich stałych towarzyszy i przyjaciół. Nietylko oddziaływało to pomyślnie na stosunki ekonomiczne włościan, ale wzbudzało wśród ludu ruskiego uznanie wdzięczności i wspólności ze społeczeństwem polskiem. Kilku gospodarzy Rusinów z dóbr miżynieckich znało Rzym i Kraków — i opowiadali w okolicach o grobach pierwszych apostołów chrześciaństwa i o grobowcach królów polskich — a rozumieli to tem lepiej, że książę rozmawiał z nimi po rusku.

We dworze miżynieckim często przebywali aryści polscy — a jeden z nich zawdzięcza swe wykształcenie za granicą opiece ks. Adama, który posiadał wiele poczucia piękna i zamiłowania sztuki.

Gdy w rozpaczliwej walce z żelaznym kanclerzem, który funduszem kolonizacyjnym postanowił zmiażdżyć żywioł polski, Poznańczycy odwołali się o pomoc do Galicyi — wielu uchylało się od udziału w mniemaniu o bezskuteczności tej obrony. Na liście subskrypcyi z Galicyi imię Adama Lubomirskiego zapisane z największą liczbą akcyi na Bank ziemski poznański — był on też tej subskrypcyi najgorliwszym propagatorem.

Przed kilku tygodniami w pełni zdrowia i sił postanowił uregulować sprawę rodzinną kraj ob-

chodzącą, a która z powodów od członków rodziny niezależnych pozostawała przez dłuższy czas w zawieszeniu. Najszlachetniejsze intencye przewodniczyły jego zamiarom, aby w pełni zadośćuczynić woli testatora i aby nauka polska spieszną uzyskała pomoc.

Biorąc świeżo udział w zjeździe rodzinnym w Częstochowie, powrócił z miejsca świętego olśniony wrażeniami, jakich tam doznał, które wstrząsnęły do głębi uczuciami narodowemi i uczuciem religijnem.

Niebawem po tej ostatniej wycieczce — wśród polowania uległ Adam Lubomirski nagłemu porażeniu serca. Z wózka zdjęto już martwe ciało — gdy zbiegła na powitanie męża najdroższa towarzyszka życia.

... Są ciosy tak nagłe i straszne, że gluszą boleść najbardziej zakrwawionych serc. Lecz są w duszach Polek takie siły wiary, obowiązku, woli chcącej pełnić myśli pozagrobowe i prowadzić dalej dzieła śmiercią przerwane — że uchylmy czoła przed majestatem tej boleści i tej odwagi...

Dom Adama Lubomirskiego w Miżyńcu, podobnie, jak dom Leona Sapiehy w Bilczu, okryte dziś żałobą — pozostanę pod przewodem wdowim temi ogniskami pracy, szlachetnych celów i dążeń, jakiemi je oni mieć chcieli.

NAD GROBEM ZYGMUNTA KOZŁOWSKIEGO.

Mniemałem, że inny, bardziej powołany odezwie się nad tą trumną głos jednego z towarzyszy służby publicznej i prac parlamentarnych ś. p. Zygmunta Kozłowskiego. I tylko ci, co szli razem w szeregu przez te 30-letnie dzieje naszego parlamentarnego i autonomicznego życia, mogą należycie poświadczyć i ocenić dzisiejszą kraju stratę, odważyć zasługi tego męża, który niczego nie robił dla poklasku i rozgłosu, ale którego czynny udział w pracach parlamentarnych był znaczący i zawsze dodatni, a którego słowa i zdania z głębi sumienia i z jasnego płynące umysłu padały w najważniejszych chwilach i sprawach, często przeważając szalę, niekiedy tylko naznaczając zasadę i kierunek.

Na zewnątrz dla ogółu ujawnia się tylko cząstka zasług i wpływu mężów publicznych. Galicya sprostała zadaniu, jakie ją po długiej martwocie zaskoczyło niespodziewanie przed 30 laty z górą. Nieufnem i niechętnem z Wiednia spoglądano na nas okiem, a z Warszawy i z Poznania odzywały się częstokroć lekceważące o Galicyi zdania.

Tymczasem na dane hasło, choć jeszcze lody dawnego systemu nie pękły, wystąpił zastęp mężów tak wytrawnych na pierwszych sejmach naszych, tak świadomych i celu i dróg, do walki i pracy uzbrojonych, jak gdyby nie pierwsze kroki stawiali, ale przebyli długą szkołę i praktykę. Ziemia przemyska okazała się może najbujniejszą. Jak w literaturze, tak w polityce bywają rodziny szczególnie uposażone. Do takiej należał Zygmunt Kozłowski; dość wspomnieć jego wuja Maurycego Kraińskiego, który za dawnych polskich czasów mógłby sięgnąć śmiało po pieczęć kanclerską i ciotecznego brata Seweryna Smarzewskiego, który był typem nowożytnego parlamentarzysty niezwykłej miary. Przewodniczył temu gronu mąż zaprawiony w szkole Lubeckiego, wzór pracy dla kraju, książę Leon Sapieha. Od pierwszych kroków, od wdrożenia we właściwą kolej zawisł najczęściej dalszy rozwój, wytknięcie kierunku, stworzenie tradycyi. Następcom pozostaje tylko z tej kolei nie zboczyć.

Zygmunt Kozłowski wstępuje do Sejmu, jako poseł ziemi przemyskiej w r. 1864, mandat swój następnie odnawia zaufaniem obywatelstwa ziemi sanockiej, w Radzie państwa zasiada z krótką przerwą od r. 1875.

W indywidualności jego politycznej są dwa pierwiastki: praktyczny, że tak powiem, realizm, zachowawczość z gruntownej znajomości sił i niedostatków kraju płynąca, jakie dzieli ze szkołą Leona Sapiehy i Maurycego Kraińskiego, z dą-

żeniem naprzód w sprawach społecznych, z polotem i zdrową postępowością Adama Potockiego i szkoły krakowskiej, z którą zawsze bliskie i serdeczne miał stosunki. Dlatego był Zygmunt Kozłowski jednem z sympatycznych ogniw, łączących dwa odcienia obozu zachowawczego.

W mężach publicznych oceniać należy przedewszystkiem: odwagę cywilną, pracę i zasady, nie mówiąc już o dobrej woli i zdolności, które im za podstawę służyć winny.

Są dwa rodzaje odwagi: jedna śmiało zwrócona na zewnątrz, skoro występująca odpornie; druga zwrócona na wewnątrz przeciw szkodliwym prądom we własnem społeczeństwie. Oba te rodzaje odwagi cywilnej, niekiedy aż do bezwzględności, odznaczały w wysokim stopniu Zygmunta Kozłowskiego.

Pierwszej dał dowody wtedy, kiedy ona była najtrudniejszą. Wspomnę zdarzenie, zatarte w pamięci dzisiejszego pokolenia, ale które nie minęło bez wpływu. W r. 1856 przybywa monarcha po raz drugi do kraju. Nietylko system, ale i usposobienia były naówczas odmienne, niż dziś; jeszcze długo lody nie pękły; chłodną też była atmosfera obopólnie. Na przedstawieniu szlachty w Krakowie, w pałacu Spiskim, Zygmunt Kozłowski, zagadnięty przez monarchę o jakiś szczegół stosunków krajowych, skorzystał ze sposobności, aby wystąpić ze szczerem wynurzeniem tego, co wówczas ciężyło i bolało. Kierownik rządu w Krakowie, hr. Mercandin, chciał zatrzymać mowcę, gubernator, hr.

Goluchowski, zachęcał, aby dalej mówił, a cesarz słuchał z uwagą. Jeden z młodszych podówczas okazał tę szczerość i śmiałość w wyznaniu prawdy, która była zadatkiem tej lojalności wobec Korony, jakiej został do końca wierny.

Nie zawahał się Zygmunt Kozłowski przed opozycyą w chwili rozstrzygającej, gdy przemawiał i głosował z mniejszością 2 marca 1867 r. przeciw obesłaniu Rady państwa. I później w Kole przedstawiał kierunek federacyjno konserwatywny a więc opozycyę do gabinetów centralistyczno-liberalnych. Nie ograniczając się na obronie interesów naszego kraju, zwracał serce i myśl ku losom innych dzielnic naszego narodu i był ini, cyatorem w delegacyach poruszenia sprawy polskiej podczas ostatniej wojny wschodniej.

Lecz Panowie! ten rodzaj odwagi na zewnątrz cenny i trudny w danych chwilach, staje się znów często zbyt łatwym, a jeszcze więcej szkodliwym, jeśli go nieuzupełnia rozwaga i wyższa trudniejsza odwaga wobec swoich. Tamtej niebrakowało nigdy w Polsce, tej zawsze nam niedostaje.

Zygmunt Kozłowski nie wahał się wystawić na niepopularność, na najcięższe pociski i długoletnie prześladowanie, gdy chodziło o obronę zasad lub odparcie żywiołów szkodliwych. On pierwszy i sam niestety wystąpił przeciw dyktaturze dziennikarskiej wtedy, gdy jej najwięcej nadużywano. Pamiętną jest walka, jaką stoczył w tym kierunku w Towarzystwie rolniczem i w „Głosie do wyborców ziemi przemyskiej i jarosławskiej“. Zaostrzyły

się przeciw niemu pióra pamflecistów i ścigała długa wrzawa, a potwarz zagoryczała niejednę chwilę.

Jak odważny, tak był karny. Nie we wszystkiem zgodny z kierunkiem większości, zawsze stawał pierwszy w obronie Koła polskiego w Wiedniu wobec krzyków i złośliwych insynuacyj dziennikarskich.

Popularność z poważaniem idzie często w odwrotnym stosunku. Zygmunt Kozłowski był jednym z najniepopularniejszych, a jednym z najbardziej cenionych posłów.

Nie będę się rozwodził nad pracami Zygmunta Kozłowskiego z długiego zawodu parlamentarnego, z zadań autonomicznych oraz nad inicyatywą pozasejmową w sprawach ekonomicznych i komunikacyjnych. Nie wystarcza w Sejmie obrona zasad, potrzeba produkcyjności w komisyach i kodyfikacyi. Ważny dział budżetu krajowego i sprawy ekonomiczne bywały zmarłego stałą specyalnością.

W Radzie państwa wpływ, powagę, a z czasem i przewagę zdobyli sobie posłowie polscy czynnym udziałem w pracach komisyjnych, okazując stronnictwom, że sprostać im mogą uzdolnieniem. Zygmuntowi Kozłowskiemu przypadała zwykle spora część takich prac — dość wspomnieć jego stanowisko w komisyi długu państwa. W stosunku do innych stronnictw był to jeden z najwięcej znanych, najpoważniejszych członków Koła.

A teraz słowo o zasadach, jakie wyznawał i jakim służył wiernie Zygmunt Kozłowski.

Szlachcic starej daty, *de vielle roche*, jak mówią Francuzi, jednolity, a często twardy — kon-

serwatyzm swój stosował do potrzeb czasu, normalnego postępu, porządku i stopniowego rozwoju.

Wierny syn Kościoła bronił w Izbie wiedeńskiej jego praw wobec liberałów, gdy narzucano ustawy wyznaniowe.

Bywają ludzie zdolni, nawet wybitni, o których się nie wie, jaką jutro obiorą drogę. Jednolity i stały — wiedziano zawsze, pod jakim sztandarem stanie i gdzie pójdzie Zygmunt Kozłowski.

A teraz bolesne wspomnienie. Przed 30 laty piękny dwór w Rożubowicach nad Wiarem okryty był kirem. Pamięci wcześnie utraconej małżonki, pełnej serca, rozumu i wdzięku, Gabryeli z hr. Starzeńskich, został Zygmunt w swem wdowieństwie wierny. Miał atoli pociechę i nagrodę, która nie była bez osobnej zasługi, w starannem wychowaniu syna. Największem szczęściem na tej ziemi jest niewątpliwie, gdy syn, dorósłszy, idzie torem ojca, dzieli jego cele, dążenia, zasady, prace. Przez synów łączymy się z przyszłością narodu — w nich upatrujemy spełnienie tego, czego sami zdziałać nie zdołamy w wyznawstwie wiary, w poświęceniu dla ojczyzny, w pracach dla społeczeństwa, w sferach nauki lub literatury.

Wielką też pociechę i wielką pobudkę masz w swej ciężkiej żałobie, zacny synu ś. p. Zygmunta, żeś mu był nadzieją, dumą i nagrodą. Wytrwaj na tej drodze, którą ojciec wskazał, a na którą tak ochoczo wstąpiłeś.

STANISŁAW PIENIĄŻEK.

Według świadectwa tych, co wertują księgi grodzkie, do nazwisk szlacheckich, które się najwcześniej, bo już z końcem XIV wieku w nich pojawiają, jako ustalone, należy nazwisko Pieniążków herbu Odrowąż. Nie wynieśli się ponad poziom szlachecki — choć zajmowali kilka krzeseł senatorskich. W postawie wyniosłej i dumnej ś. p. Stanisława Pieniążka znać było potomka karmazynów. Domek jego szlachecki w Kowalowach pod Ryglicami, prostota i surowość w życiu i obyczajach, bielone ściany, dębowe sprzęty, kilka karabel i stara broń pod obrazem Matki Boskiej, wszystko przenosiło w świat Chryzostoma Paska lub bohaterów Sienkiewiczowskich. Złudzenie stawało się tem większe, gdy u progu powitał, uchylając długą czapkę polską, gospodarz domu, o wąsach zawiesistych, czuprynie jakby podgolonej, ubrany w żupan lub kapotę, wysoki, chudy, kościsty, z czemś groźnem w głosie i w ruchach, o marsowem wejrzeniu. Nie wracał z pod Beresteczka, Chocimia lub Wiednia, ale był pod Grochowem i Ostrołęką; a nie chciał służyć w legii

nowej formacyi, lecz w starym 2 pułku strzelców konnych. „Chciałem być żołnierzem na prawdę, a nie od parady.“ Wróciwszy po kampanii do roli, poślubił Felicyę Krajewską z Sanockiej ziemi. Rzutki, energiczny, nabył Albigową i kilka folwarków w Rzeszowskiem i do odziedziczonych w Tarnowskiem Kowalowych dokupił Lichwin pod Tuchowem.

Burza 1846 roku, która zalała krwią i powaliła tyle gniazd szlacheckich zwłaszcza w okolicach Tarnowa, wstrzymała się przed dworem w Kowalowach pod nieobecność dziedzica, bo mówiono wśród bandy chłopskiej: „pan to sprawiedliwy, ale srogi, pomści się, gdy wróci; a gdy nic nie zrabujemy, będzie nam pamiętał i da zapomogę.“

Następstwa rabunków i nagłej zmiany w stosunkach roboczych i gospodarskich długo dały się uczuwać i mnożyły się ruiny, tak, że dziś w tych okolicach trudno się dopytać, gdzie się podziały rozbitki tych, co zdawna dziedziczyli te włości. Pieniążek sprzedał nabyte wioski, zamknął się w dziedzicznych Kowalowach i żelazną pracą, niezmierną oszczędnością przetrwał długoletnią kryzys — utrzymał fortunę.

Przed katastrofą zasiadał Stanisław Pieniążek w sejmach stanowych. W roku 1848 widzimy go wśród wybitnych członków t. zw. wielkiej deputacyi do Wiednia, która pod przewodnictwem ks. Leona Sapiehy i Franciszka Smolki wiozła adres, podobno pióra Ziemiałkowskiego. Ostatni to jego występ publiczny. Wielki przeciwnik demokracyi

i nowych prądów, uważał politykę za zbytkowe zajęcie dla szlachcica. A może szkoda, bo uzdolnienia mu nie brakło, a miał wielką stałość zasad i niezłomność charakteru. Kilkakrotnie ofiarowanego sobie mandatu nie przyjął. Brał tylko udział w Radzie powiatowej tarnowskiej i w delegacyach Towarzystw ogniowego i kredytowego.

Starych ksiąg nie brakło na pułkach dworku w Kowalowach; nowym nie dowierzał. Szlachcic starej daty ma w sobie coś palestranta; więc Stanisław Pieniążek nabył biegłości praw, której używał dla własnej obrony — więcej dla rady i pomocy sąsiadów. Niezmierna prawość a gotowość do podjęcia obowiązków sprawiała, że wzywano go często do sądów kompromisarskich, lub ojcowie na łożu śmierci powierzali swe rodziny i mienie „złotemu sercu, a żelaznej ręce Stanisława Pieniążka.“ W tych słowach Stefan Leśniowski z Ryglic powierzał mu swą rodzinę; był także opiekunem Rychterów w Bistuszowy i innych. — W Kowalowach żaden włościanin nie ożenił syna, nie wydał córki, nie zrobił działu gruntu, aby się dziedzica nie poradzić, bo choć ostry, ale nigdy rady i pomocy nie odmawiał. Książę Władysław Sanguszko, kolega z powstania i sąsiad odznacza Stanisława Pieniążka szacunkiem i przyjaźnią i obliguje, aby gdy on nie może przejechać granicy rosyjskiej, przyjął zastępstwo w układzie z ks. Romanem, który po powrocie z Kaukazu i Syberyi, połowę spuścizny ojcowskiej na Wołyniu oddaje bratu. Stąd wielka zażyłość z Gum-

niskami, Przeworskiem i Łańcutem, choć szlachcic twardy i dumny rzadko z domu wyrusza — a gdy ks. Sanguszko proponuje wspólne wychowanie synów, Pieniążek szczerze się wymawia: „Miałby chłopak wychowanie magnackie — a fortunkę szlachecką.“

Syn starszy, oddany do akademii wojskowej, dochodzi do wysokiego stanowiska pułkownika artyleryi. Podczas przedostatniej podróży monarchy po naszym kraju, Stanisław Pieniążek znajdował się na dworcu w Tarnowie. Nie było przedstawień, ale cesarz go poznał z dawniejszej swej bytności, bo raz go widząc, nie łatwo było tę postać zapomnieć, i zagadnął go po nazwisku, winszując syna, odznaczającego się zdolnościami w armii. Młodszy syn Czesław obrał cięższy, może z usposobieniem ojca mniej zgodny, zawód literacki i profesorski. Ojciec nie krępował samodzielności i oceniał pracę.

Stary szlachcic był prawowiernym i gorliwym katolikiem, żadnych nie przyjmował nowinek. — Umierając spokojnie, nawet radośnie, przyjmował ostatnie Sakramenta św., a do synów się zwrócił i rzekł surowo: „Pochować mnie w prostej drewnianej trumnie, wywieźć na wozie zwykłym, niech chłopi ze świecami idą koło trumny“ — dodał zaś z uśmiechem: „Jakbyście mnie z paradami pochowali, myślałby św. Piotr, że to jaki fanfaron puka do nieba, a nie stary Pieniążek — i gotówby nie wpuścił.“

BIBLIOTEKA ŻOŁNIERSKA Z.U.P.P. ZIEMI KRAKOWSKIEJ W KRAKOWIE

12629/1

po

Ludwika Dębickiego:

Z teki dziennikarskiej

pogadanki literackie, rozbiory i uwagi dotyczące literatury ostatnich lat 5-ciu. Serya I, w 8-ce, str. 386.
Cena złr. **1·60.**

Paweł Popiel

Wspomnienie pośmiertne

1892, str. 80. — Cena **30** ct.

Alfred hr. Potocki

ŻYCIORYS

1889, w 8-ce, str. 27. — Cena **25** ct.

„St. Tarnowskiego

Z doświadczeń i rozmyślań

i odpowiedź N. Reformy“

1891, w 8-ce, str 28. — Cena **20** ct.